



SKARBY
Z DNA WISŁY

ODŁOTY
UNIwersyteckich
uczonych



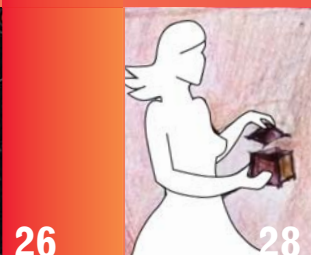
UNIwersytet
DZIŚ I JUTRO



2



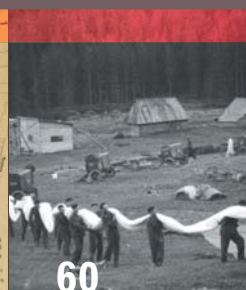
24



26



28



54

60

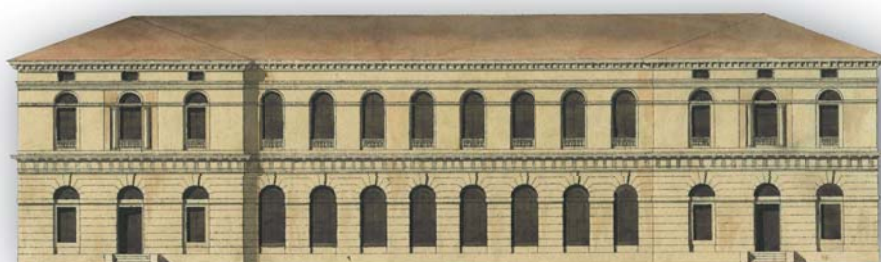
UNIwersytet
– DZIŚ I JUTRO

WSZECHŚWIAT
PEŁEN PLANET

BIOETYKĘ UPRAWIA SIĘ NIE TYLKO
W ZACISZU GABINETÓW

PANDORA Z BECZKĄ
CZY WAZON Z PANDORĄ?

WŁOSKI WIZJONER
ODLOTY UNIwersYTECKICH UCZONYCH



STR. 58

„WIDOK WSPANIAŁY I PRZYJEMNY
DLA MIŁOŚNIKÓW SZTUKI”

– CZYLI O SALI KOLUMNOWEJ WYDZIAŁU HISTORYCZNEGO

W NUMERZE

UNIwersytet – DZIŚ I JUTRO

- 2. JAK WZMACNIAĆ POZYCJĘ UNIwersytetu Nawet w trudnych czasach? | Jerzy Wilkin
- 5. MARKA UW – OD TRADYCJI DO PRZYSZŁOŚCI | Tadeusz Tomaszewski
- 10. NAJLEPSI W POLSCE... I CO DALEJ? | Marcin Pałys

SZKOLNICTWO WYŻSZE

- 13. BAJKA O PRAWDZIWEJ REFORMIE | Wojciech Dudzik
- 15. AUTONOMIA PO ŚRODKU | Anna Korzekwa
- 16. NIE MA RADY? | Ludwik Komorowski

WYDARZENIA

- 19. TWÓRCA MOSTU TOLERANCJI | Izabela Kraszewska
- 20. ŚWIAT NA PAPIRUSIE | Olga Basik
- 20. W CICHYCH OGRODACH NAUKI | Izabela Kraszewska
- 21. PUSTYNIA ZA LAS | Olga Basik
- 21. KALEJDOSKOP
- 24. NOMINACJE

BADANIA

- 24. WSZECHŚWIAT PEŁEN PLANET | Andrzej Udalski
- 26. BIOETYKĘ UPRAWIA SIĘ NIE TYLKO W ZACISZU GABINETÓW – rozmowa z dr Joanną Różyńską
- 28. PANDORA Z BECZKĄ CZY WAZON Z PANDORĄ? | Olga Basik
- 30. XVII-WIECZNE MARMURY – SKARBY Z DNA WISŁY | Hubert Kowalski, Justyna Jasiewicz
- 32. PO CO MITY O MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE? | Andrzej Kajetan Wróblewski
- 34. CZTERY GRAMY RATUJĄCE ŻYCIE | Izabela Kraszewska
- 35. NAGRODY I SUKCESY NAUKOWE

STUDIA

- 39. W ZDERZENIU Z RYNKIEM | Katarzyna Łukaszewska
- 40. HAITAŃCZYCY NA UW – ROK PÓŹNIEJ | Izabela Kraszewska
- 41. W LABIRYNCIE INFORMACYJNYM, CZYLI CZEGO I JAK UCZY BIBLIOTEKA | Lilianna Nalewajska

VARIA

- 42. NA KŁOPOTY OMBUDSMAN – rozmowa z Anną Cybulko
- 43. PRACA NA FALI | Olga Basik
- 44. MOZAIKA WSPOMNIEŃ | Paweł Duber

STUDENCKI GŁOS

- 46. W ZIELONEJ CHATCE NA PODLASIU – fotoreportaż Magdaleny Łukasiak

OPINIE

- 48. MOŻE POSTULATY BYŁY PRZESADNE? | Marcin Kula
- 51. MEDYTACJE LAJKONIKA – Orzełek
- 52. PRZEGLĄD PRASY
- 52. WALKA ZE ZMIANĄ KLIMATU, CZYLI CZARNA PRZEGRYWA, CZERWONA WYGRYWA
| Leszek Marks, Lucjan Piel

NA TRAKCIE

- 54. WŁOSKI WIZJONER | Adam Tyszkiewicz

UNIwersytet w LICZBACH

- 56. ZDARZYŁO SIĘ W LUTYM | Robert Gawkowski
- 57. LICZBY MIESIĄCA | Anna Korzekwa

DZIEJE UW

- 58. „WIDOK WSPANIAŁY I PRZYJEMNY DLA MIŁOŚNIKÓW SZTUKI”
– CZYLI O SALI KOLUMNOWEJ WYDZIAŁU HISTORYCZNEGO | Jerzy Miziołek
- 60. ODLOTY UNIwersyteckich UCZONYCH | Robert Gawkowski
- 62. POCZET REKTORÓW | Robert Gawkowski
- 64. RÉSUMÉ
- 64. ODESZLI

Artykuł prof. Marka Wąsowicza „Quo vadis Uniwersytecie?” opublikowany w poprzednim numerze pisma „UW” spotkał się z bardzo dużym zainteresowaniem czytelników. Apel redakcji o wszczęcie na naszych łamach debaty o przyszłości Uniwersytetu nie pozostał bez echa. Poniżej publikujemy trzy głosy w tej sprawie: profesorów Jerzego Wilkina, Tadeusza Tomaszewskiego oraz Marcina Pałysa, zebrane pod wspólnym hasłem „Uniwersytet – dziś i jutro”.

Zapraszamy wszystkich członków naszej społeczności akademickiej, którzy chcieliby jeszcze w najbliższym czasie zabrać głos w dyskusji, do nadsyłania swoich komentarzy i opinii. Zamieścimy je na stronie internetowej naszego pisma „UW”: www.pismo-uczelnia.uw.edu.pl. W serwisie znaleźć też można tekst prof. Wąsowicza, który stał się inspiracją do dyskusji.

JAK WZMACNIAĆ POZYCJĘ UNIWERSYTETU NAWET W TRUDNYCH CZASACH?

Jerzy Wilkin

AKADEMICKI PRZYWÓDCA, CZYLI REKTOR NA TRUDNE CZASY

Zbliżają się wybory nowych władz rektorskich. Jest to zawsze dobrą okazją do ożywienia dyskusji o najważniejszych problemach naszego Uniwersytetu i sposobach ich rozwiązania. Ważnym i inspirującym głosem oraz zachętą do dalszej dyskusji był artykuł prof. Marka Wąsowicza *Quo vadis Uniwersytecie?* opublikowany w „Uniwersytecie Warszawskim” (nr 5/2011). Uważam tę debatę o fundamentalnych sprawach UW i całego szkolnictwa wyższego za bardzo ważną, niezależnie od tego, w jakim zakresie przedstawione w niej programy uda się zrealizować. Uniwersytet Warszawski to bardzo duża i skomplikowana instytucja, a kierowanie nią, to coś bardziej złożonego niż kierowanie nawet pokaźną korporacją gospodarczą. Ta trudność i złożoność wynika między innymi z wielofunkcyjności uniwersytetu; jego szczególnej pozycji w systemie edukacji, nauki, gospodarce, życiu społecznym i politycznym oraz kulturze. Pamiętać też należy, iż **uniwersytety to instytucje „długiego trwania”**. Najstarsze europejskie uczelnie istnieją nieprzerwanie od kilkuset lat (od XI-XII wieku). Uniwersytet Warszawski też zbliża się do dostojnego jubileuszu 200-lecia. Kierowanie uniwersyteciem, co nie zawsze jest należycie uświadamiane, to zadanie o historycznym znaczeniu, bowiem chodzi nie tylko o to, żeby podtrzymać to „długie trwanie”, ale też zaznaczyć w nim swoje znaczące, pozytywne piętno. Dobrze jest pamiętać o tym, wybierając kolejnego rektora UW!

Prawie 40 lat temu, wybitny polski socjolog Jan Szczepański w esej: „Szkoła wyższa jako system”, wyraził następującą opinię: *Moja teza w sprawie efektywnego kierowania uczelnią jako złożonym systemem jest bardzo prosta: efektywne kierowanie szkołą wyższą i osiąganie jej celów w sposób optymalny musi być ujednoliconym połączeniem zasad kierowania administracyjnego, organizacyjnego, merytorycznego i przodownictwa*. Teza jest prosta, ale wyzwania z niej wynikające są gigantyczne: kierujący uczelnią, a zwłaszcza takim wielkim i ważnym organizmem, jak Uniwersytet Warszawski, musi łączyć w sobie wiele szczególnych cech: być autorytetem akademickim (kryterium merytoryczne), potrafić kierować i administrować złożonym organizmem instytucjonalnym (kryterium organizacyjne i administracyjne), a także być liderem w torowaniu nowych dróg rozwoju, innowatorem i przewodnikiem (kryterium przodownictwa). Chciałbym zwrócić uwagę na stosunkowo rzadko podnoszony aspekt kierowania uniwersyteciem, jakim jest przodownictwo czy nawet **przywództwo**. To przywództwo jest potrzebne szczególnie w czasach bardzo trudnych, przełomowych i niespokojnych, kiedy dla dobra rozwoju uniwersytetu niezbędne jest przeprowadzenie wielu reform, czasem bolesnych i niepopularnych. Uniwersytet Warszawski jest od wielu lat czołowym uniwersyteciem w kraju. To, co dzieje się na tej uczelni, jest bacznie obserwowane przez inne uczelnie i często stanowi punkt odniesienia dla ich działań. Wśród

szkół wyższych w Polsce, **UW pełni, pod wieloma względami, rolę przywódczą**. Przejawia się to m.in. w powierzaniu rektorowi naszej uczelni prestiżowych funkcji w ogólnokrajowych organizacjach akademickich. Aspiracje i funkcje przywódcze rektorów UW powinny pójść jednak znacznie dalej: Uniwersytet nasz musi znaleźć sposoby „przedarcia się” do czołówki europejskich uniwersytetów i zmienić punkt odniesienia dla oceny sukcesów naszej uczelni. Akademicki przywódca, a takim musi być rektor UW, powinien utorować drogę polskim uczelniom, zaczynając od UW, do elity szkół wyższych w Europie, a może i w szerszej skali. Wymaga to wizji, strategii, odwagi i determinacji, a także umiejętności zjednoczenia i zmobilizowania do realizacji tego celu dużej części społeczności uniwersyteckiej. Działania reformatorskie władz UW muszą być skierowane zarówno na sprawy i struktury wewnętrzne, jak i na szersze, systemowe ramy instytucjonalne szkolnictwa wyższego. Przyjęcie w ubiegłym roku pakietu ustaw reformujących naukę i szkolnictwo wyższe w Polsce nie kończy ani dyskusji o strategii rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego, ani też konieczności reform instytucjonalnych, w tym rewizji niektórych ustaw.

NIEZBĘDNE REFORMY: WEWNĄTRZ UW I W POLSKIM SYSTEMIE SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

Uniwersytet Warszawski jest pod wieloma względami w dość dobrej sytuacji naukowej, organizacyjnej i finansowej, zwłaszcza na tle innych uczelni w kraju. Pojawia się jednak wiele zagrożeń, którym nasza uczelnia musi stawić czoła w najbliższych kilku latach. Mają one źródła zarówno wewnątrz kraju, jak i w sytuacji międzynarodowej. Uważam, że dla UW i innych polskich uczelni nadchodzą bardzo trudne czasy.

Jednym ze źródeł tych zagrożeń jest **sytuacja demograficzna kraju**. Zmniejsza się populacja roczników młodych ludzi w wieku 19-24 lata, która jest naturalnym i największym źródłem kandydatów na studia wyższe. O kandydatów na studia ubiega się ponad 450 wyższych uczelni, w tym prawie 300 uczelni prywatnych. Dla tych ostatnich zdobycie kandydatów na studia to być albo nie być. Robią więc wszystko, aby przyciągnąć do siebie młodych ludzi, głównie przez propagowanie hasła: u nas uzyskasz dyplom wyższej uczelni łatwo i przyjemnie, przeznaczając na to stosunkowo niedużo pieniędzy. Rośnie też międzynarodowa rywalizacja o polskich studentów i doktorantów. Coraz więcej młodych ludzi w Polsce będzie wybierać studia za granicą. Polskie uczelnie też próbują przyciągnąć kandydatów na studia z zagranicy, ale sukces w tym zakresie jest dotychczas bardzo umiarkowany.

Prywatne uczelnie, które starają się zapewnić stosunkowo wysoki poziom nauczania, porównywalny z dobrymi uczelniami publicznymi, mają duże kłopoty finansowe, czego aktualnym i wymownym przykładem jest sytuacja Wyższej Szkoły Biznesu – National



Kierujący uczelnią, a zwłaszcza takim wielkim i ważnym organizmem, jak Uniwersytet Warszawski, musi łączyć w sobie wiele szczególnych cech: być autorytetem akademickim, potrafić kierować i administrować złożonym organizmem instytucjonalnym, a także być liderem w torowaniu nowych dróg rozwoju, innowatorem i przewodnikiem

Luis University w Nowym Sączu, Akademii Finansów w Warszawie i wielu innych. Uniwersytet Warszawski też przystosował się do korzystania z różnych źródeł finansowania, uruchamiając m.in. szeroką gamę studiów płatnych. Zapewniają one średnio około 15% przychodów naszej uczelni, ale na niektórych wydziałach środki te przekraczają 30%. Jest to znaczne zasilenie finansowe funkcjonowania UW; niestety, strumień ten kurczy się z roku na rok. Dla części wydziałów, gdzie czesne stanowiło 20% i więcej ogółu przychodów, rodzi to spore kłopoty finansowe i zmusza do zmiany strategii działania tych jednostek. Generuje też szereg niebezpieczeństw dla jakości studiów wyższych. Konkurencja o studentów, zarówno na studiach stacjonarnych, jak i niestacjonarnych (płatnych) skłania do obniżenia wymagań stawianych najpierw kandydatom na studentów, a potem studentom na różnych typach studiów. Zbiega się to z wyraźnie widocznym pogorszeniem się jakości wiedzy prezentowanej przez maturzystów i ich stosunku do studiowania. Z przykrością to obserwuję od kilku lat, a prowadzę zajęcia na dość prestiżowych kierunkach studiów. Podobne opinie słyszę od moich kolegów i kolegów, wykładowców na innych wydziałach UW. Pojawia się więc ważne pytanie i dylemat: **jak podnosić jakość kształcenia na UW w warunkach rosnącej konkurencji krajowej i międzynarodowej o studentów?**

Długookresowym sposobem rozwiązania tego dylematu jest **dążenie do uzyskania elitarnego charakteru naszej uczelni**. System finansowania publicznego szkolnictwa wyższego nie sprzyja

wyłanianiu elitarnych jednostek organizacyjnych (sprawy tej nie załatwi na pewno wyłanianie tzw. KNOW). System powszechny oparty jest na kryteriach ilościowych, a nie jakościowych; pieniądze publiczne dzielone są głównie w relacji do liczby studentów stacjonarnych i liczby kadry nauczającej. Pozostaje więc znalezienie własnej drogi osiągnięcia stanu **niedyskryminującej elitarności na UW**. Dbając o zapewnienie ponadprzeciętnego (przynajmniej w skali krajowej) poziomu studiów na UW jako standardu, należy poświęcić więcej uwagi i troskliwości zarówno elitarnym formom kształcenia, jak i prowadzeniu zaawansowanych badań naukowych. To właśnie te elity będą kształtowały wizerunek UW i jego pozycję w rankingach krajowych i międzynarodowych. **Elitarności nie można zadekretować, ale można jej sprzyjać i jeśli się wyłoni, to mocno ją wspierać.**

Masowość studiowania i sposoby finansowania uczelni kierowały i kierują nadal UW w zupełnie innym kierunku. **Dystans między profesorem a studentem wydłużył się**, kurczy się liczba zajęć wymagających od studenta aktywności, zaangażowania w dyskusje, prowadzenia badań, pisanie tekstów naukowych itp. Ze względów finansowych, zamyka się seminary, wykłady i konwersatoria dla małych grup studentów. W takich warunkach poprawa jakości studiowania i dążenie do elitarności kształcenia nie mają szans.

Sytuacja finansowa wydziałów i wymienione wcześniej tendencje w szkolnictwie wyższym prowadzą do kolejnego, niebezpiecznego zjawiska: zamykania się podstawowych jednostek organizacyjnych i **przekształcania uniwersytetu w federację wydziałów**. Uważam, że w wyniku tego zjawiska **uniwersytet traci swoją duszę**. Fundamentem i wartością uniwersytetu, od początku istnienia tej instytucji, była otwartość, wszechstronność oferty dydaktycznej, zachęcanie studentów do opanowania wiedzy szerokiej i uniwersalnej. Teraz wielu dziekanów i innych kierowników jednostek ▶

Prof. dr hab. JERZY WILKIN był jednym z założycieli i dyrektorem Ośrodka Studiów Amerykańskich oraz dziekanem Wydziału Nauk Ekonomicznych UW. Od 2008 r. jest przewodniczącym senackiej komisji ds. budżetu i finansów.

Dystans między profesorem a studentem wydłużył się, kurczy się liczba zajęć wymagających od studenta aktywności, zaangażowania w dyskusje, prowadzenia badań, pisanie tekstów naukowych itp. Ze względów finansowych, zamyka się seminaria, wykłady i konwersatoria dla małych grup studentów. W takich warunkach poprawa jakości studiowania i dążenie do elitarności kształcenia nie mają szans

uczelnia robi prawie wszystko, by zagonić studentów tylko do własnej, wydziałowej zagrody i gdyby mogli, to skasowaliby nawet tzw. OGUN-y. Z punktu widzenia interesów swoich jednostek organizacyjnych postępują racjonalnie, ale z punktu widzenia idei uniwersytetu jest to działanie zgubne. Trzeba znowu pochylić się zarówno nad programami studiów, jak i nad systemem finansowania uczelni. Student UW powinien mieć możliwość swobodnego doboru przynajmniej jednej czwartej punktów ECTS, wymaganych do ukończenia danego stopnia studiów w dowolnie wybranych jednostkach uniwersytetu. Teraz jest „przyspawany” do programu realizowanego na macierzystym wydziale. Dlaczego student ekonomii, prawa czy fizyki nie miałby z korzyścią dla swego uniwersyteckiego profilu wykształcenia zapoznać się z historią sztuki, kulturą japońską czy filozofią średniowieczną? Teraz jest to prawie niemożliwe, pomijając skromny zakres OGUN-ów!

Kolejnym kierunkiem przekształcania UW i zmiany zasad jego funkcjonowania jest konsekwentne dążenie do umacniania jego pozycji jako **uniwersytetu badawczego**. Ma to duże znaczenie dla wszystkich kluczowych sfer działalności uniwersytetu: pozycji naukowej, pracy dydaktycznej i sytuacji finansowej. **Europejskie i krajowe fundusze na badania są realnym źródłem poprawy sytuacji finansowej wydziałów i całego uniwersytetu oraz powinny zrekompensować spadek przychodów ze studiów płatnych na większości wydziałów.** Te pieniądze są do wygrania, o ile zmobilizujemy jak największą część naukowej społeczności UW do ubiegania się o nie i wzmocnimy wsparcie administracyjne dla tej aktywności. O sytuacji w dziedzinie aktywności badawczej jednostek UW i możliwościach w tym zakresie pisałem w raporcie przedstawionym na posiedzeniu Senatu UW w czerwcu 2011 (o raporcie pisaliśmy także w nr 3/2011 - przyp. red.). Uważam, że problemy tam poruszone muszą stać się przedmiotem szerokiej dyskusji na naszym Uniwersytecie.

Przewództwo Uniwersytetu Warszawskiego powinno być silniej zaznaczone także w reformowaniu systemu nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce, a także, w miarę możliwości, w Unii Europejskiej. W strukturze budżetu wspólnotowego UE, mimo znanych problemów finansowych Unii, wydatnie wzrasta część poświęcona wspieraniu badań, innowacji i podnoszeniu kapitału ludzkiego. Chociaż UW ma pewne sukcesy w ubieganiu się o środki unijne, to kraj nasz jako całość pozostaje w ogonie krajów UE w tym względzie. To można i trzeba zmienić, a **UW powinien spełniać rolę inspirującą, wzorcową i mobilizującą.**

Z tygodnia na tydzień zauważamy coraz więcej ułomności systemu instytucjonalnego, w tym prawnego, jaki uformowany został przez pakiet ustaw reformujących naukę i szkolnictwo wyższe

w naszym kraju, przyjętych w 2010-2011 roku. Nie czekajmy z korektą tego systemu! KRASP i inne organizacje reprezentujące środowisko akademickie kraju mają wystarczający autorytet i zaplecze eksperckie, aby silniej i szybciej niż dotychczas wpływać na kształt ram instytucjonalnych polskiej nauki i szkolnictwa wyższego!

Na koniec chciałbym poruszyć sprawę niezwykle ważną dla mnie, jako ekonomisty, ale przede wszystkim jako reprezentanta nauki i szkolnictwa wyższego. Jest to rażąco i niczym nieusprawiedliwione niedofinansowanie polskiej nauki i szkolnictwa wyższego. Od 20 lat Polska może pochwalić się nieprzerwanym wzrostem Produktu Krajowego Brutto; w 2009 roku byliśmy jedyną „zieloną wyspą” na mapie UE (czyli krajem, który nie zanotował spadku PKB); w tym roku także pod względem wskaźników makroekonomicznych należymy do czołówki europejskiej, zadziwiająco szybko „doganiamy Europę”, a sytuacja ta nie przekłada się w żaden sposób na finansowanie polskiej nauki. Od lat obiecywano nam (robił to m.in. premier Donald Tusk) znaczne zwiększenie wydatków na naukę i szkolnictwo wyższe do poziomu „europejskiego”. Nie ma żadnych działań w tym kierunku! W czasie dyskusji na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego PAN w 2010 roku powiedziałem, że **utrzymując tak rażąco niskie wskaźniki finansowania nauki i szkół wyższych „przegrywamy przyszłość naszego kraju”**, czym wywołałem oburzenie obecnej na sali minister Barbary Kudryckiej. Chciałbym podtrzymać to stwierdzenie. Społeczność akademicka w Polsce była zbyt empatyczna w ubiegłych latach, jeśli chodzi o uzasadnianie przez władze naszego kraju tak niskich nakładów na naukę, wdrożenia i szkolnictwo wyższe. Najpierw uzasadniano to brakiem odpowiednich reform w systemie nauki i szkolnictwa wyższego, potem koniecznością dyscypliny budżetowej i tym podobnymi argumentami. Chciałbym powiedzieć głośno i dobitnie: **to nieprawda, że polskiego państwa i naszego budżetu nie stać na przeznaczanie na R&D przynajmniej 2% PKB, a na szkolnictwo wyższe przynajmniej 1% PKB; wprost przeciwnie, Polski nie stać na utrzymywanie tych wskaźników poniżej tego poziomu!** Trzeba o tym głośno mówić, a nawet krzyczeć, bo tu nie chodzi tylko o interes naszej społeczności. To jest naprawdę sprawa fundamentalnych podstaw rozwoju naszego kraju, jego gospodarki, kultury i jego pozycji w świecie.

Uniwersytet Warszawski, ze względu na swój autorytet, potencjał badawczy i dydaktyczny powinien być główną siłą w Polsce w inicjowaniu działań prowadzących, w możliwie jak najkrótszym okresie, do realizacji powyższego celu. Marka Uniwersytetu Warszawskiego zobowiązuje! ■

Przypominamy, że wybory członków kolegium elektorów, które wybierze rektora, mają się zakończyć przed 22 lutego. Wybory kandydatów na rektora odbędą się 7 marca. Ostateczne głosowanie zaś i wybór rektora 18 kwietnia. Ordynacja wyborcza i szczegółowy terminarz głosowania dostępne są na stronie: www.ukw.uw.edu.pl.

Wybory to także temat przewodni pierwszego odcinka nowego cyklu w naszym piśmie „Liczby miesiąca”. Każdy, kto chciałby wiedzieć, dlaczego luty przebiegnie na UW pod znakiem 339, a marzec pod znakiem 10, znajdzie odpowiedź na str. 57.

MARKA UW

– OD TRADYCJI DO PRZYSZŁOŚCI¹

Pozycja i marka uczelni mogą być mierzone różnymi kryteriami, zaś zestawianie ze sobą, często trudno porównywalnych, szkół wyższych z różnych krajów świata bywa zawodne. Jednakże zwłaszcza w ostatnich latach dużą popularność zyskują sobie rankingi światowe czy krajowe nie tylko dlatego, że współzawodnictwo także na gruncie rozwoju nauki czy dydaktyki stało się globalnym wyzwaniem, ale też z tego powodu, że analiza wyników rankingów i przesłanek leżących u podstaw poszczególnych klasyfikacji pozwala na określenie obiektywnych czynników, które mają wpływ na rozwój uczelni. Obecnie dwa takie rankingi akademickie zdobywają sobie największą popularność: Times Higher Education University Ranking (THE) – uważany za najbardziej obiektywny oraz Academic Ranking of World Universities (ARWU, tzw. „lista szanghajska”) – tradycyjnie już postrzegany jako najbardziej wpływowy.

Aktualnie Uniwersytet Warszawski plasuje się w czwartej setce rankingu THE (dokładniej: na pozycji pomiędzy 301. a 350. miejscem)², podobnie w rankingu ARWU³. Wydaje się, że to pierwsze zestawienie (THE) lepiej oddaje rzeczywisty obraz światowych uniwersytetów, gdyż opiera się na poprawniej dobranych i bardziej zobiektywizowanych kryteriach, zaś „lista szanghajska” w zbyt wysokim stopniu polega na takich zmiennych, jak liczba laureatów Nagrody Nobla i nie doszacowuje osiągnięć w naukach humanistycznych i społecznych. Dlatego lista THE jest dla takiej uczelni jak nasza lepszym punktem odniesienia.

Należy się cieszyć, że Uniwersytet Warszawski jest klasyfikowany na takiej liście, bo potwierdza to zaliczenie go do tzw. uniwersytetów światowych (World Class Universities), ale bez względu na rodzaj rankingu, wyniki plasujące naszą uczelnię daleko poza czołówką światową czy nawet europejską nie mogą oczywiście zadowalać. Konieczne są zatem starania, aby tę sytuację, i to znacząco, zmienić. Wbrew pozorom, dostęp do znacznie wyższych lokat (zwłaszcza w rankingu THE) nie jest dla nas zamknięty. Wymaga to jednak zmian w strategii rozwoju Uniwersytetu i odniesienia się do katalogu kwantyfikatorów precyzyjnie określonych w metodologii rankingowej.

Należy jednakże podkreślić, że nie chodzi tu bynajmniej o samą pozycję na listach najlepszych uczelni świata; staranie się o lepszą pozycję w rankingach widzę przede wszystkim jako siłę sprawczą unowocześnienia Uniwersytetu, jako impuls do szybszego jego rozwoju. Dążenie do czołówki w rankingu powinno bowiem wymusić jakościowe zmiany, a w konsekwencji zaowocować nie tylko większą rozpoznawalnością marki UW na świecie, ale przede wszystkim dopływem najzdolniejszych studentów i najlepszych badaczy z innych krajów. To z kolei da szansę na znaczące zwiększenie środków na działalność badawczą, rozwojową i wdrożeniową. Musimy zakładać, że strumień funduszy unijnych, w pozyskiwaniu których Uniwersytet Warszawski w ostatnich latach osiąga największe sukcesy wśród wszystkich ośrodków akademickich w Polsce, będzie stopniowo wysychał, dlatego tak ważne jest poszukiwanie nowych źródeł finansowania. Warto przy tym pamiętać, że siła marki UW przekładać się będzie na pozycję zawodową absolwentów i zwiększy szansę na szybki rozwój ich kariery – nie tylko w Polsce, ale i zagranicą. Takie zmiany są oczywiście możliwe do przeprowadze-

nia w dłuższym czasie, jednak wydaje mi się niezbędne, aby już teraz o nich myśleć, planować je i zacząć wdrażać – im szybciej, tym lepiej. W najbliższych czterech latach będziemy się przygotowywali do obchodów jubileuszu 200-lecia powstania Uniwersytetu Warszawskiego; wykorzystajmy ten czas nie tylko na przygotowywanie podniosłych uroczystości, ale także na pracę intelektualną i organizacyjną nad nowym modelem funkcjonowania naszej uczelni. W takiej pracy powinno nam przyświecać hasło łączenia wspaniałych tradycji Uniwersytetu Warszawskiego z dążeniem do jego unowocześniania; nie bowiem nie uświetni lepiej jubileuszu niż przekonanie o pomyślnym rozwoju naszej Alma Mater przez następne dziesiątki lat.

Jakkolwiek niepopularny byłby to pogląd, to obecnie prawdziwą potęgę i rozwój nauki możemy obserwować tylko w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. W pierwszej pięćdziesiątce rankingu THE znajduje się jedynie 13 uczelni spoza tych dwóch krajów (są to uniwersytety ze Szwajcarii, Kanady, Australii, Hong Kongu, Niemiec, Szwecji, Japonii i Chin, przy czym najwyższe z nich – na miejscu 15. – lokuje się ETH Zürich – Eidgenössische Technische Hochschule Zürich, a kolejna uczelnia z Europy kontynentalnej to szwedzka Karolinska Institutet na miejscu 32.). Poza Wielką Brytanią, kraje Europy reprezentowane są w czołówce tego rankingu wyłącznie przez jedną uczelnię szwedzką, dwie szwajcarskie i jedną niemiecką. Nie możemy udawać, że Europa jest potęgą naukową i gospodarczą – międzynarodowe dane bezlitośnie obnażają niski poziom europejskich uniwersytetów (przynajmniej w świetle uwzględnianych danych), których rozwój blokowany jest przez nadmiernie rozbudowaną biurokrację, archaiczne struktury oraz niski poziom innowacyjności i wdrażalności prowadzonych badań. Powinniśmy więc wzorować się na najlepszych i starać się, żeby w ciągu kilku, kilkunastu lat zdeklasować kontynentalną konkurencję, dołączając jeśli nie do pierwszej pięćdziesiątki, to przynajmniej do pierwszej setki najlepszych uczelni świata.

AKADEMIA ZAMIAST SZKOŁY WYŻSZEJ

Trzeba zatem szukać mechanizmów umożliwiających taki awans. Większość z nich jest znana, rzecz w tym, by mieć siłę i konsekwencję w ich wprowadzaniu. Niewątpliwie jednym z najważniejszych jest prowadzenie badań naukowych na najwyższym światowym poziomie. Należy zatem odejść od dominującego powszechnie założenia, że najważniejszą funkcją i rolą Uniwersytetu Warszawskiego jest działalność dydaktyczna, w szczególności na poziomie studiów licencjackich. Dydaktyka jest oczywiście bardzo ważna i stanowi jeden z zasadniczych filarów działalności uczelni, ale nie możemy dopuścić do tego, żeby członkowie kadry akademickiej czuli się tylko nauczycielami. Priorytetem powinno być dla nich, co najmniej w równym stopniu jak z dydaktyką, identyfikowanie się z badaniami i nauką. Konieczne jest więc odejście od dogmatu o „przewodniczej roli” pensum dydaktycznego, gdyż nie możemy zamieniać Uniwersytetu w fabrykę produkującą absolwentów. Uniwersytet Warszawski powinien, w moim przekonaniu nawet musi, być bliżej wzorca akademii niż szkoły wyższej. To oczywiście ze względów finansowych nie będzie łatwe do samodzielnego przeprowadzenia, ▶

dlatego konieczne jest dalsze wpływanie na decydentów politycznych, aby zmienili niektóre rozwiązania prawne oraz zasady finansowania nauki i „flagowego” uniwersytetu, jakim chcemy być. Dotychczasowe zmiany w tym zakresie, także dokonane w ostatnio uchwalonych aktach prawnych dotyczących nauki i szkolnictwa wyższego, z pewnością nie są wystarczające. Warto przypomnieć, że czołowe uczelnie świata mają każdego roku znacznie mniej absolwentów niż UW (na każdym z uniwersytetów z pierwszej dziesiątki rankingów THE i ARWU studiuje mniej osób niż na Uniwersytecie Warszawskim – w niektórych przypadkach kilkakrotnie mniej), przy zazwyczaj podobnej liczbie pracowników naukowych. Ma to głębokie uzasadnienie ekonomiczne, bowiem skoncentrowanie się na zaawansowanej działalności naukowej przyciąga tak duże środki finansowe na prowadzenie badań, a ich efekty są tak szybko komercjalizowane, że nie istnieje potrzeba ratowania budżetów uczelni przez zwiększanie naboru na studia. Trend do stałego zwiększania rekrutacji na studia należy zatem regulować poprzez zwiększanie nakładów na badania (oraz wdrożenia ich wyników) i w perspektywie zwiększanie zatrudnienia pracowników naukowych. Tęgo rodzaju politykę próbuje się z większym lub mniejszym powodzeniem wprowadzać na Uniwersytecie od kilku już lat, czemu sprzyja zdobywanie projektów unijnych, jednak musi ona znaleźć realne, a nie tylko werbalne wsparcie wśród polityków oraz resortu nauki i szkolnictwa wyższego.

Jednocześnie powinniśmy koncentrować się na przyjmowaniu najlepszych studentów, którym zaoferujemy najbardziej wymagające, a zarazem bardzo rozwojowe studia. Rynek pracy nie pozostaje na takie sygnały obojętny i absolwenci szkół średnich wybierający studia na Uniwersytecie Warszawskim szybko zorientują się, że trudne, rozwijające, a zarazem interesujące studia staną się dla nich przepustką do kariery zawodowej.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że Uniwersytet Warszawski powinien znaleźć się w czołówce – nie tylko europejskich, ale też światowych – ośrodków badawczych. Swoją dotychczasową pozycję najlepszej w Polsce uczelni zdobyliśmy m.in. prowadzeniem na wysokim poziomie badań podstawowych w wielu dziedzinach i z pewnością taka działalność, nawet w jeszcze szerszym niż dotychczas zakresie, będzie kontynuowana jako niezbędna dla rozwoju nauki. Konieczne jest jednak równoczesne poszerzanie badań stosowanych, kierujących się nadrzędną dyspozycją innowacyjności, stosowności i ukierunkowania na potrzeby rynku. Rzecz jasna nie oznacza to marginalizowania kierunków „nierynkowych” – chodzi tylko o to, żeby poprzez multi- i interdyscyplinarność wielu równolegle realizowanych projektów dążyć do aktywizacji przedstawicieli wszystkich, nawet pozornie najbardziej odległych od siebie dyscyplin. Podejście takie sprawdza się w najlepszych uczelniach świata, a dwa najbardziej znamienne przykłady to Berkman Center for Internet & Society na Uniwersytecie Harvarda i Department of Security and Crime Science w University College London, gdzie wspólne projekty prowadzą inżynierowie, prawnicy, filozofowie, językoznawcy, psycholodzy, socjologowie, medycy, kryminaliści i kryminolodzy oraz przedstawiciele wszystkich dyscyplin ścisłych. My również mamy takie możliwości, czego dobrym przykładem jest dynamicznie rozwijające się Centrum Nauk Sądowych UW (współprowadzone przez pięć wydziałów naszej uczelni), a doskonałą platformą do takich działań może już wkrótce stać się Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Badania stosowane, tam gdzie jest to możliwe, powinny być projektowane w taki sposób, by już na etapie wstępnych koncepcji przyciągnąć przyszłych odbiorców. Można to realizować – korzystając z najlepszych wzorców amerykańskich i brytyjskich – poprzez organizowanie specjalistycznych „targów ofert”, na które zapraszani są przedstawiciele instytucji rządowych, przemysłu oraz firm z kraju i zagranicy, którym prezentuje się koncepcje badawcze, przedstawia przewidywane rezultaty i sugeruje możliwości wdrożeń. Równolegle powinno się stosować wariant odwrotny, czyli międzynarodowe zaproszenia do nadsyłania zamówień na naukowe i weryfikowalne

rozwiązanie określonych problemów. W obu przypadkach można liczyć na napływ poważnych środków finansowych, a odpowiednia polityka patentowa i jednocześnie wspieranie przekształcania zespołów projektowych, które zakończyły już prowadzenie danych badań, w ekonomiczne „start-upy” (niewielkie, powiązane z Uniwersyteciem firmy) będzie skutkowało nie tylko pozyskaniem kolejnych funduszy, ale da też możliwość szybkiego zdobycia doświadczenia zawodowego absolwentom.

ZAPLECZE DLA BADAŃ

Aby to osiągnąć, trzeba w większym zakresie zmieniać system zatrudnienia na Uniwersytecie Warszawskim poprzez wyraźniejsze zróżnicowanie dwóch grup pracowników: dydaktycznych i naukowych, w szczególności w jednostkach prowadzących badania naukowe. Zajęcia dydaktyczne (których program powinien zawierać jak najwięcej elementów praktycznych, właściwych dla danego kierunku) powinny silniej obciążyć starannie wyselekcjonowaną grupę pracowników dydaktycznych, którzy zdecydują się na przyjęcie takiej roli i będą wynagradzani stosownie do realizowanego obciążenia godzinowego. Ta grupa pracowników byłaby rozliczana według wskaźników efektywności kształcenia, a postępy studentów, ich zadowolenie z poziomu prowadzonych zajęć i wyniki egzaminów przekładałyby się na możliwość uzyskania przez dydaktyków dodatkowych premii finansowych.

Pozostała grupa pracowników akademickich koncentrowałaby się na prowadzeniu badań naukowych i działaniach z zakresu *Research & Development*, zaś jej obciążenia dydaktyczne zostałyby zredukowane głównie do prowadzenia wykładów specjalizacyjnych, specjalistycznych warsztatów i seminariów dyplomowych. Główny nacisk byłby położony na działalność badawczo-rozwojową, a finansowanie badań i urynkwowanie ich wyników, tam gdzie byłoby to możliwe, miałyby bezpośredni wpływ na wysokość dodatkowego wynagrodzenia pracowników naukowych, które byłoby proporcjonalne do siły i znaczenia prowadzonych przez nich badań. Obserwacja bieżącej praktyki na naszej uczelni pokazuje, że tego rodzaju działania są już podejmowane (na razie wyłącznie w oparciu o granty zewnętrzne), jednak ciągle jeszcze w dość wąskim zakresie. Nadto istniejące przepisy nie zachęcają samych pracowników do takich zmian, zaś przejście pracownika ze stanowiska naukowo-dydaktycznego na dydaktyczne na ogół uważane jest – niesłusznie – za obniżenie statusu zawodowego. Jeśli na przykład spojrzymy do świeżo znowelizowanej ustawy o szkolnictwie wyższym, to zobaczymy, że (poza szkołami zawodowymi) akademicy pracownicy dydaktyczni w świetle obecnie obowiązującego prawa nie mogą liczyć na satysfakcjonujący awans, gdyż ustawa zezwala na ich zatrudnienie tylko na stanowisku wykładowcy, starszego wykładowcy, lektora czy instruktora. Trzeba zatem zastanowić się nad wypracowaniem odpowiedniej ścieżki awansu dla tej grupy, która jest przecież niezbędna dla prawidłowego funkcjonowania Uniwersytetu.

Jedną z głównych ról Uniwersytetu byłoby wówczas głębokie wspieranie prowadzonych badań, poprzez jeszcze intensywniejsze niż dotychczas pozyskiwanie funduszy, selekcję podmiotów instytucjonalnych, biznesowych i przemysłowych, działalność marketingową (wspieranie wprowadzania wyników badań na rynek, inwestowanie w udział kadry naukowej w międzynarodowych konferencjach i sympozjach, działalność publikacyjną), nowoczesną obsługę administracyjną i finansową, itp. Z tak uzyskiwanych środków Uniwersytet powinien zarazem wspierać wartościowe naukowo badania, w których nie można liczyć na komercjalizację ich wyników.

Należy promować interdyscyplinarne zespoły badawcze, tak aby w praktyce realizować ideę uniwersytetu jako wspólnoty uczonych. Zespoły takie trzeba otoczyć szczególną opieką i wsparciem, zachęcając najzdolniejszych naukowców, doktorantów i studentów do czynnego włączania się do projektów. Udział fachowców z różnych dziedzin nie tylko wzbogaci prowadzone badania i pozwoli ocenić problemy badawcze bardziej wielopłaszczyznowo, ale też sprawi, że

W najbliższych czterech latach będziemy się przygotowywali do obchodów jubileuszu 200-lecia powstania Uniwersytetu Warszawskiego; wykorzystajmy ten czas nie tylko na przygotowywanie podniosłych uroczystości, ale także na pracę intelektualną i organizacyjną nad nowym modelem funkcjonowania naszej uczelni. W takiej pracy powinno nam przyświecać hasło łączenia wspaniałych tradycji Uniwersytetu Warszawskiego z dążeniem do jego unowocześniania; nic bowiem nie uświetni lepiej jubileuszu niż przekonanie o pomyślnym rozwoju naszej Alma Mater przez następne dziesiątki lat

pracownicy Uniwersytetu będą się silniej identyfikować z uczelnią jako całością, a nie – tak jak ma to niestety często miejsce obecnie – ze zatamizowanymi jednostkami (nawet nie wydziałami, ale wręcz poszczególnymi katedrami czy zakładami). Duma i przywiązanie do Alma Mater to nie tylko frazesy czy zapomniana symbolika – pracownicy najlepszych uczelni świata wiedzą, jak potężną marką dysponują i chlubią się miejscem swojego zatrudnienia.

Uniwersytet musi stworzyć swoim pracownikom takie warunki, aby mogli się skoncentrować wyłącznie na pracy naukowej, nie musząc poszukiwać źródeł dodatkowego zarobku poza uczelnią. Ostatnio dyskusja na ten temat prowadzona była przy okazji problemu możliwości podejmowania przez pracowników naukowych dodatkowego zatrudnienia. W maju 2010 r. Senat UW podjął nawet uchwałę uzależniającą poparcie proponowanej wówczas zmiany w ustawie „Prawo o szkolnictwie wyższym”, zastrzegającej warunki wydawania przez rektora zgody na dodatkowe zatrudnienie, od podwyższenia uposażeń nauczycieli akademickich i pracowników administracji. Niestety, w praktyce do takiej podwyżki nie doszło, zaś planowane od 2013 r. stopniowe podwyższanie wynagrodzeń nie przystaje do wysokich kwalifikacji pracowników i na pewno nie spełnia oczekiwań. Musimy więc stale przypominać decydentom, że praca naukowa jest kluczowym czynnikiem postępu społecznego, a sami badacze akademicy powinni być wizytówką, elitą i wzorem dla innych grup zawodowych, a także studentów i doktorantów, zaś ich praca musi być doceniana, promowana i wynagradzana w sposób adekwatny do jej wartości.

Z drugiej strony ważnym elementem w wynagradzaniu pracowników powinno być wdrożenie systemu cyklicznej oceny pracowników naukowych i administracyjnych. Jednak raczej nie chodzi o wprowadzone znowelizowaną ustawą o szkolnictwie wyższym zwiększenie częstości dokonywania takich ocen (jako zasada – co dwa lata), ale o merytoryczną, obiektywną ocenę rzeczywistych osiągnięć pracowników naukowych, w której charakter i liczba publikacji, siła i jakość prowadzonych badań oraz uczestnictwo w projektach przynoszących uczelni pieniądze powinny przekładać się bezpośrednio na ocenę i wynagrodzenie. Od pracowników administracji powinno się natomiast wymagać podnoszenia kwalifikacji, kreatywności, znajomości języków obcych i systemów informatycznych funkcjonujących na Uniwersytecie. Ze swojej strony zaś uczelnia powinna inwestować w podnoszenie kwalifikacji swoich pracowników zarówno w sferze zawodowej (specjalistyczne kursy językowe czy komputerowe), jak umiejętności „miękkich” (profesjonalna obsługa studentów, komunikacja interpersonalna, skuteczne radzenie sobie w stresie).

W takim modelu administracja powinna wspomagać pracowników naukowych i wszystkimi sposobami ułatwiać im prowadzenie pracy. Należy więc ograniczać biurokrację do niezbędnego minimum, a obieg dokumentów, oparty na systemach informatycznych, musi odbywać się w taki sposób, by osobom zaangażowanym w działalność badawczą nie zabierać czasu i uwagi. Rolą kierownika projektu badawczego (jeśli chodzi o stronę administracyjną) powinno być głównie przygotowanie raportów merytorycznych, natomiast cała strona techniczno-biurokratyczno-finansowa powinna być przejęta przez menadżerów projektów i wyspecjalizowane komórki administracji. Jeśli naszym nadrzędnym celem ma być ulokowanie UW w czołówce światowych rankingów, to swoboda prowadzenia badań naukowych i ich promowanie nie może napotykać na administracyjne przeszkody, które zresztą, jak uczy doświadczenie, są często pomysłem podmiotów zewnętrznych wobec Uniwersytetu. Trzeba więc dążyć do takiej sytuacji, w której pracownicy naukowcy nie muszą poświęcać swojego czasu i energii na kwestie biurokratyczne, zaś wzorem przodujących uczelni amerykańskich i brytyjskich zmierzać do tego, żeby każdy zespół badawczy obsługiwany był przez jednego (w przypadku większych zespołów i skomplikowanych logistycznie projektów: dwóch) menadżera oraz wyspecjalizowane biuro administracji centralnej, które koordynowałoby całość kwestii administracyjno-urzędowych. Jednocześnie powinno się rozwijać informatyzację uczelni oraz inwestować w zdalny dostęp do światowej literatury naukowej, możliwy dla wszystkich studentów, doktorantów i pracowników UW.

WSPIERAJMY NAJZDOLNIEJSZYCH

Wraz z przeniesieniem głównego nakładu sił i środków z dydaktyki i administracji na badania i rozwój, powinno się przeprowadzić gruntowną reformę najistotniejszych z punktu widzenia przyszłości i rozwoju Uniwersytetu studiów, czyli kształcenia doktorantów. Obecny system studiów doktoranckich w większości wydziałów UW odbiega od przyjętego na świecie wzorca, zamieniając ideę przemiany studentów w samodzielnych naukowców w kolejny etap szkolny (obiektywnie przyznajmy jednak, że przynajmniej pośrednio jest to efekt dostosowania się do bolońskiego, trzystopniowego modelu kształcenia w szkołach wyższych). Konieczne jest natomiast wprowadzenie takich zmian, których efektem będzie wdrożenie doktorantów w prowadzenie badań naukowych już od samego początku ich nowej drogi. Doktoranci nie mogą być nisko opłacanymi pracownikami sezonowymi, koncentrującymi się na prowadzeniu zajęć dydaktycznych. Rzecz jasna, powinni zdobywać i takie doświadczenie, jednak jeżeli Uniwersytet Warszawski ma stać ▶



się liczącym ośrodkiem naukowym, to nie możemy sobie pozwolić na marnowanie potencjału najzdolniejszych młodych ludzi przez nadmierne obciążanie ich prowadzeniem ćwiczeń i przymusowym uczestniczeniem w wykładach niemających wiele wspólnego z ich rozwojem intelektualnym. Jednocześnie inaczej trzeba zorganizować nabór na studia doktoranckie; przykładowo w wielu naszych jednostkach dydaktycznych jest on w dużej mierze oparty na średniej ocen ze studiów magisterskich kandydatów, podczas gdy powinno się stosować najlepsze wzorce zagraniczne, gdzie doktorantów przyjmuje się na podstawie otwartego i wieloetapowego konkursu. Kluczowym elementem powinien w nim być projekt badawczy proponowany przez kandydata i jego dotychczasowy dorobek naukowy. Praktyką uczelni zagranicznych jest na przykład obserwacja kandydata podczas kilkudniowych warsztatów przeznaczonych dla wszystkich aplikantów i realizacja przez nich pod kierunkiem pracownika naukowego niewielkich interdyscyplinarnych projektów badawczych. Pozwala to sprawdzać nie tylko predyspozycje intelektualne kandydata, ale także jego umiejętności organizacyjne i zdolność do pracy w zespole. Wstępnie zakwalifikowani kandydaci są następnie przedstawiani różnym instytucjom (rządowym, prywatnym), które oceniają proponowane przez przyszłych doktorantów projekty badawcze i mają możliwość częściowego lub pełnego finansowania ich studiów. Sponsorowani w ten sposób doktoranci prowadzą zaawansowane badania, mają dostęp do wsparcia instytucjonalnego swojej uczelni i sponsora, a także praktycznie gwarantowaną pracę po ukończeniu studiów. Podczas studiów doktoranci angażowani są do bieżących projektów badawczych prowadzonych przez doświadczonych pracowników naukowych, wyniki ich badań stają się częścią zbiorowych publikacji, zaś praca jest wynagradzana finansowo. Oprócz prowadzenia badań, doktorantom oferuje się intensywny i interdyscyplinarny program zajęć akademickich, odbywają oni roczną praktykę zawodową i dysponują corocznym budżetem przeznaczanym na udział w konferencjach międzynarodowych. Efektem takiej strategii jest przygotowanie przez doktoranta nie tylko ostatecznej dysertacji, lecz także kilku, kilkunastu samodzielnych lub wspólnych publikacji, udział w konferencjach i stały kontakt ze zleceniodawcami czy potencjalnymi odbiorcami badań. Model taki należałoby przyjąć na Uniwersytecie Warszawskim, przy czym byłby on komplementarny w stosunku do prowadzonych w tradycyjnym stylu studiów III stopnia, w zależności od danej dziedziny nauki i jednostki prowadzącej studia. Nowy model powinien mieć z założenia strukturę wieloplatformową – w postaci intensywnych,

ukierunkowanych na badania i rozwój, rynkowo poszukiwanych programów badawczych, opartych na zespołach naukowców z szerokiej gamy współpracujących ze sobą wydziałów.

MUSIMY BYĆ WIDOCZNI W ŚWIECIE

Niezwykle istotny jest dopływ wyników badań prowadzonych na UW nie tylko na rynek (instytucje rządowe, przedsiębiorstwa), ale także do krajowych i międzynarodowych środowisk naukowych. Bardzo ważnym kryterium oceny w rankingach międzynarodowych uczelni wyższych jest poziom i zasięg publikacji. W chwili obecnej większość publikacji powstałych na UW ma głównie zasięg krajowy (poza chlubnymi wyjątkami, przede wszystkim z zakresu nauk ścisłych). Należy więc promować przygotowywanie artykułów w językach obcych (zwłaszcza w języku angielskim), aby dotrzeć do jak najszerszej grupy odbiorców. Celowe przy tym wydaje się otwarcie nowego czasopisma (wydawanego przynajmniej raz w roku, a jeszcze lepiej co kwartał), które można by roboczo nazwać *University of Warsaw Research Review* (UWRR), publikującego w języku angielskim krótkie artykuły i doniesienia dotyczące badań prowadzonych we wszystkich dyscyplinach funkcjonujących w ramach Uniwersytetu Warszawskiego. Wsparcie uczelni powinno polegać na zapewnianiu profesjonalnych tłumaczeń (w razie konieczności) oraz realizacji procesu recenzyjnego, w miarę możliwości międzynarodowego (czynnik *international peer review* jest bardzo ceniony). UWRR powinien być wydawany w postaci papierowej oraz cyfrowej, bezpłatnie rozpowszechnianej do wszystkich liczących się na świecie ośrodków badawczych. Interdyscyplinarność takiego czasopisma byłaby jego ogromną zaletą, a nasi naukowcy byłiby bardziej rozpoznawani i cenieni za granicą. Przełożyłoby się to na znaczne wzmocnienie pozycji UW na świecie, a autorzy najlepszych publikacji mieliby większe szanse na to, by ich kolejne artykuły ukazywałyby się w międzynarodowych periodykach o największym *impact factor*.

Wzorem dobrych uczelni zagranicznych Uniwersytet Warszawski powinien publikować *newsletter* dystrybuowany do wszystkich studentów, doktorantów i pracowników UW poprzez pocztę elektroniczną. Taki biuletyn zawierałby ważniejsze doniesienia naukowe oraz informacje o organizowanych imprezach naukowych i wykładach otwartych. Te same informacje zawiera oczywiście strona internetowa UW, dotychczas wydawane (na coraz wyższym poziomie!) periodyki uniwersyteckie oraz raczkujący dopiero u nas kontakt z odbiorcami wewnętrznymi i zewnętrznymi dzięki portalom społecznościowym, jednak praktyka wskazuje na to, że dzięki newslet-

terowi skuteczniej dociera się do znacznie szerszej grupy odbiorców.

Duże znaczenie powinno się również przykładać do intensyfikacji współpracy międzynarodowej. Jednym z ważnych czynników oceny każdej uczelni z wysokimi aspiracjami jest tzw. różnorodność instytucjonalna, przejawiająca się liczbą obcokrajowców – studentów i wykładowców. Obecnie słabością UW jest zbyt mały odsetek cudzoziemców (szczególnie wśród kadry naukowej). Podniesienie ogólnej pozycji UW i intensyfikacja badań sprawi, że naukowcy z zagranicy będą bardziej zainteresowani krótko- i długoterminowymi stażami w Warszawie. Trzeba rozwijać programy w rodzaju obecnie prowadzonego projektu „Nowoczesny Uniwersytet” i stwarzać wizytującym naukowcom jak najlepsze warunki do pracy. Nie można bagatelizować kwestii logistyczno-finansowych, a inwestycja w konkurencyjny finansowo transfer zagranicznego uczonego to najlepsza „lokata kapitału”. Ponadto powinno się dążyć do wprowadzenia w życie reguły odbywania przez pracowników naukowych cyklicznych staży na najlepszych uczelniach zagranicznych. Po pierwsze, niezbędne dla rozwoju naukowego powinno być odbycie stażu zagranicznego przez młodych doktorów (wyjazd typu *post-doc*). Staż taki, być może w przyszłości traktowany jako obowiązkowy, powinien być uważany za istotny etap kariery akademickiej. Po drugie, powinno się promować system *sabbatical*, a właściwie szczególną jego formę, polegającą na tym, że raz na kilka lat pracownik naukowy, nie tracąc wynagrodzenia na UW, spędzałby rok na uczelni zagranicznej.

WSPÓŁPRACA W SKALI MIKRO

W skali lokalnej potrzebny jest rozwój współpracy z innymi uczelniami warszawskimi – przede wszystkim z Politechniką Warszawską, Warszawskim Uniwersytem Medycznym, Szkołą Główną Handlową, ale także z Akademią Sztuk Pięknych czy Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego. Rozdrobnienie warszawskich uczelni wyższych w znacznym stopniu osłabia naszą pozycję międzynarodową, a także obniża lokaty w rankingach. Dotychczasowa współpraca (na przykład z Politechniką Warszawską czy Warszawskim Uniwersytem Medycznym) pokazuje, że możliwa jest realizacja poważnych projektów badawczych, których podjęcie byłoby trudne do udźwignięcia dla jednej uczelni. Rozwijając ewentualne wątpliwości, można podać przykłady z praktyki światowej, gdzie np. sprawy bezpieczeństwa publicznego rozwiązywane są przez prawników i socjologów z klasycznych uniwersytetów, ich kooperantów z uczelni inżyniersko-technicznych (np. architektów) i specjalistów z dziedziny designu z uczelni artystycznych. Takim przykładem jest realizowany w Londynie i finansowany wielomilionowym grantem projekt *Resilient Infrastructure and Building Security*, którego efekty implementowane są w ramach przygotowań do Olimpiady 2012 roku. Wzorcem współpracy międzyuczelnianej w skali lokalnej jest też partnerstwo Uniwersytetu Harvarda i Massachusetts Institute of Technology (MIT) czy kooperacja kilku najsilniejszych uczelni londyńskich (UCL, Imperial College i King's College). W idealnej sytuacji – choć to perspektywa raczej odległa, a zadanie bardzo skomplikowane – można by dążyć do scalenia największych uczelni warszawskich w jeden wspólnie zarządzany organizm, który miałby o wiele większe znaczenie międzynarodowe i olbrzymi potencjał badawczy. Na takiej zasadzie działają najlepsze uczelnie świata; na Harvardzie, w Oxfordzie, Cambridge i wielu innych uniwersytetach z czołówki światowych rankingów w ramach jednej instytucji funk-

cjonują, cechujące się dużą niezależnością szkoły/kolegia, obejmujące nauki humanistyczne, społeczne, ścisłe, ekonomiczne, prawne, medyczne, inżynierskie i artystyczne. Z wielu względów przeprowadzenie takiej reformy byłoby w Polsce zadaniem karkołomnym, ale już teraz należy dążyć do tego, żeby współpraca między czołowymi uczelniami warszawskimi była jak najściślej.

PRYMAT JAKOŚCI NAD ILOŚCIĄ

Reformie powinien podlegać wreszcie system kształcenia. Należy dążyć do zwiększenia oferty przedmiotów prowadzonych w językach obcych, a także zajęć praktycznych (warsztatów dostosowanych do kierunku studiów) i międzywydziałowych. Obecnie istnieją tego typu rozwiązania, ale są one wykorzystywane zbyt okazjonalnie. Wymuszone sytuacją demograficzną, a także racjonalnymi przesłankami (przyjmowanie rzeczywiście najlepszych absolwentów szkół średnich) zmniejszenie liczby studentów przyjmowanych na Uniwersytet Warszawski sprawi, że łatwiejsze będzie stworzenie relacji typu: mistrz-uczeń oraz rozwój najwybitniejszych studentów w kierunku dalszej kariery naukowej. Z tego powodu konieczne jest ograniczenie liczebności grup seminaryjnych, tak aby przygotowanie pracy dyplomowej było prawdziwą pracą naukową. Autorem najlepszych prac powinno się przy tym ułatwiać ich publikację w formie rozdziałów w publikacjach zbiorowych bądź nawet jako monografii. Absolwentom o najwyższym potencjale powinno się także proponować podjęcie studiów doktoranckich. Ogólną zasadą musi stać się prymat jakości nad ilością; naszą dewizą powinno być kształcenie najlepszych przez najlepszych. W niedługiej perspektywie zaczniesz to przynosić wymierne efekty.

Jest oczywiste, że na markę UW ma wpływ wiele innych jeszcze czynników. Na osobne omówienie zasługują choćby problemy dotyczące programów studiów i spraw studenckich, chociaż to wszystko, o czym była wyżej mowa, w końcowym rozrachunku i tak sprowadza się do kwestii podnoszenia poziomu kształcenia na Uniwersytecie Warszawskim. Znaczenie ma również specyfika poszczególnych wydziałów bądź innych jednostek dydaktycznych i badawczych, zwłaszcza reprezentujących nauki humanistyczne lub społeczne, jak też kształtujących duże liczebnie roczniki studentów.

Czy taki plan reformowania Uniwersytetu jest realny, ma szansę na realizację i powodzenie? Jestem przekonany, że tak; wymaga wprawdzie dużego zbiorowego wysiłku i musi być rozłożony w czasie, ale dla ludzi Uniwersytetu, dla których nasza uczelnia jest największym dobrem wspólnym, podjęcie się tego wysiłku nie budzi wątpliwości. Wierzę też, że profesjonalna i zaangażowana kadra, jaką mamy na Uniwersytecie Warszawskim, daje najlepszą gwarancję skutecznego doprowadzenia naszej uczelni do wysokich pozycji w rankingach światowych. Liczę wreszcie na wsparcie naszych absolwentów, którzy po studiach będą mogli korzystać z marki UW i być z niej dumni. ■

¹ Tekst powstał przy współpracy dr. Kacpra Gradonia, adiunkta w Katedrze Kryminalistyki UW. ² <http://www.timeshighereducation.co.uk/world-university-rankings/2011-2012/top-400.html> ³ <http://www.arwu.org/ARWU2010.jsp>

Pytania i komentarze do artykułu można przysyłać jego autorowi za pośrednictwem strony:

www.tomaszewski.edu.pl

Prof. dr hab. TADEUSZ TOMASZEWSKI jest prawnikiem, specjalizuje się w kryminalistyce. Był dziekanem Wydziału Prawa i Administracji. Od 2008 r. jest prorektorem Uniwersytetu ds. nauczania i polityki kadrowej.

NAJLEPSI W POLSCE...

I CO DALEJ?

Prof. UW dr hab. MARCIN PAŁYS specjalizuje się w chemii nieorganicznej i fizycznej. Był prodziekanem Wydziału Chemii. Od 2008 r. jest prorektorem UW ds. rozwoju i polityki finansowej.

Początek roku to tradycyjnie okres robienia planów i składania sobie życzeń. Dotyczą one przede wszystkim następnych dwunastu miesięcy, jednak tym razem nasze myśli powinny wybiegać jeszcze dalej. Zmiany w przepisach o szkolnictwie wyższym stawiają bardzo aktualne pytania o to, jak wyobrażamy sobie naszą uczelnię w perspektywie następnych 5-10 lat? Dodajmy do tego, że Uniwersytet Warszawski wkrótce skończy 200 lat i warto zastanowić się, jak rozpocząć trzecie stulecie naszego istnienia. A zbliżające się wybory władz dziekańskich i rektorskich są dla naszego środowiska ważną okazją do wypowiedzenia się zarówno w sprawie wizji uczelni, jak i sposobów jej realizacji.

Dziś jesteśmy największym (liczebnie, naukowo, finansowo i organizacyjnie) i najlepszym (według rankingów polskich i zagranicznych) uniwersytetem w kraju. Wyników rekrutacji na studia zazdrości nam większość dużych uczelni. Nasze finanse są ustabilizowane. Gigantyczne inwestycje infrastrukturalne ze środków europejskich tworzą mocne fundamenty pod dalszy ambitny rozwój. Wynagrodzenia pracowników są porównywalne z innymi uniwersytetami (choć nie oznacza to, że są satysfakcjonujące). Patrząc jednak na wszystko razem, naszą sytuację możemy dziś oceniać jako dobrą. Daje to komfortowe warunki do planowania przyszłości.

W uchwalonej przed dekadą przez Senat uczelni „Misji Uniwersytetu Warszawskiego” i przyjętej ponad trzy lata temu „Strategii”, obszernie opisano listę celów, do których dążymy. Na co dzień musimy jednak dokonywać wyborów, ponieważ nie wszystkie cele można jednocześnie realizować. Nawet wśród tych, które można zrealizować, konieczne jest ustalenie hierarchii, czy to wynikającej z ograniczonych zasobów, czy to z indywidualnej sytuacji danej jednostki albo części Uniwersytetu. Zastanawiając się, co powinniśmy postawić na pierwszym miejscu, skłaniałbym się ku stwierdzeniu, że priorytetem jest utrzymywanie pozycji największego i najlepszego uniwersytetu w Polsce oraz dążenie do zajęcia jak najlepszej pozycji na światowej mapie wyższych uczelni.

Korzyści, jakie teraz odnosimy z faktu bycia największym i najlepszym uniwersytetem, są nie do przecenienia. Sukcesy w zdobywaniu funduszy strukturalnych w istotnej części wynikają z wiarygodności naukowej i finansowej oraz z potencjału zapewnianego przez tak wielką instytucję. Kandydaci na studia najczęściej wskazują prestiż UW jako powód wyboru uczelni. Szukający pracy podkreślają szacunek i uznanie, z jakim wiąże się zatrudnienie na Uniwersytecie. Korporacje świadczą nam usługi na preferencyjnych warunkach w zamian za możliwość wykorzystania tego faktu do celów promocyjnych. W dużych, międzynarodowych projektach jesteśmy pożądanym partnerem. Wiele z tych korzyści jest bezpośrednią „premią” za pierwsze miejsce na liście polskich uczelni. Także w przyszłości większość

naszych studentów będzie pochodzić z Polski, a przeważająca część naszego finansowania (nawet ze źródeł zagranicznych) przydzielana jest i będzie w Polsce. Stąd spadek z pierwszego miejsca miałby dramatyczne skutki, na które nie możemy sobie pozwolić; silna pozycja na „froncie domowym” jest najważniejszym celem oraz warunkiem niezbędnym do utrzymania dalszego stabilnego funkcjonowania Uniwersytetu.

Drugie miejsce na liście priorytetów to wzrost naszej pozycji, przede wszystkim naukowej, na arenie światowej. To zwłaszcza tutaj istnieją i możliwości, i największe pole dla rozwoju. Wymaga to ciągłego konfrontowania naszych osiągnięć, planów, silnych i słabych stron z Europą, ale i z całym światem, w którym właśnie dokonują się ważne przesunięcia w systemach nauki i szkolnictwa. Uczestnictwo w międzynarodowych projektach badawczych, wymiany studenckie i pracownicze, realizacja części programów studiów w uczelniach zagranicznych muszą zajmować odpowiednio ważne miejsce w polityce uczelni i wydziałów i być aktywnie wspierane przez wszystkie szczeble władz Uniwersytetu. Jeśli nie wykorzystamy naszych szans na arenie międzynarodowej, to z pewnością nie ocalimy też pozycji lidera w kraju. Inne uczelnie nie będą stać z boku. Może się okazać, że któraś z nich z owych szans skorzysta.

A warunki zewnętrzne szybko się zmieniają, do tego w nieprzewidywalny sposób. Dotyczy to zarówno sytuacji globalnej, jak i lokalnych, polskich reform systemowych. Wysiłki na rzecz regulowania kolejnych obszarów ograniczają, często niepotrzebnie, naszą swobodę. Dlatego trzecią pozycję na liście priorytetów powinno zajmować utrzymanie autonomii, gdyż bez niej rozwój Uniwersytetu zależeć będzie od ustaleń, które zapadną w gabinetach ministerialnych urzędników, a nie w wyniku rozstrzygnięć podjętych przez członków naszej społeczności akademickiej.

Zastanówmy się, jakie wnioski wypływają z przyjęcia takich priorytetów.

NAUKA

Aby liczyć się w świecie naukowym, trzeba mieć doskonałych ludzi, znaczne środki finansowe i dobre wsparcie organizacyjne. Brak któregoś z tych trzech elementów spowoduje fiasko ambitnych planów.

Doskonałych ludzi powinniśmy szukać wszędzie. Hołdowanie pogładowi, że tylko absolwenci i wychowankowie naszych wydziałów, instytutów czy szkół naukowych są wystarczająco zdolni by pracować na Uniwersytecie, nieuchronnie prowadzi do „chowu wsobnego” z jego wszystkimi negatywnymi konsekwencjami, w tym uwiąznięciem naukowym. Warto docenić wkład intelektualny osób pracujących jakiś czas poza uczelniami, ponieważ to często one podejmują nowe



Fot. M. Kaźmierczak

Autonomia uczelni to zdolność do samodzielnego określania roli, celów i sposobów działania.

Staje się ona tylko pustym słowem, gdy skrepują ją złe przepisy, ale także kiedy brak jest środków umożliwiających jej praktyczną realizację. Mówiąc dobitniej, będziemy mieć tyle autonomii, ile pieniędzy, którymi możemy swobodnie dysponować i przeznaczać na realizację naszych priorytetów

kierunki i tematy badawcze. Do tego by doskonałych ludzi zatrzymać, potrzebne jest zapewnienie im możliwości awansu, systemu wynagradzania premiującego kreatywność, sprzyjanie ich inicjatywom oraz oferowanie samodzielności wtedy, kiedy do niej merytorycznie dojrzeli, niezależnie od wieku czy pozycji.

Pieniądze na naukę rozdzielane są w drodze konkursowej oraz w drodze finansowania podmiotowego (BST, SPUB itp.), przy czym udział tego drugiego systematycznie spada. Finansowanie konkursowe sprzyja badaniom dającym wyniki w 2-3 letniej perspektywie. Finansowanie podmiotowe służy badaniom prowadzonym w długim okresie, w tym badaniom o charakterze fundamentalnym. Proporcja zdobytych przez daną jednostkę organizacyjną uczelni środków z grubsza wyznacza proporcję pomiędzy tymi dwoma typami badań. Postępująca szczupłość środków podmiotowych zmusza do dokonywania wyboru, które badania podstawowe finansować, a których nie, biorąc pod uwagę wartość przyszłych wyników dla danej dziedziny nauki. Brak decyzji, a w konsekwencji słabe finansowanie wszystkiego, prowadzi do powstawania przeciętnych wyników i erozji pozycji naukowej. Przeciętność jest też najważniejszym powodem spadków w światowych rankingach.

Dobre wsparcie organizacyjne to nie tylko fachowa administracja i sprawny system zarządzania. To także refleksja nad celami istnienia różnych struktur organizacyjnych. Pracownicy, zakłady czy katedry rozwijają się, gdy zatrudniają świetnych badaczy z wizjami rozwoju i śmiałymi pomysłami. Kiedy tracą dobrych liderów i nie mogą znaleźć nowych, powinni przekształcać się, łączyć lub rozwiązywać,

robiąc miejsce dla nowych inicjatyw. Inaczej skupiają się na celebrowaniu dawnych osiągnięć, co oddala nas od celu, jakim jest wzrost znaczenia Uniwersytetu w świecie naukowym.

Unikalną szansą dla rozwoju badań, które angażowałyby przedstawicieli różnych dyscyplin na UW, są centra badawcze, takie jak te powstające na kampusie Ochota. Mimo że wyrastają one z nauk przyrodniczych i ścisłych, to ich osiągnięcia będą tym większe i bardziej znaczące, im lepiej nawiążą współpracę z naukami społecznymi i humanistycznymi. Najpoważniejsze przedsięwzięcia naukowe mają często aspekty etyczne, psychologiczne i filozoficzne, a nowe technologie niejednokrotnie napotykały na bariery akceptacji społecznej czy komplikacje natury prawnej, skutecznie utrudniające ich wykorzystanie.

DYDAKTYKA

Dylematy i wyzwania, przed którymi staje nauczanie na Uniwersytecie, wnikliwie opisał prof. Marek Wąsowicz w poprzednim numerze pisma uczelni. Odwołując się do priorytetu bycia największym i jednocześnie najlepszym uniwersyteciem polskim widzimy, że potrzebne są nam zarówno studia masowe, zapewniające wielkość, jak i studia przyciągające najzdolniejszych kandydatów, budujące doskonałość. Do dyskusji jest proporcja, w jakiej powinniśmy te dwa podejścia stosować, i jakimi narzędziami dysponujemy, aby osiągnąć złoty środek. Być może szersze wprowadzenie zindywidualizowanych programów i toków studiowania w ramach szerokich kierunków byłoby alternatywą dla powoływania dużej liczby wąsko ▶

zdefiniowanych studiów, stojących przed barierą opłacalności, gdy zainteresowanie kandydatów trochę spadnie.

Pomysłów na ulepszenie nauczania uniwersyteckiego jest wiele, jednak na przeszkodzie w ich realizacji staje skala kosztów. Kwoty związane z nauczaniem, bezpłatnym i płatnym, stanowią łącznie znacznie ponad połowę finansów uczelni (dla porównania badania naukowe to tylko około 1/3). Zmiany w obszarze dydaktyki wymagają zazwyczaj istotnych nakładów, a korzyści przynoszą dopiero po dłuższym czasie. Jednocześnie wpływają one na złożone zagadnienia, takie jak ustalanie pensum dydaktycznego, podziału czasu i obowiązków pomiędzy naukę, dydaktykę a organizację oraz na to, z jakich źródeł powinny być finansowane wynagrodzenia – w tym uzupełniające – nauczycieli akademickich. Warunkiem zdolności do wprowadzania ulepszeń w obszarze dydaktyki, oprócz dobrych pomysłów, jest więc posiadanie odpowiednich możliwości finansowych. Rozszerzenie formuły Funduszu Innowacji Dydaktycznych oraz zwiększenie jego budżetu mogłoby stanowić częściowe rozwiązanie tego problemu.

AUTONOMIA

Swoboda prowadzenia badań, a w jeszcze większym stopniu swoboda kształtowania wizji dydaktyki, w bezpośredni sposób zależy od zakresu szeroko rozumianej autonomii uczelni. Dlatego warto zastanowić się, co o niej decyduje.

Autonomia uczelni to zdolność do samodzielnego określania roli, celów i sposobów działania. Staje się ona tylko pustym słowem, gdy skrepują ją złe przepisy, ale także kiedy brak jest środków umożliwiających jej praktyczną realizację. Mówiąc dobitniej, będziemy mieć tyle autonomii, ile pieniędzy, którymi możemy swobodnie dysponować i przeznaczać na realizację naszych priorytetów. Przykładem autonomicznego działania jest wspomniany Fundusz Innowacji Dydaktycznych, z którego wspierane są dobre inicjatywy, które nie mogą liczyć na finansowanie z żadnych źródeł zewnętrznych. Inny przykład, znany z przeszłości, to stypendia rektora UW dla nauczycieli akademickich. Nie są one już przyznawane z powodu niewystarczających środków. Ale ten przykład wyraźnie pokazuje, że to co możemy zrealizować, zależy wprost od swobody finansowej Uniwersytetu.

Dziś możliwość wygospodarowania środków budujących autonomię finansową, z ogólnych dotacji otrzymywanych przez naszą uczelnię, jest ograniczona. W znakomitej części dotacje te zużywane są na pokrywanie wydatków sztywnych, w tym przede wszystkim płac, oraz utrzymanie budynków. Fundusz płac to od 80% do 120% dotacji budżetowej otrzymywanej przez wydziały, co pokazuje jak ograniczony jest zakres autonomii wielu dziekanów. W skali ogólnouniwersyteckiej wprowadzenie do realizacji nowego zadania o budżecie rzędu 3-4 milionów złotych stanowi niełatwe wyzwanie.

Dlatego uważam, że zwiększanie autonomii, w tym finansowej, powinno zajmować ważne miejsce w działaniach władz uczelni po to, by mogła realizować swoje priorytety. Dla wzrostu autonomii potrzebne jest połączenie dwóch kierunków działań. Pierwszy z nich, to dalsze aktywne i skuteczne zdobywanie funduszy zewnętrznych na pokrycie części wydatków sztywnych, takich jak np. remonty, utrzymanie gmachów, niektóre składniki wynagrodzenia, dzięki czemu można zaoszczędzić pieniądze „elastyczne”. Wymaga to zaangażowania na wszystkich poziomach organizacyjnych, nie wyłączając pracowników administracji wydziałowej i centralnej. Pojawia się tu cały wachlarz możliwości, z których już korzystamy, ale możemy śmiało sięgać po więcej – w tym dotacje i subwencje, granty, fundusze na realizację projektów rozdzielane w trybie przetargów, konkursy o fundusze europejskie, wspólne projekty z przedsiębiorstwami, komercjalizacja osiągnięć, wreszcie wykorzystywanie zgromadzonego potencjału wiedzy i fachowości do organizowania studiów, szkoleń i kursów czy przygotowywania opracowań o charakterze eksperckim dla administracji państwowej, samorządów, organizacji publicznych oraz przedsiębiorstw krajowych i zagranicznych.

Drugi kierunek to optymalizacja naszej organizacji i administracji. Chociaż rezultaty finansowe są potencjalnie mniejsze niż przy zdobywaniu pieniędzy na zewnątrz, to jednak zależą przede wszystkim od czynników na które mamy wpływ. Sprawa organizacji jest jednak na tyle złożona, że zasługuje na oddzielne omówienie.

ORGANIZACJA

Pod nazwą Uniwersytet kryje się potężne przedsiębiorstwo, zatrudniające ponad 6 tysięcy osób, o przychodach bliskich miliardowi złotych. Do sterowania tak dużym organizmem nie wystarcza intuicja – potrzebna jest odpowiednia technologia. Takie technologie istnieją i są używane w dużych firmach i korporacjach, potrafiących sprawniej niż my prowadzić działania organizacyjno-administracyjne i logistyczne. Wiele rozwiązań mogłoby z korzyścią być zastosowanych u nas i zastąpić mechanizmy tworzone w pocie czoła „domowymi” metodami. Szczególnie wyraźnie dostrzegają to w uczelni ci, którzy prowadzą duże projekty albo koordynują powstawanie regulacji wewnętrznych. Chciałbym jasno powiedzieć, że nie chodzi mi w żadnym wypadku o bezmyślne skopiowanie wszystkiego z organizacji wielkiej korporacji, działającej w końcu w zupełnie innym otoczeniu i według odmiennych regulacji, ale o przyswojenie tych rozwiązań, które dobrze pasują do specyfiki naszego działania jako uczelni, instytucji badawczej i uczestnika życia publicznego.

Rodzaj pracy wykonywanej przez administrację zmienia się na naszych oczach. Obfite i radośnie uprawiane „prawotwórstwo” doprowadziło do przeregulowania i skutkuje równoległym funkcjonowaniem niespójnych, a nieraz sprzecznych ze sobą przepisów. Działalność pracownika administracji to coraz rzadziej rutynowe wykonywanie prostych czynności zgodnie z instrukcją kierownika. Coraz częściej jest to interpretowanie przepisów i regulacji połączone z samodzielnym rozwiązywaniem problemów oraz tworzeniem rozwiązań systemowych, w celu osiągnięcia najkorzystniejszego dla uczelni rezultatu. Taka zmiana nakłada na administrację konieczność zdobywania innych kompetencji niż te, które były najważniejsze lata temu. Wydaje się, że przemysłowy system szkoleń pracowniczych, pomagających w nabyciu nowych umiejętności, ułatwiłby podejmowanie wyzwań przez pracowników z cenną znajomością naszego środowiska, których dotychczasowe umiejętności stają się mniej potrzebne. Pozwoliłoby to na stałe podnoszenie profesjonalizmu administracji w tych obszarach, w których teraz odczuwamy jej niedoskonałości.

Drugie istotne działanie to zapewnienie nowoczesnych systemów obiegu i przetwarzania informacji. Obecnie niemożliwe jest kontrolowanie skomplikowanych procesów zarządzania, administrowania, sprawozdawczości i logistyki bez narzędzi informatycznych. Decyzja o wprowadzeniu nowego systemu, dostępnego przez portal UW, a zastępującego dotychczasowe programy księgowe, administracyjne i komunikacyjne jest już realizowana. W tym roku odbędą się pilotażowe próby nowej platformy, na którą następnie przenosić się będą kolejne segmenty organizacji i administracji. Przy okazji przenosin będzie też okazja do oceny i optymalizacji procedur, by w pełni wykorzystywać atuty technologii informatycznych.

Optymalizacja systemu organizacji i administracji będzie dawać więc wymierne korzyści w postaci oszczędności, a także eliminowania kosztów błędów i unikania strat wynikających z niewykorzystanych możliwości. Jest ona też niezbędnym warunkiem dalszego rozwoju Uniwersytetu i podejmowania wielkich wyzwań, zapewniających nam pozycję największej i najlepszej polskiej uczelni.

PODSUMOWANIE

„Misja” i „Strategia Uniwersytetu” nie straciły aktualności. Przedstawione uwagi służyły wskazaniu priorytetów wśród wielu celów wymienionych w uchwalonych przez Senat dokumentach. Najbliższe lata będą wymagały nie tylko podejmowania nowych wyzwań, ale także kontynuacji i dokończenia wyzwań już podjętych. Obecny czas jest najwłaściwszy do prowadzenia na te tematy dyskusji. ■

BAJKA

O PRAWDZIWEJ REFORMIE

Wojciech Dudzik

W niemieckim czasopiśmie „Forschung und Lehre” (nr 9/2011) ukazał się wywiad z prof. Markusem Pauly, biologiem, absolwentem Uniwersytetu Technicznego w Akwizgranie (doktorat 1998), który porównuje warunki zatrudnienia i negocjacje związane z postępowaniem konkursowym na stanowisko profesora na Uniwersytecie w Berkeley i na jednym z najlepszych (niewymienionym z nazwy) uniwersytetów niemieckich. Lekturę tej rozmowy polecam wszystkim (z panią minister Barbarą Kudrycką na czele), którzy ubolewają nad niską pozycją polskich uniwersytetów w światowych rankingach, nieefektywnością prowadzonych przez nas badań, niekonkurencyjnością naszych uczelni – i wzywają do podjęcia współzawodnictwa z najlepszymi (za wzór stawia się nam najczęściej uniwersytety amerykańskie).

OTO TEN WYWIAD:

Forschung & Lehre: Od 2009 pracuje pan jako profesor na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Chciał pan koniecznie pracować w USA, czy nie otrzymał pan atrakcyjnych propozycji z Niemiec?

Markus Pauly: Propozycje z Niemiec były zasadniczo dość interesujące. Po przyjęciu mojej kandydatury w Berkeley dostałem też zaproszenie na jeden z tzw. elitarnych uniwersytetów w Niemczech. W obu przypadkach (Berkeley/Niemcy) kontaktowano się ze mną, czy będę się ubiegał o profesurę na danej uczelni. Do obu przyciągało mnie wybitne środowisko naukowe i prowadzone w nich interdyscyplinarne badania w interesującym mnie zakresie. Od złożenia dokumentów w postępowaniu konkursowym do otrzymania konkretnej oferty w Berkeley upłynęło 6 tygodni, w Niemczech 8 miesięcy.

F&L: Kto prowadził z panem rozmowy i jak długo one trwały?

MP: Rozmowy w Berkeley prowadził ze mną tylko dziekan oraz dyrektor instytutu, a więc naukowcy. Od złożenia oferty (najpierw telefonicznie) do pisemnego określenia warunków pracy minęły dwa tygodnie. W tym czasie korespondowaliśmy e-mailowo, a potem także bezpośrednio rozmawialiśmy w Berkeley na temat szczegółów (m.in. wyposażenia laboratorium, środków na badania, propozycji pracy dla mojej żony – także naukowca). Na niemieckim uniwersytecie rozmowy prowadził ze mną głównie kanclerz, a więc osoba z administracji uczelni, a nie naukowiec. Różnica ujawniła się od razu w charakterze negocjacji. Kanclerza interesował przede wszystkim budżet, stanowiska asystentów, ale moje plany naukowego wykorzystania tego budżetu już mniej. Od złożenia oferty (najpierw e-mailowo) do pisemnego określenia warunków pracy minęły dwa miesiące. Dalsze rozmowy, zakończone moją rezygnacją, trwały jeszcze dwa miesiące. W tym czasie nie korzystałem z prawa renegowacji warunków pracy w Berkeley (w związku z otrzymaniem konkurencyjnej oferty), ponieważ propozycja z Niemiec nie dorównywała amerykańskiej: to, co mi mógł zaoferować niemiecki uniwersytet – w perspektywie dziesięcioletniej – na stanowiska dla asystentów, wyposażenie laboratorium i właściwe badania, stanowiło zaledwie 32 procent środków proponowanych przez Berkeley.

F&L: Co było przedmiotem rozmów, a co negocjacja nie podlegało?

MP: Zakres rozmów w obu przypadkach był podobny. W Berkeley zaoferowano mi tzw. *start-up package*. Obejmował on wyposażenie laboratorium, własny budżet oraz środki na zatrudnienie współpracowników. Oznaczało to, że moi współpracownicy i asystenci w laboratorium będą mogli być zatrudniani tylko z tego funduszu, do konkretnego projektu, a nie na stałe. Przedłużenie ich zatrudnienia będzie możliwe po zdobyciu innych środków (grantów itp.). Uniwersytet w Berkeley gwarantował tylko ów wstępny budżet. W Niemczech przedstawiono mi od razu plan stałych zatrudnień, co umożliwiłoby także bardziej dalekosiężne planowanie badań. W Berkeley dyskutowaliśmy długo na temat wyposażenia pracowni: na ile potrzebne są określone sprzęty i urządzenia, czy odpowiadają one najnowszemu stanowi badań i na ile przydatne będą dla całego wydziału. Wszystkie moje życzenia w tym względzie zostały spełnione, a sprzęt zamówiony w ciągu dwóch miesięcy. Na niemieckim uniwersytecie przedmiotem rozmów były przede wszystkim ceny konkretnych urządzeń i koszt ich obsługi oraz eksploatacji. Przy czym część sprzętu miała być zamówiona dopiero w ciągu dwóch-trzech lat. W Berkeley dyskutowano ze mną o zajęciach dydaktycznych (tematy i pensum) z dużą otwartością na moje propozycje i z zaskakującą elastycznością. Wszystkie moje życzenia zostały spełnione (roczne pensum miał wypełnić pięcioletni wykład z biochemii). Ponadto zwolniono mnie z zajęć dydaktycznych w pierwszym roku pracy, żebym mógł całkowicie poświęcić się organizacji laboratorium i badań. W Niemczech nie było mowy o podobnych rozwiązaniach: obowiązkowe pensum – 9 godzin zajęć tygodniowo, podzielone z góry (co wynikało z programu studiów) na 6 godzin wykładów i 3 godziny ćwiczeń laboratoryjnych. W obu przypadkach – co podkreślam z uznaniem – uczelnie znalazły też pracę dla mojej żony. Żona jest psychologiem (a więc spoza mojej dyscypliny); w Berkeley zaproponowano jej pracę na dwa lata w pewnej szkole biznesu (z możliwością późniejszego przedłużenia), w Niemczech zaś otrzymała ciekawą ofertę na cztery lata (choć gorzej płatną). Moja profesura w obu uczelniach miała być na czas nieokreślony. Oba uniwersytety zobowiązywały się do pokrycia kosztów mojej przeprowadzki. W Berkeley miałem też możliwość skorzystania z funduszu zwanego *faculty recruitment allowance*, oferującego kwotę w wysokości półrocznej pensji na zagospodarowanie. Na zakup domu zaś uniwersytet proponował bardzo korzystny kredyt. Czegoś podobnego w Niemczech nie ma.

F&L: Uniwersytet Kalifornijski uważany jest za najlepszą uczelnię publiczną na świecie. Od którego momentu rozmów w sprawie zatrudnienia był pan tego świadom?

MP: Najbardziej atrakcyjna w Berkeley (ale także na niemieckim uniwersytecie) była dla mnie gotowość do rozbudowywania mojej dyscypliny. Drugi plus dla Berkeley to naturalne położenie i warunki życiowe: z jednej strony wielkie miasto San Francisco, z drugiej urozmaicona przyroda, góry i morze, dodatkowo zaś łagodny klimat. To, że Uniwersytet Kalifornijski jest najlepszy, uświadomiłem sobie zaraz po pierwszych rozmowach. Studenci i doktoranci są tu świetnie wykształceni i świetnie motywowani do pracy. Pytają i stawiają problemy, co stanowi zawsze wyzwanie dla profesora ▶

Zamiast odpowiednich warunków do pracy, państwo oferuje nam zaszczyt wręczenia nominacji profesorskiej przez prezydenta – fenomen na skalę światową

– dzięki czemu praca daje nie tylko dużo radości, ale też jest bardziej efektywna. Uwidacznia się to w wynikach, publikacjach i patentach. Teraz widzę to już dokładniej od wewnątrz. Corocznie się przekonuję od nowa, ilu znakomitych doktorantów i stypendystów przyciąga Berkeley.

F&L: Od kilku lat stan Kalifornia zmniejsza budżet na naukę, rosną opłaty za studia – ale też płynnie więcej pieniędzy z przemysłu (tym samym rośnie też jednak wpływ przedsiębiorców na badania). Czy miało to jakieś znaczenie przy powoływaniu pana na stanowisko profesora?

MP: To prawda, że stan Kalifornia zmniejszył dotację budżetową dla uniwersytetów. Ale środki rządowe stanowią tylko 16 procent rocznego budżetu Uniwersytetu w Berkeley. Pozostała część pochodzi z opłat za studia, dotacji różnych fundacji i z pozyskiwania środków pozabudżetowych. Dlatego wspomniane oszczędności nie wpłynęły na przebieg moich negocjacji. Ale ogranicza się znacznie administrację. Niepokojące jest, że państwowe programy naukowe także są redukowane, co sprawi, że pozyskiwanie środków pozabudżetowych okaże się zapewne trudniejsze. Tymczasem w Niemczech rozwijana jest koncepcja tzw. elitarnych uniwersytetów i priorytetów badawczych – o czymś takim nie słychać nic w USA. Amerykański profesor, podobnie jak niemiecki, ma zagwarantowaną pełną wolność badań naukowych i dlatego nie podlega doraźnym naciskom. Kto chce jednak korzystać z dotacji przedsiębiorstw, musi umieć dyskutować o celach badawczych – i osiągać je.

Teraz zaś po tej pouczającej, jak mi nie mam, lekturze warto się zastanowić, o czym my w ogóle mówimy, kiedy ostatnio w Polsce dyskutujemy o problemach nauki i szkolnictwa wyższego, a zatem między innymi:

- o konkurencyjności w nauce, która, jak widać, nie musi polegać na tym, że profesor walczy o pozycję i przeżycie, ale na tym, że uniwersytety walczą o najlepszych profesorów;
 - o drugim zatrudnieniu pracowników naukowo-dydaktycznych (gdzie na świecie w ogóle znają coś podobnego? A skąd się wziął ten problem u nas?);
 - o uniwersytetach, które chce się zamienić w instytucje świadczące usługi dydaktyczne dla klientów-studentów i usługi eksperckie dla biznesu;
 - o języku publikacji naukowych (kiedy ani minister, ani jego urzędnicy, ani nawet niektórzy naukowcy nie potrafią zrozumieć, że np. biochemicy i astronomowie mogą posługiwać się wszędzie angielszczyzną, bo mają wspólne cele, natomiast podstawową powinnością polskiego humanisty jest dostarczanie polskiemu społeczeństwu – a nie kolegom po fachu z Hongkongu – wiedzy o procesach historycznych i kulturowych zachodzących w Polsce);
 - o definicji monografii i rozdziału w monografii (bo, jak się wydaje urzędnikom, jakoś dzieł naukowych zależy od ich długości, więc nie można uznać za monografię książki „tylko” stustronicowej, a za rozdział rozprawy, choćby i odkrywczej, na siedem stron);
 - o zmienianej co roku punktacji za osiągnięcia naukowe, co nie pozwala ani na sensowne ocenianie jednostek i pracowników, ani na dalekosiężne planowanie;
 - o wyposażeniu polskich uniwersytetów (na których wielu pracowników nie ma ani swojego biurka, ani swojego komputera).
- I tak dalej, i tym podobne – listę można by rozwijać tak bardzo, jak bardzo rozwija się w ostatnich latach biurokracja naukowa (oczywi-

ście – jak nas się uświadamia – z powodu wdrażania rozwiązań przyjętych w Unii Europejskiej; tu Polska, skoro nie daje rady w obszarach merytorycznych, najwyraźniej postanowiła zostać prymusem – w przeciwieństwie do innych krajów, biorących z reform UE tylko to, co dla nich najlepsze).

Dyskusja o reformie nauki i szkolnictwa wyższego mogłaby, powtarzam: mogłaby, stać się naprawdę ważną i naprawdę konieczną – zanim zaczęto nas stawiać przed faktami dokonanymi. Ale teraz o czym my w ogóle mówimy? Jaka reforma? Nowe ustawy i pisane w pośpiechu rozporządzenia do nich niczego nie zmieniają, a jeżeli – to na gorsze. Bo co mogą zmienić te rozbudowane paragrafy i ustępy? W sytuacji, kiedy uniwersytecki instytut ma uprawiać naukę z budżetem rocznym na tzw. badania statutowe w wysokości 36 tys. zł? Z kim ma konkurować polski profesor z wynagrodzeniem zasadniczym na poziomie średniej pierwszej pensji zdolnego informatyka świeżo po studiach, a zapowiadane gromko podwyżki są kosmetycznymi podwyżkami stawek minimalnych, a nie średnich? Na marginesie: wynagrodzenie profesora niemieckiego wynosi od 5 do 7 tysięcy euro, amerykańskiego wolę nawet nie pytać. Skoro „po pierwsze, nie ma armat”, to nie wytaczajmy w ogóle jakichkolwiek armat w prowadzonych ostatnio dyskusjach. Taka będzie bowiem polska nauka, jakie priorytety polskiego państwa.

Sukcesy polskich uczonych, nie tylko tych zatrudnionych w uczelniach zagranicznych, pokazują, że jesteśmy dobrze wykształceni i zdolni do konkurowania. Tymczasem zamiast odpowiednich warunków do pracy, państwo oferuje nam zaszczyt wręczenia nominacji profesorskiej przez prezydenta (fenomen na skalę światową). Myślę, że wielu z nas wyrzekłoby się pamiątkowego zdjęcia z prezydentem w zamian za zdobyte w otwartym, prawdziwym konkursie stanowisko, o które – ze względu na związane z nim warunki i perspektywy pracy – chciałoby się walczyć. Czy rzeczywiście stworzenie takich warunków dla niewielkiej w końcu grupy zawodowej, liczącej około 10 tysięcy profesorów na wyższych uczelniach w Polsce (według „Diagnozy stanu szkolnictwa wyższego w Polsce” z 2009 r. w uczelniach było zatrudnionych 8844 profesorów tytularnych) przetrąca możliwości państwa? Czy zamiast pokrętnych reform habilitacji w celu rzekomego przyspieszenia kariery naukowej nie wystarczyłoby znaczne zróżnicowanie wynagrodzeń pracowników naukowo-dydaktycznych tak, by pensja profesora stała się wielokrotnością pensji asystenta czy adiunkta – żeby więc było o co zabiegać i do czego się spieszyć, tak jak wygląda to na świecie? Naukowcy z własnej woli przyspieszyliby swoją karierę (a niezdolni po prostu odpadliby z konkursu) i skończyłoby się kompromitujące uzyskiwanie stanowiska profesora zwyczajnego tuż przed emeryturą (są kraje, w których nie można zostać profesorem po ukończeniu 52-55 lat).

Sprawdzonych rozwiązań na świecie nie brakuje. Nie chodzi w tym przypadku o jakiś całociśowy komentarz. Zachęcam tylko do refleksji nad powyższym wywiadem (a może bajką?) – oraz nad różnicą między reformą pozorowaną (kopiowanie zachodnich wzorów mobilności i konkurencyjności bez stworzenia do nich warunków) i prawdziwą. ■

Prof. UW dr hab. WOJCIECH DUDZIK jest teatrologiem, zastępcą dyrektora Instytutu Kultury Polskiej UW, członkiem Komitetu Nauk o Kulturze PAN i Rady Naukowej Instytutu Sztuki PAN. Oryginał wywiadu z Markusem Pauly jest dostępny na stronie: www.forschung-und-lehre.de/wordpress/Archiv/2011/ful_09-2011.pdf

AUTONOMIA PO ŚRODKU

Estonia, Wielka Brytania i kraje skandynawskie – to państwa, w których uczelnie mają najwyższą autonomię. Stawkę zamykają Grecja, Turcja, Cypr i Francja. A Polska? Z raportu przygotowanego przez European University Association wynika, że nasz kraj jest gdzieś w połowie zestawienia. Raport, przygotowany we współpracy z Konferencją Rektorów Akademickich Szkół Polskich, jej niemieckimi i duńskimi odpowiednikami oraz University of Jyväskylä, został zaprezentowany 15 listopada ubiegłego roku w Brukseli.

– Ten raport obala różnego rodzaju mity, jakie pojawiają się w dyskusji na temat autonomii uczelni w Polsce – mówi prof. Andrzej Kraśniewski, sekretarz generalny KRASP i członek komitetu nadzorującego przygotowanie opracowania. – Jak widać, nie mają racji zarówno ci, którzy twierdzą, że polskie uczelnie mają najwyższy poziom autonomii w Europie, jak i ci, którzy mówią, że szkoły wyższe nie mogą nic zrobić, bo są krępowane przez przepisy prawa – dodaje.

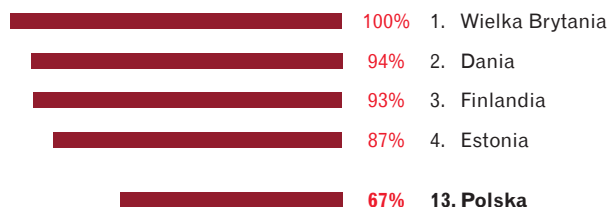
Autorzy opracowania przeanalizowali 28 systemów szkolnictwa wyższego w 26 krajach (niemieckie landy – Hesja, Brandenburgia oraz Nadrenia i Północna Westfalia – zostały potraktowane oddzielnie). Pod uwagę wzięto cztery obszary funkcjonowania uczelni – organizację, kształcenie, finanse i politykę kadrową. O miejscu poszczególnych krajów w zestawieniu decydowały m.in. swoboda, jaką szkoły wyższe mają w tworzeniu nowych wydziałów i jednostek, wyborze władz i ich odwoływaniu, zatrudnianiu i zwalnianiu pracowników oraz decydowaniu o ich pensjach, kształtowaniu programów nauczania, pobieraniu czesnego czy inwestowaniu pieniędzy pochodzących z dotacji państwowej. – Jeśli przeanalizujemy te cztery kategorie, to zobaczymy, że na ogół nazwy krajów znajdujących się w czołówce się powtarzają. Jest to więc swego rodzaju ranking państw i ich rządów – tego, jakie stwarzają swoim uczelniom możliwości działania – mówi prof. Kraśniewski.

We wszystkich czterech analizowanych kategoriach Polska znajduje się mniej więcej w połowie zestawienia. Najlepiej wypada w zestawieniu dotyczącym polityki kadrowej (12. miejsce), najgorzej (18. miejsce) – w przypadku autonomii finansowej. Pozycja Polski w tym ostatnim zestawieniu nie jest zaskoczeniem dla prof. Katarzyny Chałasińskiej-Macukow, rektor UW i przewodniczącej KRASP. – Ustawa o finansach publicznych nie pasuje do naszej złożonej rzeczywistości akademickiej – mówi pani rektor. I wyjaśnia, że od stycznia tego roku możliwość korzystania przez uczelnie z własnych środków jest jeszcze bardziej ograniczona. – Trzeba dodatkowo prowadzić oddzielne rachunki dla wpływów z czesnego i dotacji budżetowej. W przyszłości te zmiany mogą skutkować utratą przez nie płynności finansowej – dodaje.

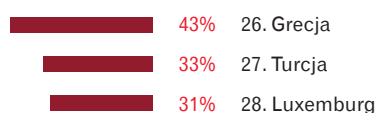
Chyba największym zaskoczeniem jest bardzo słaba pozycja Francji. Tym, co przesądziło o jej wyniku, jest m.in. to, że wszystkie programy studiów muszą być akceptowane na poziomie centralnym. Instytucje państwowe decydują też o kryteriach, jakie spełniać mają kandydaci na studia licencjackie, o liczbie etatów na uczelni, a nawet uczestniczą w wyborze osób pełniących ważniejsze funkcje w uczelnianej administracji. Francuskie uczelnie nie mogą też m.in. prowadzić studiów licencjackich w języku innym niż francuski (w przypadku studiów magisterskich muszą ▶

Autonomia organizacyjna

Najwyższy wskaźnik

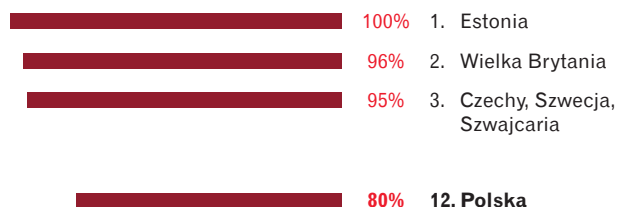


Najniższy

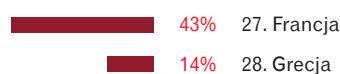


Polityka kadrowa

Najwyższy poziom autonomii



Najniższy

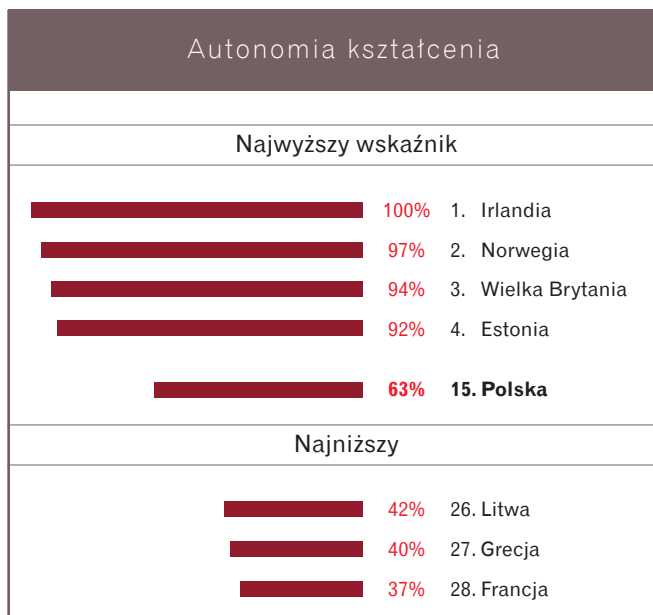
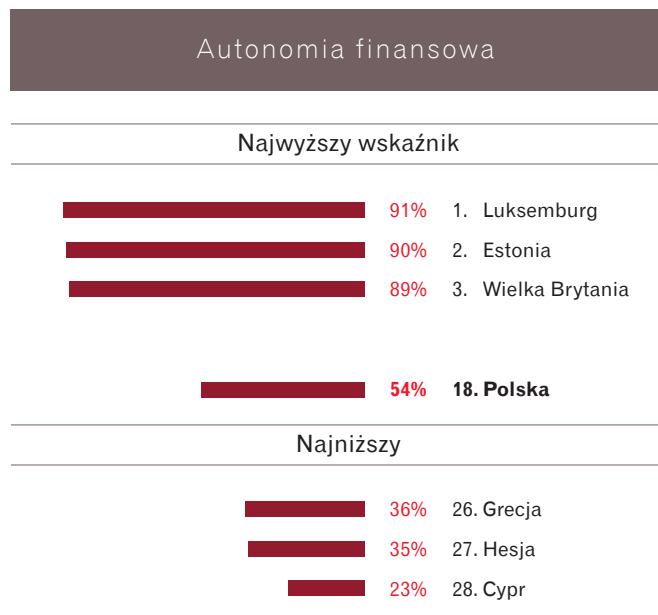


być zachowane odpowiednie proporcje między prowadzonymi po francusku i w innych językach). Co ciekawe, tego typu restrykcje funkcjonują nadal, mimo że od 2007 roku prowadzona jest tam reforma szkolnictwa wyższego, która miała na celu m.in. przyznanie uczelniom większej autonomii.

Dane, które posłużyły do przygotowania raportu, były zbierane jesienią 2010 r., a więc jeszcze przed wejściem w życie nowelizacji ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym”. Czy, gdyby dziś zebrano je ponownie, pozycja Polski w tych zestawieniach byłaby inna? Jednym z kryteriów uwzględnianym przy konstrukcji tabel była swoboda tworzenia programów studiów. W tej sprawie sporo

się zmieniło – zlikwidowano centralną listę kierunków studiów, wprowadzono Krajowe Ramy Kwalifikacji. Zdaniem prof. Krasniewskiego nie miałyby to jednak większego wpływu na ogólną ocenę Polski. – *Przesunęliśmy się o jedną – dwie pozycje. Przy czym musimy sobie zdawać sprawę, że zmiany następują także w innych krajach, więc to że my coś poprawimy, zostanie skompensowane przez to, że inne kraje też coś sobie poprawiły* – mówi. ■

Raport „Autonomy Scorecard” jest w całości dostępny na stronie: www.eua.be.



NIE MA RADY?

Consuetudo quasi altera natura¹

Indywidualne postawy przedstawicieli środowiska akademickiego kształtuje aktualne prawodawstwo², jednak zwyczaje i poglądy przechowywane w pamięci zbiorowej, noszą ślady czasów dawniejszych. Wysiłki władzy zmierzające do reformowania obyczajów akademickich, nawet jeśli doraźnie mało skuteczne, nie pozostały bez wpływu na późniejsze prawo. Losy rady wydziału – reprezentatywnej, jawnej i stale obecnej formy szerokiego uczestnictwa zbiorowego w życiu akademickim, pozwalają śledzić kondycję polskich uczelni na przestrzeni prawie stulecia polskiego systemu akademickiego³. Przez analizę kolejnych aktów prawnych zmierzamy do zrozumienia genezy nadwiślańskich osobliwości, wyraźnie zauważalnych dzięki otwartym kontaktom z uczelniami Europy.

Pierwszy rozdział tej historii zamyka się w roku 1951³, gdy w okresie 12 miesięcy skreślono ustawodawstwo akademickie II

RP i uformowano na wschodnią modłę całą sferę szkolnictwa wyższego i nauki kolejnymi ustawami: o instytutach naukowo-badawczych (styczeń), o Polskiej Akademii Nauk (październik) i o szkolnictwie wyższym i pracownikach nauki (grudzień). Wydarzenia te pozostają poza horyzontem pamięci: właśnie przeszli na emeryturę ostatni profesorowie urodzeni przed wojną. Ślady wspomnień o roku 1951 odnaleźć można już tylko w rzadkich pamiątkach⁴. Najstarsi dziś zatrudnieni rozpoczynali akademicką karierę pod rządami ustawy z roku 1958⁵ uchwalonej w atmosferze popaździernikowej politycznej odwilży. Wielokrotnie nowelizowana, przetrwała formalnie do roku 1982, a kolejne akty prawne czerpały z jej rozwiązań.

Lektura ustaw okresu powojennego przed rokiem 1989 nie dostarcza rzetelnej wiedzy o rzeczywistości tamtych czasów, gdy

życie rozmijało się z literą stanowionego prawa. Utrwalone w ustawach przepisy, owoc namysłu i kompromisu rządzących oraz przedstawicieli środowiska, które umiało być niepokorne, dostarczają jednak wiarygodnego świadectwa trudności, aspiracji i zapobiegliwości tych ostatnich w okresie formującym życie akademickie w Polsce przez dwa pokolenia. Znakami rozpoznawczymi zmian sytuacji szkolnictwa wyższego są ustawy ogłaszane w formie nowego prawa w okresach przełomów politycznych (1958, 1990).

W roku 1958 autorzy ustawy, wykształceni pod rządami dawnych zwyczajów, dołożyli starań by przywrócić ich ducha. Przypomniano, czym ma być wydział: *Wydziały są jednostkami organizacyjnymi pracy naukowej i dydaktycznej; (...) odpowiadają głównym dziedzinom studiów (...)*. Żadna z późniejszych ustaw już tak jasno sformułowanej misji wydziału nie powtórzy. Formalną pozycję wydziału osłabił przepis, że *katedry, które stanowią podstawowe jednostki organizacyjne pracy naukowej i dydaktycznej szkoły w zakresie jednej lub kilku pokrewnych dyscyplin mogą być tworzone również poza wydziałem*, podobnie jak przewidziane ustawą instytuty tworzone, jeżeli prowadzone badania naukowe wykraczają poza ramy jednej katedry. Pierwotnym przeznaczeniem instytutu miała być organizacja interdyscyplinarnych badań naukowych.

Ustawa zachowuje wprowadzoną w 1951 roku nazwę *pracownicy nauki* dla profesorów, docentów, adiunktów i asystentów jako pozornie nobilitującą w zestawieniu ze stanowiskami wykładowcy, biblio-

cenie dziekana nieograniczanego w swej władzy stanowiskiem rady wydziału. W konsekwencji odpowiedzialność za kształt nauczania, dawniej z mocy prawa, później siłą tradycji spoczywająca na znanych z nazwiska profesorach, przechodzi na urząd dziekański. I tak już pozostanie. Powierzenie wykładu adiunktom bez habilitacji, wówczas jeszcze rzadkie, w latach 80-tych przestanie być osobliwością; później stanie się pospolite.

Ważną kompetencją rady wydziału pozostaje nadawanie stopni naukowych, rad w jednostkach pozawydziałowych taką kompetencją nie obdarzono. Zachował się w zapisach ustawy ślad wahania w sprawie nadawania stopni przez instytuty poza uczelniami (od 1951). Czytamy: *Do czasu wydania nowych przepisów (...) placówki naukowe PAN oraz istniejące poza szkołami wyższymi instytuty naukowe (...) mają prawo nadawania stopni naukowych (...)*. Stan taki potwierdzono w roku 1960 i funkcjonuje nieprzerwanie do dziś. Wkrótce (1965) stopniom i tytułom naukowym poświęcona będzie odrębna ustawa: nadawanie stopni naukowych, niegdyś niezbywalna kompetencja rady wydziału, stanie się odtąd przywilejem nadawanym przez władzę centralną. Rada wydziału traci pozycję szczególną, rosnące w siłę instytuty pozauczelniane bez przeszkód drenują uczelnie z kadry, przyciągając adeptów do doktoratów i habilitacji.

W roku 1990⁶ pisano prawo akademickie III RP w warunkach przemian, których atmosferę można przyrównać jedynie do okresu narodzin pierwszej ustawy, 70 lat wcześniej. Jako wzorca

Czas przypominać, że osią aktywności i sensem istnienia uczelni wyższej jest jej edukacyjna misja, bezcenna w nowoczesnym kraju. Na straży tej wartości stać ma zbiorowa mądrość profesorów, przyjmujących ze stanowiskiem także odpowiedzialność za intelektualny poziom pokoleń, które kształcą

tekarza, lektora. Po 1973 wszystkie kategorie pracowników złączono pod wspólną nazwą *nauczycieli akademickich*. Zaliczono do nich także pracowników naukowych, niewykonujących dydaktyki; urzędowa dialektyka uporała się z oczywistą sprzecznością tak skutecznie, że rozwiązanie funkcjonuje do naszych dni.

Rada wydziału odzyskuje prawo głosu, choć tylko doradcze: *Dziekan zasięga opinii rady we wszystkich sprawach o istotnym znaczeniu dla wydziału*. Do rady wchodzi z urzędu wszyscy profesorowie i docenci oraz przedstawiciele innych grup zawodowych. Ta demokratyczna formuła zmieniła radykalnie i trwale rolę rady wydziału, którą dotąd tworzyli kierownicy wydziałowych katedr z urzędu odpowiedzialni za nauczanie kluczowych przedmiotów³. Teraz pełny głos w radzie zdobywa każdy zatrudniony po habilitacji niezależnie od swojej roli nauczycielskiej. Samej habilitacji przywrócono tradycyjną nazwę, lecz nie rolę: nie wiąże się z nią już ani przywilej, ani obowiązek samodzielnego nauczania. Od roku 1958 rady zaludniają kolejne pokolenia pracowitych badaczy, skoncentrowanych na pracy naukowej. Udzielanie licencji na samodzielne nauczanie, kiedyś kluczowe zadanie rady³, nie będzie odtąd zajmować uwagi jej członków.

Kierownicy ciągle istniejących katedr zachowują wiodącą rolę w nauczaniu jeszcze przez dziesięciolecie, aż poważna nowelizacja odbierze katedrom status uprzywilejowany. W uczelniach zagoszczą instytuty, zakłady, zespoły itp. o niedefiniowanej *a priori* funkcji dydaktycznej; pierwszą troską ich kierowników stanie się organizacja badań naukowych. Nauczanie będzie odtąd wykonywane na zle-

nie wybrano ani prawa II RP, ani tradycyjnych modeli zachodnich. Punktem wyjścia powrotu do normalności w omawianym zakresie funkcjonowania wydziału stały się rozwiązania z roku 1958. Trudno sądzić, by prawodawcom roku 1990 brakło wiedzy o polskich zwyczajach sprzed 1951, najstarsi jeszcze je pamiętali. Zwyciężyło zapewne wspomnienie młodzieńczej euforii okresu 1956-58. Czterdziestolecie 1951-90 pozostawiło swój ślad: priorytet badań naukowych nad funkcją nauczycielską stał się szeroko akceptowaną normą w polskim systemie akademickim. Nowa ustawa nie odbuduje istniejących w dawniejszych ustawach mechanizmów stymulujących kadry akademickie do samodzielnej, twórczej i odpowiedzialnej dydaktyki.

Od roku 1990 wydział jest podstawową jednostką organizacyjną uczelni. Termin jest przemyślany i wykorzystany w równoległym prawodawstwie o finansowaniu nauki. Charakterystyczna jest ewolucja roli takiej jednostki, która na mocy kolejnych ustaw musi prowadzić:

1990⁶: *jeden lub więcej kierunków studiów*;

2005⁷: *co najmniej jeden kierunek studiów lub studia doktoranckie co najmniej w jednej dyscyplinie naukowej*;

2011⁸: *co najmniej jeden kierunek studiów, studia doktoranckie lub badania co najmniej w jednej dyscyplinie naukowej*.

Prowadzenie nauczania stopniowo przestaje być konieczną rolą wydziału – podstawowej jednostki organizacyjnej szkoły wyższej. Uniwersalna jedność badań naukowych i nauczania, o której jeszcze w 1958 roku pamiętano, odchodzi w mrok. ▶

Zwyczaj demokracji parlamentarnej pozwalają praktykować w skali wydziału mechanizmy znane z polityki. Formalnie przestrzegane uprawnienia rady są iluzoryczne, gdy rada głosuje w milczeniu lub staje się areną kłótni o interesy

Około 60% składu rady wydziału tworzą teraz profesorowie i doktorzy habilitowani; nazwa *pracownicy samodzielni* pozostała w ustnej tradycji. Radę dopełniają wybierani delegaci innych nauczycieli, pracowników i studentów. Jej kompetencje władcze są enigmatyczne: ustawa wymienia uprawnienia oczywiste (programy studiów, plan finansowy, ocena dziekana), podejmowanie innych uchwał ogranicza do spraw *określonych w ustawie lub statucie uczelni*. Współczesna rada ma być wykonawcą roli zadanej przez wyższe władze, o *wszystkich sprawach o istotnym znaczeniu dla wydziału*⁵ nie ma już mowy. Ograniczenie zrozumiałe: rada w zaprojektowanym składzie jest wydziałowym sejmikiem, nie arcopagiem. W demokratycznym zgromadzeniu możliwe są wybory, wygłaszanie poglądów, głosowania – lecz nie dyskusje. Gdzie odbywają się narady?

Najbardziej sformalizowana kompetencja rady, nadawanie stopni naukowych, ma utrwaloną oprawę regulowaną przez odrębne ustawy (od 1965). Rada jest niezmiennie miejscem głosowania, a w sprawach stopni prawo głosu służy profesorom i doktorom habilitowanym. Gdy ci stanowią ledwie połowę składu, a zwyczaj abscentowania zainteresowanych uchodzi za anachronizm, zanika skłonność do otwartych dyskusji kompetentnych członków rady. Ciężar debaty spada na wymagane prawem komisje, nad stopniami pochylają się specjaliści, a rolę decydującą odgrywają recenzenci. Ustawa żąda analizy i oceny dorobku naukowego kandydata, lecz nie wspomina, by doświadczenie nauczycielskie mogły być tu brane pod uwagę⁹.

Szczęśliwiec po habilitacji zasiada automatycznie w radzie wydziału, nawet jeśli jedyna forma nauczania jaką zna, to szablonowe ćwiczenia. Jest gotów do objęcia stanowiska profesora i świadom, że jego dalsze losy będą zależne od rady. Wymaganie ustawodawcy z roku 1990 było pryncypialne: *Mianowanie po raz pierwszy na dane stanowisko (...) następuje (...) w drodze konkursu otwartego*. Lecz w ogłaszaniu konkursu pozostawiono dowolność działania akademickiej władzy. Początkowym spostrzeżeniem nowego członka rady będzie, że konkursy na stanowiska nauczycieli akademickich wygrywa się dorobkiem naukowym, nie doświadczeniem w nauczaniu. Drugim, że waga dorobku naukowego jest bez znaczenia, gdy dziekan ogłosi konkurs, którego zwycięzca jest wiadomy, choć nie nazwany. Kolejnym – że opinia rady wydziału (głosują wszyscy) jest formalnością. *Sapienti sat*¹⁰. Dalsze doświadczenie przyniesie czas: zostać członkiem rady, nie oznacza być dopuszczonym do narady.

W głosowanych przez radę sprawach personalnych, budżetowych lub programowych prawo nie formalizuje trybu postępowania. Sprawdzonej metodą akademickiej władzy jest zdobywanie poparcia poprzez debaty w starannie dobranym (lecz nie wybranym) zespole, skutecznym narzędziem – wyznaczenie właściwej komisji, aby jej wniosek był zgodny z powziętym zamiarem. Za konsekwencje odpowie rada. Zwyczaj demokracji parlamentarnej pozwalają praktykować w skali wydziału mechanizmy znane z polityki. Formalnie przestrzegane uprawnienia rady są iluzoryczne, gdy rada głosuje w milczeniu lub staje się areną kłótni o interesy.

Inaczej niż w procedurze nadawania stopni, gdzie nad działaniami rady czuwa centralna komisja¹¹, w sprawach zatrudniania ustawodawca pozostawił demokrację wydziałową własnej mądrości. Odwrócenie wagi spraw jest dowodem, że kluczową troską ustawodawcy jest poziom nadawanych stopni, a nie kompetencje zatrud-

nianych i awansowanych kadr nauczycieli. W roku 1990 taki pogląd mógł być usprawiedliwiony brakiem zagranicznego obycia. 20 lat później wiedzą nawet studenci, że stopień naukowy jest tylko krokiem na drodze, a stanowisko akademickie – poważnym i trudnym zawodem, odpowiedzialnym za kształtowanie warunków studiowania, jego efektywność, poziom i społeczny odbiór. Także jakość nadawanych stopni naukowych w decydującym stopniu zależy od horyzontów myślowych tych, którzy zostali w uczelniach zatrudnieni, nie od dobrych chęci organów kontrolnych.

Wśród niejasnych mechanizmów promowania, nauczycielem akademickim może być każdy, jeśli jego zatrudnienie jest mile widziane z powodów naukowych lub towarzyskich. Osierocone nauczanie, wystawione na pastwę interesów grupowych swobodnie czerpiących stawę z zasobów edukacyjnych staje się zarzewiem zjawisk opisywanych w druzgocącej, choć dotąd bezowocnej publicznej krytyce^{12,13}. Świadomość zagrożenia tliła się od dawna, więc radzie wydziału ustanowiono kolejnego nadzorcę (2005). Państwowa Komisja Akredytacyjna oglądająca rzeczywistość przez pryzmat dokumentów skutecznie eliminuje zjawiska jawnie sprzeczne z prawem. Lecz gdzie papiery w porządku, kontrola bezradna. Przykładem zakaz zatrudniania krewniaków (2011) ośmieszony na naszych oczach przenoszeniem bliskich do jednostek po drugiej stronie korytarza.

Rada wydziału, dziś strukturalnie niezdolna do dźwignienia ciężaru odpowiedzialności staje się balastem urzędów akademickich, zamiast wytyczać im drogę przez manowce. Gdy brak kompasu, a nie tradycji wstąpi, życie płynie bez drogowskazów. Nie pomagają zmienne ustawy, pisane jak instrukcje obsługi administracyjnych procedur – cieszą urzędników, lecz uczonych nie interesują. Na bliskie stulecie pierwszej polskiej ustawy akademickiej³ byłby już czas zrewidować dziedzictwo lat minionych. Czas przypominać, że osią aktywności i sensem istnienia uczelni wyższej jest jej edukacyjna misja, bezcenna w nowoczesnym kraju. Na straży tej wartości stać ma (w mniemaniu społecznym) zbiorowa mądrość profesorów, przyjmujących ze stanowiskiem także odpowiedzialność za intelektualny poziom pokoleń, które kształca. Czy zdołamy mocą prawa przywrócić ten naturalny ład, u innych zakorzeniony w tradycji, której ciągłość nie była nam dana? ■

¹ Łac.: *Zwyczaj (stanowi) jakby drugą naturę*, cyt. za: J. Pieńkoś, *Praecepta juris*, wyd. PWP Iuris, Warszawa-Poznań, 2010. ² L. Komorowski, *Profesora byt i świadomość*, UW nr 53 (2011), s. 29. ³ L. Komorowski, *Trudna rada*, UW nr 54 (2011), s. 18. ⁴ H. Steinhaus, *Wspomnienia i zapiski*, ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2002, s. 417. ⁵ Dz. U. nr 68, poz. 336, 1958. ⁶ Dz. U. nr 65, poz. 385, 1990. ⁷ Dz. U. nr 164, poz. 1365, 2005. ⁸ Dz. U. nr 84, poz. 455, 2011. ⁹ Dz. U. nr 65, poz. 595, 2003. ¹⁰ Łac.: *Mądrości wystarczy*. ¹¹ Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów. ¹² K. Bachman, *Szkoła wyższa w oparach absurdu (Wyższa szkoła wstydu)*, Gazeta Wyborcza, nr 246, (2009), s. 18. ¹³ M. Papużńska, *Wyższa szkoła tego i owego*, Polityka, nr 40, (2009) s. 12.

Prof. dr hab. LUDWIK KOMOROWSKI jest chemikiem, byłym prorektorem Politechniki Wrocławskiej. Historię polskiego ustawodawstwa dotyczącego szkolnictwa wyższego do roku 1951 prof. Komorowski przedstawił w artykule „Trudna rada”, „UW” nr 4/54, październik 2011.

TWÓRCA MOSTU TOLERANCJI

TYTUŁ DOKTORA *HONORIS CAUSA* DLA PROF. SZEWACHA WEISSA

izabela kraszewska

– *Dzięki wam jestem dziś warszawiakiem* – powiedział prof. Szewach Weiss, który 30 listopada 2011 r. otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Nie krył, że była to dla niego wzruszająca i ważna chwila, bo jak sam podkreślił, tę najwyższą godność akademicką przyznała mu uczelnia, z którą czuje się blisko związany. – *Tutaj mam wielu przyjaciół, tu są też moi studenci, którzy są bardzo zainteresowani relacjami Polaków i Żydów* – stwierdził. Promotorem dorobku naukowego prof. Weissa był prof. Marcin Kula z Instytutu Historycznego UW, a recenzentami profesorowie: Krzysztof Pilarczyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Feliks Tych z Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz Wojciech Wrzesiński z Uniwersytetu Wrocławskiego.

– *Przyznając panu profesorowi doktorat honorowy, nasz Uniwersytet daje wyraz uznania dla pana działań w zakresie zbliżenia dwóch społeczności i dwóch państw. W tym kierunku prowadziła zarówno pańska działalność zawodowa, jak i osobiste zaangażowanie* – powiedział podczas uroczystości prof. Marcin Kula. Dodał, że przyznając profesorowi Szewachowi Weissowi to wyróżnienie, Uniwersytet zabiera także głos w toczących się w Polsce dyskusjach o tematyce żydowskiej. – *Uniwersytet zabiera wręcz głos w sprawie własnej przeszłości. Owa przeszłość jest zaś z rozsądnego punktu widzenia zróżnicowana – jak przeszłość Polski* – stwierdził. – *Istnieli przecież w Polsce tzw. szmalcownicy oraz istnieli ludzie ratujący Żydów. Można w dziejach Polski wskazać szereg negatywnych postaw wobec Żydów, ale przecież kwitła tu bogata kultura żydowska i żyli wybitni twórcy żydowscy oraz polsko-żydowscy. Gdyby było tu jednoznacznie złe, nie byłoby takich osiągnięć* – powiedział prof. Kula. Mówiąc o historii Polski i dziejach Uniwersytetu, promotor podkreślił, że uczelnia również posiada zróżnicowany bilans stosun-

ków łączących społeczeństwo żydowskie i polskie. – *Nieraz pojawiło się na Uniwersytecie głębokie przełamanie w sprawie żydowskiej. W okresie międzywojennym niestety wprowadzono getto ławkowe i działały bojówki atakujące Żydów. Byli jednak też profesorowie, którzy wykładali stojąc – protestując tym samym przeciw dyskryminacji rasowej – wspominał promotor. Przytoczył historię o tym, jak jeden z najwybitniejszych polskich uczonych, filozof Tadeusz Kotarbiński, wykładając na stojąco, ledwo uchylił się przed kałamarzem rzuconym w niego przez kogoś; wielka plama atramentu rozlała się na ścianie tuż za nim. Prof. Marcin Kula przypomniał też o wydarzeniach kampanii antysemickiej, które rozegrały się na uczelni w marcu 1968 r. – *W centrum nagonki znalazła się grupa profesorów Uniwersytetu Warszawskiego. Cały Uniwersytet Warszawski zachował się wówczas lepiej niż niejedna uczelnia. Miło mi, że Instytut Historyczny akurat zachował się bardzo dobrze. Jednak niestety minister, który w 1968 r. podpisał haniebne rozporządzenia, był profesorem naszej uczelni. Niestety znaleźli się wśród profesorów także tacy, którzy przyłączyli się do marcowej nagonki* – wspominał.*

Przemawiając do wyobraźni metaforą posłużył się prof. Krzysztof Pilarczyk, który w recenzji dokonał prof. Weissa napisał: *Przez jego osobiste doświadczenie obraz Polaków, Ukraińców, Białorusinów w relacji do Żydów nie pozwalał zamknąć się w symbolu „stodoły w Jedwabnem”.* Jego *świadectiono*, że znał „inne stodoły”, w których ratowano Żydów, było wyrazem potrzeby wyważonej oceny przeszłości, w której odnajdywanie prawdy musi brać górę nad ideologią. W podsumowaniu dodał też, że prof. Weiss jest *pontifexem*, który buduje mosty dla naszej wspólnej przyszłości, stopniowo burząc historyczne i kulturowe mury, które w minionym wieku wyrosły najwyżej. ■

Prof. SZEWACH WEISS urodził się w 1935 r. w żydowskiej rodzinie w Borysławiu – położonym wówczas na terenie Rzeczypospolitej, a obecnie na Ukrainie. Miał 6 lat, gdy wojska hitlerowskie wkroczyły do jego rodzinnego miasta. Dzięki pomocy sąsiadów – Polaków i Ukraińców, Weissom udało się uniknąć zatrzymania w getcie oraz wywózki do hitlerowskich obozów zagłady. Po opanowaniu Borysławia przez wojska radzieckie, Weissowie zmuszeni byli opuścić okolice wcieloną do Ukrainy i przenieść się na tereny polskie. Na pewien czas zatrzymali się w Gliwicach i Wałbrzychu, a następnie Szewach Weiss dotarł do Palestyny. Po odbyciu służby wojskowej, podjął studia na uniwersytetach w Jerozolimie i Tel-Awiiwie. Studiował nauki polityczne, stosunki międzynarodowe i prawo. Ukończył również studia prawnicze na Uniwersytecie w Tel-Awiiwie oraz Międzynarodowe Seminarium w Brookings Institute w Waszyngtonie. W 1975 r. uzyskał tytuł profesora na Uniwersytecie w Hajfie. Przez wiele lat pracował jako wykładowca akademicki, dziennikarz radiowy, pisał też książki dla dzieci.

W roku 1969 włączył się w życie polityczne, sprawował m.in. funkcje: radnego miasta Hajfy, członka komitetu centralnego Partii Pracy, posła do Knesetu, następnie zastępcy przewodniczącego oraz przewodniczącego Knesetu (1992-1996). Był też delegatem izraelskiego parlamentu do Rady Europy oraz honorowym przewodniczącym rady Instytutu Pamięci o Holokauście Yad Vashem w Jerozolimie. W latach 2000-2003 pełnił funkcję ambasadora Izraela w Polsce.

Od kilku lat prowadzi wykłady na temat historii i polityki Izraela na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, jest kierownikiem Centrum Badań nad Współczesnym Izraelem UW.



Prof. Szewach Weiss, fot. M. Kluczek

ŚWIAT NA PAPIRUSIE

Olga Basik

Już od ponad 30 lat prof. Hans Hauben współpracuje z polskimi badaczami starożytności, szczególnie papirologami. Spontanicznie zaangażował się w obronę pracowników UW w okresie stanu wojennego. Poświęcał również wiele czasu i uwagi stypendystom z naszej uczelni, którzy odwiedzali uniwersytet w Leuven.

Od 1981 r. prof. Hauben gościł na naszej uczelni aż 11 razy. Ostatnia wizyta była szczególna. Senat Uniwersytetu na wniosek Wydziału Historycznego postanowił nadać mu tytuł doktora *honoris causa*. Uroczystość odbyła się 11 stycznia w sali Senatu Pałacu Kazimierzowskiego.

Promotorem doktoratu został prof. Adam Łukaszewicz z Instytutu Archeologii UW, a recenzentami profesorowie: Józef Méléze-Modrzejewski z Paris Sorbonne University (Paris IV), Karol Myśliwiec z Polskiej Akademii Nauk oraz Hans Albert Rupprecht z Philipps-Universität Marburg.

Uczony należy do grona europejskich badaczy, którzy zajmują się zarówno filologią klasyczną, jak i historią świata starożytnego. Wynikiem jego znakomitego przygotowania filologicznego są analizy dokumentów pisanych, szczególnie w zakresie papirologii, które prowadzą do oryginalnych wniosków bądź interpretacji istotnych źródeł historycznych. Pionierski charakter mają jego badania nad flotą hellenistyczną. Badał również żeglugę morską i rzeczną, określił zasięg wpływów ptolemejskich na Morzu Egejskim.

Podjmował różnorodne tematy dotyczące kultury, polityki, gospodarki, a nawet hodowli zwierząt w Starożytnej Grecji. – *Na tej podstawie można stworzyć prawdziwą panoramę świata hellenistycznego* – mówił podczas uroczystości prof. Adam Łukaszewicz.

– *Nie można sobie wyobrazić kultury bez zwierciadła jakim jest historia. Trzeba przy tym pamiętać, że kultura nie jest nam dana raz na zawsze. Dwa wieki temu pod ateńskim Akropoliem pasły się kozy, wcześniej krowy wypasano na Forum Romanum, a nad Nilem nie było nikogo, kto rozumiałby hieroglify. To uczeni przywrócili światu pamięć, starajmy się, żeby przypadkiem w naszej kulturze nie przydarzyło się to samo, co spotkało zaginione cywilizacje, którym też wydawało się, że będą wieczne* – podsumował prof. Łukaszewicz. ■

W CICHYCH OGRODACH NAUKI

Izabela Kraszewska

– *Czuję się niezwykle zaszczycony, że mogę dziś dołączyć do grona tak znakomitych poprzedników uhonorowanych przez Uniwersytet w Białymstoku tytułem doktora honoris causa jak: Jerzy Giedroyc, Ryszard Kaczorowski czy Andrzej Stelmachowski* – powiedział podczas uroczystości wręczenia honorowego doktoratu prof. Jerzy Wilkin z Wydziału Nauk Ekonomicznych UW, która odbyła się 30 listopada ub.r.

Prof. Jerzy Wilkin z Uniwersytetem w Białymstoku (wcześniej z filią UW) współpracował od lat 70-tych. Brał udział w licznych konferencjach, pracach badawczych oraz kształceniu kadr naukowych. Od 1999 do 2003 r. był zatrudniony na Wydziale Ekonomicznym tejże uczelni. – *Był to dla mnie bardzo ważny i ciekawy okres. Obserwowałem narodziny nowego, polskiego uniwersytetu w regionie, który nie miał tradycji uniwersyteckich. Spotkałem tam ludzi o wielkiej pasji, talentach i życzliwości* – wspominał.

W przemówieniu wygłoszonym podczas uroczystości prof. Wilkin rozważał, w czym tkwi tajemnica trwałości uniwersytetu, posługując się przykładami tak ważnych uczelni, jak: Uniwersytet Boloński, Uniwersytet w Pradze czy dwóch najstarszych uniwersytetów brytyjskich w Oxfordzie i Cambridge. Zastanawiał się też nad wielofunkcyjnością uniwersytetu oraz nad tym, co wpływa na jego kształt. – *Formuła uniwersytetu nie jest dana raz na zawsze. Jest to instytucja, która zmienia się i dostosowuje do nowych warunków, nowych wyzwań i potrzeb. Uniwersytet jest instytucją „długiego trwania”, ale zmienną, bowiem inaczej nie mógłby przetrwać* – powiedział. Mówił też o tym, w jakich warunkach i dzięki czemu uniwersytet o długich i krótkich tradycjach może być wielkim uniwersytetem. – *Przede wszystkim zależy to od ludzi, którzy tworzą tę instytucję. Jest to wynik szczególnej więzi między tymi osobami* – stwierdził.

Prof. Wilkin dał też wskazówkę, w jakim kierunku mogą pójść uniwersytety, by ocalić swojego ducha. – *Ponad 10 lat temu przeniósłem się na wieś odległą ok. 40 km od Warszawy. W tym domu mam dużą bibliotekę, dookoła ogród i w pobliżu las. Mam więc w zasięgu ręki to, co starożytni filozofowie cenili sobie najbardziej: połączenie ogrodu i biblioteki. Bardzo lubię seminaria organizowane od czasu do czasu w moim wiejskim domu. Wygłaszane są w nim referaty, prowadzone ciekawe dyskusje, przerwywane spacerami po ogrodzie i lesie. Może trzeba wyprowadzić uniwersytety z zabieganych i zakurzonych centrów wielkich miast i przenieść je do cichych ogrodów, gdzie będzie szansa, aby profesor i uczeń wreszcie spotkali się, porozmawiali i poczuli przyjemność pomnażania wiedzy, zulaszcza poprzez bezpośrednią dyskusję* – radił. ■

Uroczystość przyznania prof. Hansowi Haubenowi tytułu doktora *honoris causa* UW, fot. M. Kluczek



Prof. HANS HAUBEN jest emerytowanym wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu w Leuven, gdzie uczył się, a potem sam prowadził zajęcia o historii Grecji i Rzymu. Studiował także w Niemczech, na Uniwersytecie w Bonn oraz we Francji, gdzie specjalizował się w zakresie papirologii pod kierunkiem prof. Józefa Méléze-Modrzejewskiego.

PUSTYNIA ZA LAS

Biolodzy dzielą się na dwie grupy. Probówkowców – zajmujących się biologią molekularną oraz wioślarzy – biologów środowiskowych, którzy w kaloszach przemierzają mokradła, pracują przy użyciu kilofa i topaty, a zebrane próbki analizują w labolatoriach.

Prof. Bogusław Wiłkomirski z Wydziału Biologii UW należy do tej drugiej grupy. Od lat jeździ po świecie, badając unikatową przyrodę. Naukowiec jest szczególnie związany z Narodowym Uniwersytetem Uzbekistanu im. Mirzo Ulugbeka, który 25 października nadał mu tytuł doktora honorowego. Prof. Wiłkomirski jest szóstą w 90-letniej historii tej uczelni odznaczoną osobą. Wcześniej tytuł ten otrzymało tylko trzech prezydentów i dwóch bohaterów narodowych.

Profesora doceniono zarówno za wiele lat współpracy, podczas której prowadzono projekty badawcze, powstawały publikacje naukowe, organizowano wymiany studenckie, jak i za jego wkład w nawiązywanie kontaktów między środowiskiem akademickim Europy i Azji Środkowej. – *To obszar określany jako teren największej klęski ekologicznej zavinionej przez człowieka. Nieprzemysłana polityka, polegająca np. na takich decyzjach jak hodowla bawełny na pustyni, doprowadziła do tragicznych skutków. Z punktu widzenia ochrony środowiska jest co robić i co oglądać* – tłumaczy prof. Wiłkomirski.

Współpraca między Uniwersytetem Warszawskim a Taszkentkim rozpoczęła się już w latach 70. ubiegłego wieku. W 1988 r. jednym z opiekunów naukowych został prof. Wiłkomirski. Na wymianę pojechało ośmiu studentów. Praktyka trwała trzy tygodnie.

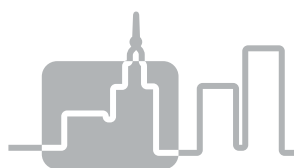
Prof. dr hab. **BOGUSŁAW WIŁKOMIRSKI** pracuje w Zakładzie Ekologii Roślin i Ochrony Środowiska. Zajmuje się biogeochemią oraz toksykologią środowiska.

Zajęcia odbywały się na uczelni. Studenci wyjechali też w góry, do bazy terenowej Aksak-Ata. – *W Uzbekistanie, z wiadomych powodów, nie zaimponują nam tym, co się dzieje w biochemii czy biologii molekularnej, mają natomiast unikatową przyrodę* – mówi profesor. – *Dla botaników, zoologów, ekologów czy ekotoksykologów to jest znacznie ciekawsze niż wyjazd do Europy Zachodniej* – wyjaśnia.

Studenci z Uzbekistanu przyjeżdżający do nas mogli natomiast korzystać z naszych laboratoriów, literatury i pomocy kadry naukowej. Odwiedzili również stację terenową w Białowieży. – *Proszę pamiętać, że tam w górach są jedynie lasy jałowcowo-orzechowe. Polskie lasy to dla nich niezwykle interesujące zjawisko* – mówi prof. Wiłkomirski.

Naukowiec od dziesięciu lat jeździ do Uzbekistanu przynajmniej raz w roku. Brał udział w egzaminach licencjackich, recenzuje prace doktorskie. Był również koordynatorem grantu z 6. programu ramowego UE, w którym uzyskano interesujące wyniki naukowe i dzięki któremu w 2007 r. odbyła się kolejna wymiana studentów. ■

ICPC 2012



ICPC | University
2012 | of Warsaw

www.icpc2012.pl

STYPENDIA DLA NAJLEPSZYCH

– *Na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki rozwijają się prawdziwe perły* – mówiła prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW podczas grudniowej uroczystości wręczenia stypendiów informatykom, którzy znaleźli się na podium podczas XVI Akademickich Mistrzostw Polski w Programowaniu Zespołowym oraz Akademickich Mistrzostw Europy Środkowej w Programowaniu Zespołowym.

– *Wiąże się to z pewnością ze swobodą intelektualną panującą na wydziale, która zostaje absolwentom MIM do końca życia* – dodała pani rektor. Nagrodzone zostały zespoły informatyków z uniwersytetów Jagiellońskiego i Warszawskiego. Podczas krajowych mistrzostw w Warszawie w październiku 2011 r. zwyciężyła drużyna studentów z UW w składzie: Tomasz Kulczyński, Jakub Pachocki, Wojciech Śmietanka. Na drugim i trzecim miejscu byli także reprezentanci naszej uczelni. Zwycięzcami Akademickich Mistrzostw Europy Środkowej w Programowaniu Zespołowym, które odbyły się w listopadzie w Pradze, również okazała się ta sama drużyna, która zajęła I miejsce w krajowych zawodach. Pozostałe dwa miejsca przypadły zespołom z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nagrody ufundowała Fundacja PKO Banku Polskiego, która na stypendia dla najlepszych uczestników europejskich i światowych zawodów w programowaniu zespołowym przeznaczyła 69 tys. zł, a dla zdobywców trzech pierwszych miejsc w konkursie krajowym – 48 tys. zł.

Kolejny etap rywalizacji informatyków odbędzie się podczas XXXVI Akademickich Mistrzostw Świata w Programowaniu Zespołowym – ICPC 2012. Zawody będą rozgrywane w dniach 14-18 maja 2012 r.; ich gospodarzem będzie UW. – *W maju czekają nas wielkie emocje. Możliwość organizacji tak wielkiej imprezy zawdzięczamy sukcesom naszych studentów* – przypomniała pani rektor, odnosząc się do dwukrotnego wywalczenia mistrzostwa świata przez studentów UW, w 2003 oraz 2007 roku.

Współpraca z Santander BZ WBK

Uniwersytet Warszawski dołączył do programu Santander Universidades Bank Zachodni WBK. Na podstawie umowy podpisanej pomiędzy UW oraz BZ WBK, grupa Santander wspierać będzie rozwój studiów nad kulturą iberyjską i iberoamerykańską oraz współpracę naukową pomiędzy naszą uczelnią a ośrodkami akademickimi krajów hiszpańskojęzycznych. Studenci, doktoranci oraz pracownicy UW będą mogli ubiegać się o udział w wymianie międzynarodowej prowadzonej w ramach globalnych programów Santander, obejmujących m.in. Specific Programs oferowane przez Uniwersytet Harvarda, Browna, UCLA, the Wharton School – The Lauder Institute oraz University of Pennsylvania. Porozumienie zakłada też organizację staży dla studentów w grupie Santander.

Zbiorowi bohaterowie

28 listopada wręczono Nagrodę Polonicum. To wyróżnienie przyznawane raz w roku za wybitne osiągnięcia w promowaniu kultury polskiej za granicą. Nagrodę może otrzymać zarówno osoba jak i instytucja.

Laureatem nagrody za 2011 rok została Katedra Języków i Kultur Słowiańskich Wydziału Języków Obcych i Regionoznawstwa Uniwersytetu Moskiewskiego im. Łomonosowa. Katedra istnieje już 40 lat. Studenci i doktoranci uczą się tam języków oraz poznają kulturę Bułgarii, Czech, Polski i Serbii. – *Studenci polonistyki pracowali jako wolontariusze w charakterze tłumaczy z rodzinami ofiar smoleńskiej katastrofy w kwietniu 2010 r. Ich bezinteresowny trud, wysoki stopień przygotowania językowego i międzynarodowej komunikacji został wysoko oceniony przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP* – mówi Anna Mazurkiewicz z Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców „Polonicum”. W imieniu nagrodzonych statuetkę odebrała prof. Olga Szapina, kierownik katedry.

Były również dwa wyróżnienia – dla prof. Aloisa Woldanowa z Uniwersytetu Wiedeńskiego oraz Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich Uniwersytetu Wisconsin-Madison, USA.

Laureatów wybrała kapituła konkursu, w której znajdowali się m.in. marszałek Senatu RP, minister kultury i dziedzictwa narodowego RP oraz rektor UW.

Poszukiwanie Talentów – szósta odsłona

Wydział Fizyki zaprasza wszystkich uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych do wzięcia udziału w ogólnopolskim konkursie fizycznym „Poszukiwanie Talentów”. Zgłoszenia można nadsyłać do 16 kwietnia 2012 r. Szczegółowy terminarz i regulamin znaleźć

można na stronie: www.talenty.fuw.edu.pl.

Główną nagrodą w konkursie jest wyjazd do jednego z europejskich centrów fizyki współczesnej. Każdy z uczestników wykonuje w domu prace w kilku kategoriach, takich jak: pisanie o fizyce, fizyka i sztuka, fizyka i fotografia, nauczanie fizyki, doświadczenia. Musi wykonać zdjęcie (lub film) zjawiska fizycznego i dołączyć jego interpretację, napisać esej na jeden z tematów zaproponowanych w regulaminie, przeprowadzić wywiad z fizykiem, namalować plakat lub zrobić rysunek na temat fizyki, zaprojektować znaczek lub ułożyć historijkę dla małych dzieci, w której przedstawi zjawisko fizyczne. Uczestnicy otrzymują odznakę „Złoty Kwant”. Finał konkursu odbywa się na Wydziale Fizyki.

W piątej edycji konkursu w roku 2010/11 wzięły udział 374 osoby. Spośród ponad 60 finalistów wyłoniono sześcioro laureatów. Nagrodą dla nich była podróż do oddalonej o 120 km od stolicy Rosji – Dubnej, gdzie znajduje się Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych, będący ośrodkiem fizyki jądrowej i fizyki wysokich energii. Uczestnicy obejrzeni i poznali zasady działania 4 cyklotronów, synchrotronu oraz uniakalnego, impulsowego reaktora jądrowego, który służy jako źródło neutronów. Reaktor otoczony jest sześciometrowej grubości ścianą wykonaną z betonu wzbogaconego metalami. Te sześć metrów, to największe „zblizenie”, na jakie można sobie pozwolić. Instytut obchodził niedawno 55-lecie istnienia. Wybudowano go w pięknym lesie nad Wołgą. Teren był do tej pory ściśle chroniony. Ogromne budynki luźno usytuowane wzdłuż uliczek w stylu lat sześćdziesiątych, tworzą szczególną, nigdzie niespotykaną atmosferę.

Genealogie pamięci

Zagadnienie pamięci zbiorowej coraz bardziej zajmuje polityków, naukowców, artystów i media. Organizatorzy konferencji „Genealogie pamięci w Europie Środkowej i Wschodniej. Teorie i metody”, która odbyła się na UW pod koniec listopada, spojrzeli na tę problematykę z perspektywy międzynarodowej. Wobec zdominowania europejskiej pamięci XX w. przez zachodni punkt widzenia, pytali o znaczenie historycznych doświadczeń Europy Środkowej i Wschodniej. Co wyjątkowego ma w sobie historia naszego regionu, czego nie doświadczły kraje zachodnie? Czym w związku z tym różni się historia pamięci i dzisiejsza pamięć społeczeństw na wschodzie Europy od pamięci zachodniej? Jak odnajdujemy się w obecnych inicjatywach stworzenia europejskiego kanonu historii? O czym i jak powinna Europa pamiętać, mając nasz region na względzie? Jaki wpływ mają na ten proces różnorodne media pamięci (historiografia, film, muzea czy internet)? A przede



wszystkim: jak o pamięci piszą naukowcy? Organizatorzy konferencji chcieli zwrócić uwagę zachodnich badaczy na bogaty dorobek wschodnio- i środkowoeuropejskiej humanistyki, a także zastanowić się, jak pojęcia i teorie wypracowane w naszym regionie mogą wpłynąć na interpretację historii i współczesnych procesów jej upamiętniania w całej Europie.

W dyskusjach brało udział grono blisko stu historyków, socjologów i kulturoznawców z Europy, USA i Australii, zarówno wybitnych znawców tematyki, jak i przedstawicieli młodego pokolenia badaczy. Wykład specjalny „Pamięć jako moc przemiany” wygłosiła prof. Aleida Assmann z Uniwersytetu w Konstancji. Konferencję podsumował amerykański socjolog, autor podręczników do badań pamięci zbiorowej, prof. Jeffrey Olick z Uniwersytetu w Wirginii. Wśród panelistów byli przedstawiciele europejskich projektów naukowych dotyczących pamięci, m.in. z Uniwersytetu w Cambridge (projekt „Memory at War”) oraz Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie (projekty „Miejsca Pamięci” i „Modi Memorandi”).

Konferencja była możliwa dzięki współpracy Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność (główny sponsor), Instytutu Socjologii UW, Instytutu Socjologii SWPS, Osteuropa-Institut der Freien Universität Berlin, Narodowego Centrum Kultury oraz Bundesinstitut für Kultur und Geschichte der Deutschen im östlichen Europa. Konferencja zaangażowała międzynarodowy program „Genealogie Pamięci” realizowany przez Europejską Sieć Pamięć i Solidarność, prowadzony przez dr Joannę Wawrzyniak (IS UW) i dr Małgorzatę Pakier (IS SWPS).

Więcej informacji znaleźć można na stronie: www.genealogies.enrs.eu.



Praca w Unii w zasięgu ręki

Na Uniwersytecie powołano pierwszego w Polsce ambasadora „EU Careers”, którego zadaniem jest informowanie studentów o możliwościach związania swojej przyszłości z instytucjami unijnymi – zdobycia stałej pracy bądź odbycia stażu, wymogach, procedurach i terminach rekrutacyjnych. Jego działalność na UW wspiera uniwersyteckie Biuro Karier.

Program „EU Careers Ambassadors” organizowany jest przez Europejski Urząd Doboru Kadr (EPSO), zajmujący się rekrutacją pracowników do wszystkich instytucji unijnych. EPSO odpowiada za organizację

konkursów otwartych oraz angażuje pracowników kontraktowych, oferuje staże w UE.

Ambasadorem „EU Careers” na UW został Rafał Pietrak, student III roku zarządzania; kontakt: eucareers.warsawuniversity@gmail.com, dyżur: Biuro Karier UW, Krakowskie Przedmieście 32, Oficyna Pałacu Potockich, poniedziałek, godz. 17-18.

Szczegółowe informacje znaleźć można na profilu na Facebooku: „EU Careers – Uniwersytet Warszawski”.

Opracowanie: Redakcja

Współpraca:

dr Anna Kaczorowska (Wydział Fizyki),
dr Joanna Wawrzyniak (WFiS).

8 grudnia Uniwersytet Warszawski gościł następcę norweskiego tronu, księcia Haakona, który wygłosił wykład „Rozwój i godność ludzka”, w ramach cyklu „Wykłady Kapuścińskiego” – wspólnego przedsięwzięcia Komisji Europejskiej i Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP), fot. M. Kaźmierczak

Trwa nabór do II edycji konkursu na stypendia ufundowane przez firmy Gazprom i EuRoPol Gaz. Program skierowany jest do doktorantów zajmujących się problematyką stosunków polsko-rosyjskich. W obecnej edycji przyznane zostaną dwa 2-letnie stypendia, w wysokości 2000 zł miesięcznie. Zgłoszenia do konkursu przyjmowane są do 20 lutego 2012 r. Szczegółowe informacje znaleźć można na stronie: www.studiadoktoranckie.uw.edu.pl.

Uniwersytet dołączył do Refo500, międzynarodowej grupy przygotowującej się do obchodów pięćset-lecia reformacji. Skupia ona obecnie około stu instytucji z całego świata. Sekcją akademicką Refo500, w której uczestniczy teraz UW, jest RefoRC. Należą do niej uniwersytety z Amsterdamu, Berlina, Kopenhagi, Oslo, Strasburga czy Zurichu. Organizacja wspiera badania i wydawnictwa związane z ruchami reformacyjnymi XVI w. Umożliwia wymianę naukowców i organizuje programy studiów. UW będzie koordynować działania Refo500 i RefoRC w Europie Środkowo-Wschodniej. Szczegółowe informacje znaleźć można na stronie: www.refo500.nl.

Uniwersytet Warszawski został Liderem Mobilności Funduszu Stypendialnego i Szkoleniowego. Nasza uczelnia została wyróżniona za przyjęcie największej liczby studentów z Norwegii, Islandii i Liechtensteinu. Laureatów ogłoszono podczas Gali Mobilności, która odbyła się w listopadzie. FSS finansowany jest z Norweskiego Mechanizmu Finansowego i Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Celem programu jest wspieranie współpracy i wymiany między Polską a Norwegią, Islandią i Liechtensteinem.

Dzięki współpracy z firmą Google studencka poczta UW już wkrótce funkcjonować będzie jak popularny Gmail. Konta pocztowe studentów przeniesione będą na serwery Google. Studenci będą mogli korzystać nie tylko z e-maila, ale także GTalk, czyli komunikatora internetowego z opcją rozmów głosowych oraz video. Planowane jest też udostępnienie usługi Google Docs, pozwalającej na grupową pracę nad dokumentami poprzez przeglądarkę. Trwają również rozmowy nad przygotowaniem kolejnych rozwiązań, z których korzystać będą nie tylko studenci, ale i pracownicy uczelni.

Od 27 lutego do 16 marca na Wydziale Biologii otwarta zostanie wystawa fotograficzna dokumentująca wyprawę naukową do Azji Środkowej. Ekolodzy, zoologowie, botanicy, hydrobiolodzy i gleboznawcy, półtora miesiąca oraz 15 tys. km do pokonania przez tereny Kazachstanu, Uzbekistanu, Tadżykistanu i Kirgistanu – w wakacje ośmiu pracowników Wydziału Biologii uczestniczyło w wyprawie naukowej do Azji Środkowej. – *Jej celem było poznanie przyrody tych krajów i rozpoznanie rejonów, w których można by w przyszłości prowadzić interesujące badania naukowe* – opowiada dr Marcin Brzeziński, ekolog, uczestnik wyjazdu. Więcej o tej podróży można będzie przeczytać w następnym numerze pisma „UW”.

1 lutego stanowisko dyrektora Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego objęła Anna Szemberg. Nowa dyrektorka jest osobą dobrze znaną w branży. Przez wiele lat pracowała w Wydawnictwie Naukowym PWN. Ryszard Burek, dotychczasowy szef WUW będzie pełnił funkcję redaktora naczelnego. Więcej informacji o zmianach w Wydawnictwach znaleźć będzie można w następnym numerze naszego pisma.

NOMINACJE PROFESORSKIE

PREZYDENT BRONISŁAW KOMOROWSKI NADAŁ TYTUŁ PROFESORA
NASTĘPUJĄCYM PRACOWNIKOM UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO:

Prof. dr. hab. Aleksandrowi Bursche, *Wydział Historyczny*
Prof. dr. hab. Michałowi Ginterowi, *Wydział Geologii*
Prof. dr. hab. Annie Kwiatkowskiej-Falińskiej, *Wydział Biologii*
Prof. dr. hab. Marii Olszewskiej, *Wydział Polonistyki*
Prof. dr. hab. Pawłowi Strzeleckiemu, *Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*
Prof. dr. hab. Piotrowi Zakrzewskiemu, *Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*
Prof. dr. hab. Annie Jedynak, *Wydział Filozofii i Socjologii*

SENAT UW NA POSIEDZENIU 14 GRUDNIA 2011 ROKU POZYTYWNE ZAOPINIOWAŁ WNIOSKI W SPRAWIE

MIANOWANIA NA STANOWISKO:

profesora zwyczajnego na UW na czas nieokreślony

prof. dr. hab. Karola Jackowskiego, *Wydział Chemii*
prof. dr. hab. Krystyny Jackowskiej, *Wydział Chemii*
prof. dr. hab. Marianny Kańskiej, *Wydział Chemii*
prof. dr. hab. Grażyny Pasztor, *Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych*

ZATRUDNIENIA NA STANOWISKO:

profesora nadzwyczajnego na UW na pięć lat

dr. hab. Adama Babińskiego, *Wydział Fizyki*
dr. hab. Ryszarda Chruściaka, *Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych*
dr. hab. Roberta Jastrzębskiego, *Wydział Prawa i Administracji*
dr. hab. Wojciecha Otto, *Wydział Nauk Ekonomicznych*
dr. hab. Krzysztofa Pielńskiego, *Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych*
dr. hab. Andrzeja Wierzbickiego, *Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych*
dr. hab. Tomasza Zaryckiego, *Instytut Studiów Społecznych im. Prof. Roberta Zajonca*

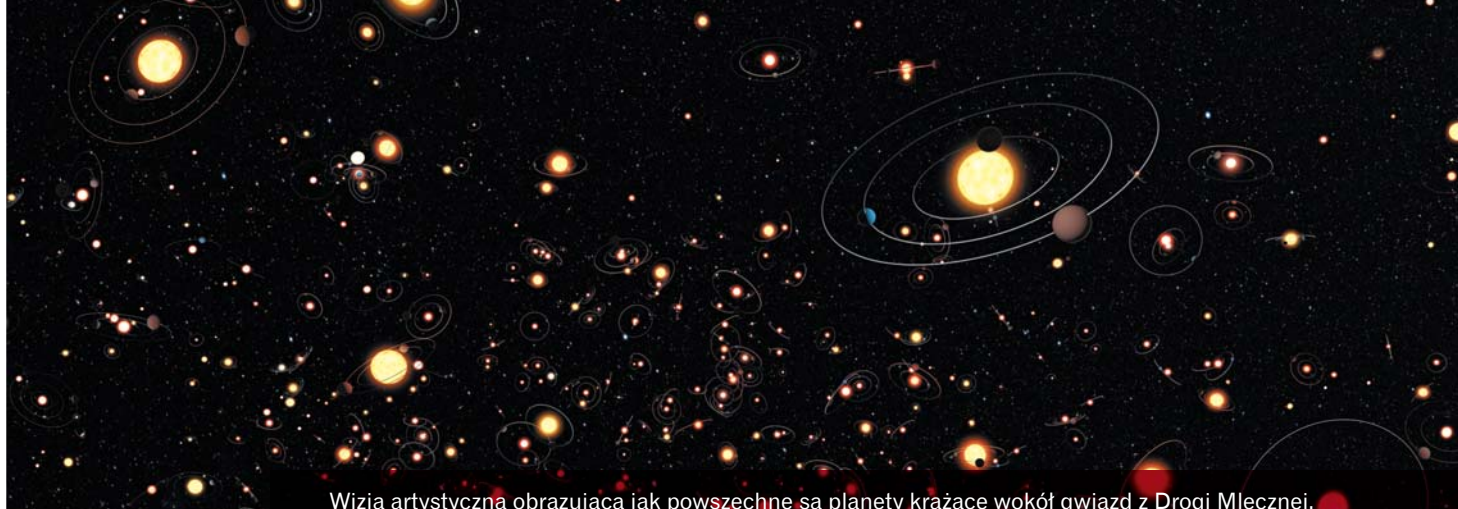
WSZECHŚWIAT PEŁEN PLANET

Andrzej Udalski

Zespół astronomów, w skład którego wchodzi naukowcy z międzynarodowego projektu PLANET oraz z prowadzonego w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Warszawskiego wieloskalowego przeglądu nieba OGLE (Optical Gravitational Lensing Experiment), przedstawił wyniki badań mających na celu oszacowanie, jak powszechne jest występowanie pozasłonecznych układów planetarnych wśród gwiazd Drogi Mlecznej. Sześciolatnie obserwacje dziesiątków milionów gwiazd za pomocą techniki mikrosoczewkowania grawitacyjnego wskazują, że obecność planet krążących wokół innych gwiazd jest regułą. Praca informująca o odkryciu uka-

zała się w styczniu w prestiżowym tygodniku naukowym „Nature”.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat astronomowie odkryli ponad 700 planet pozasłonecznych. Kolejne odkrywane są również w coraz większej liczbie przez misje kosmiczne, jak np. satelitę Kepler. Znalaziono wiele unikalnych układów różnych od Układu Słonecznego, zmierzono parametry fizyczne planet, analizowano ich atmosfery. Jednak po ekscytującym okresie pierwszych odkryć najważniejszym celem poszukiwań jest obecnie udzielenie odpowiedzi na pytanie, jak powszechne jest występowanie planet pozasłonecznych we Wszechświecie.



Wizja artystyczna obrazująca jak powszechne są planety krążące wokół gwiazd z Drogi Mlecznej,
rys. ESO/M. Kornmesser

Większość znalezionych dotychczas planet została odkryta dzięki metodom polegającym na pomiarach bądź niewielkiego ruchu macierzystych gwiazd wywołanego grawitacyjnym przyciągnięciem krążącej na orbicie planety, bądź dzięki obserwacjom drobnego osłabienia światła gwiazd, mikro-zaćmień zwanych tranzytami, gdy planeta przechodzi przed tarczą gwiazdy. Metody te są jednak czułe głównie na obecność planet krążących stosunkowo blisko swych macierzystych słońc.

Zespoły PLANET i OGLE w swych badaniach wykorzystywały zupełnie inną technikę – mikrosoczewkowania grawitacyjnego, która pozwala rejestrować planety w szerokim zakresie mas (począwszy od obiektów tak małomasywnych jak nasza Ziemia) oraz krążące w dużo większych odległościach od macierzystych gwiazd: 0,5-10 odległości Ziemia-Słońce. Metoda polega na precyzyjnych pomiarach pojaśnienia blasku odległej gwiazdy tła wywołanego przez przechodzący przed nią układ planetarny, który swym polem grawitacyjnym skupia dodatkowe światło tej gwiazdy i działa jak soczewka.

Analizowane zjawiska mikrosoczewkowania grawitacyjnego zostały odkryte przez warszawski zespół OGLE w latach 2002-2007 i były regularnie obserwowane z Obserwatorium Las Campanas w Chile za pomocą 1,3-metrowego teleskopu warszawskiego. Zespół PLANET, który stworzył sieć teleskopów na trzech kontynentach, prowadził dodatkowe obserwacje tych zjawisk, umożliwiając nieprzerwane, 24-godzinne śledzenie zmian ich jasności. Połączone dane obserwacyjne stworzyły unikalny materiał do badań statystycznych powszechności występowania planet pozasłonecznych.

Choć metoda mikrosoczewkowania jest bardzo potężnym narzędziem w rękach astronomów i pozwala na znajdowanie planet, które są aktualnie poza zasięgiem innych metod, detekcja planet jest trudna, gdyż do zajścia zjawiska konieczne jest niesłychanie precyzyjne, a więc mało prawdopodobne ustawienie się w przestrzeni gwiazdy tła i obiektu soczewkującego. Dlatego do wykrywania zjawisk mikrosoczewkowania konieczne są ciągłe obserwacje dziesiątków milionów gwiazd w celu wyłuskania tych niezwykle rzadkich przypadków. W analizowanym zestawie danych PLANET i OGLE analizowano 440 zjawisk mikrosoczewkowania, wśród których odkryto trzy planety pozasłoneczne: małomasywną super-Ziemię i planety o masie zbliżonej do Neptuna i Jowisza. Z punktu widzenia prawdopodobieństwa występowania mikrosoczewkowania planetarnego jest to liczba znacznie przekraczająca oczekiwania. Odkrycie świadczy więc, że albo astronomowie mieli w przypadku tych badań

wyjątkowo duże szczęście, albo, co dużo bardziej prawdopodobne, liczba pozasłonecznych układów planetarnych jest znacznie większa niż uprzednio przypuszczano.

Dokładna analiza zebranych danych w połączeniu z informacjami o poprzednich odkryciach planet pozasłonecznych metodą mikrosoczewkowania oraz przypadkami, w których obecności planet nie zarejestrowano, pozwoliła oszacować powszechność występowania planet pozasłonecznych. W obszarze odległości od macierzystej gwiazdy odpowiadającej odległościom 0,7-10 odległości Ziemia-Słońce i zakresie mas planety od 5 mas Ziemi (super-Ziemia) do 10 mas Jowisza, jedna na sześć badanych gwiazd ma planetę o masie Jowisza, połowa planetę o masie Neptuna i aż dwie trzecie małomasywną super-Ziemię. Zatem średnia liczba planet przypadająca na gwiazdę jest większa niż jeden. Układy planetarne są więc we Wszechświecie regułą, a nie wyjątkiem, a małomasywne planety podobne do Ziemi występują powszechnie.

Warto zauważyć, że w maju 2011 roku zespół OGLE wraz z nowozelandzko-japońską grupą MOA ogłosił, również na łamach tygodnika „Nature”, odkrycie nowej kategorii planet pozasłonecznych – tzw. planet swobodnych. Są to obiekty planetarne oderwane od swych macierzystych gwiazd na skutek oddziaływań grawitacyjnych pomiędzy planetami lub sąsiednimi gwiazdami i krążące swobodnie w Galaktyce. W tym przypadku oszacowanie częstości występowania tego typu obiektów również wskazuje na powszechność występowania obiektów planetarnych we Wszechświecie.

Odkrycie nowej kategorii planet pozasłonecznych tzw. planet swobodnych przez warszawski zespół OGLE, we współpracy z nowozelandzko-japońską grupą MOA, zostało uznane przez tygodnik „Science” za jeden z 10 przebojów naukowych 2011 roku.

Wyniki opublikowane w „Nature” to efekt poszukiwań planet pozasłonecznych przez pierwszą generację przeglądów mikrosoczewkowych nieba. W marcu 2010 roku rozpoczęła się czwarta faza projektu OGLE, będąca planetarnym przeglądem mikrosoczewkowym nieba nowej generacji. Projekt OGLE-IV odkrywa obecnie około 2000 zjawisk mikrosoczewkowania rocznie – kilka razy więcej niż w poprzednich fazach. Równocześnie rejestrowana jest znacząco większa liczba zjawisk mikrosoczewkowania planetarnego. Po kilku sezonach obserwacyjnych projekt OGLE-IV dostarczy unikalnych danych umożliwiających dużo precyzyjniejsze scharakteryzowanie planet pozasłonecznych w układach związanych, krążących wokół macierzystych gwiazd w odległości od około jednej do kilku odległości Ziemia-Słońce. Badanie własności tego typu planet, znajdujących się w niezmierznie ważnych rejonach systemów planetarnych – poza tzw. linią śniegu, gdzie układy planetarne powstają, jest możliwe obecnie tylko za pomocą techniki mikrosoczewkowania grawitacyjnego. ■

Prof. dr hab. ANDRZEJ UDALSKI jest dyrektorem Obserwatorium Astronomicznego UW, kieruje projektem OGLE, współfinansowanym przez MNiSW oraz Europejską Radę ds. Badań (ERC). Praca opisująca wyniki obserwacji opublikowana została w tygodniku „Nature”, 2012, 481, str. 167-169: „One or more bound planets per Milky Way star from microlensing observations”.

BIOETYKĘ UPRAWIA SIĘ NIE TYLKO W ZACISZU GABINETÓW

O różnych wymiarach bioetyki z dr Joanną Różyńską rozmawia Katarzyna Łukaszewska

Etyka prokreacyjna i etyka badań naukowych – to dwa główne pola zainteresowań dr Joanny Różyńskiej, laureatki XI edycji stypendiów naukowych „Polityki”. Zgodnie z nową formułą konkursu, wyłoniono 5 laureatów, którzy otrzymali wyższe niż w poprzednich latach stypendia. O nagrodę ubiegało się ponad 500 młodych naukowców. Dr Różyńska wyróżniono w kategorii nauk humanistycznych.

Badaczka jest absolwentką Wydziału Prawa i Administracji UW, Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych UW oraz Union Graduate College – Mount Sinai School of Medicine Bioethics Program w Nowym Jorku. Ukończyła prawo, socjologię, filozofię i bioetykę. Obecnie wykłada na Wydziale Filozofii i Socjologii UW.

Już na studiach zainteresowały ją zagadnienia bioetyczne. W pracy magisterskiej z zakresu prawa cywilnego zajmowała się odpowiedzialnością lekarza za wadliwą diagnozę prenatalną – rozważeniami z tytułu *wrongful life* i *wrongful birth*. W pracy magisterskiej z filozofii „Zasada potencjalności a problem przerywania ciąży” analizowała zasadność tezy, że prawo do życia przysługuje także osobom potencjalnym, czyli istotom, które nie mają jeszcze własności psychicznych uzasadniających przyznanie komuś prawa do życia, ale własności te naberą w toku dalszego rozwoju. Z kolei rozprawę doktorską „Krzywdą istnienia. Rola i kształt zasady niekrzywdzenia na gruncie etyki prokreacyjnej” poświęciła problemom moralnym związanym ze świadomym powołaniem do życia dziecka obciążonego poważnym upośledzeniem lub chorobą genetyczną. Badaczka jest też autorką książki „Od zygoty do osoby: potencjalność, identyczność i przerywanie ciąży” oraz współautorką pracy „Świadoma zgoda na udział w eksperymencie medycznym. Poradnik dla badacza”. Za kilka tygodni ukaze się współredagowana przez nią pozycja „Badania naukowe z udziałem ludzi w biomedycynie. Standardy międzynarodowe”. Pracuje nad przygotowaniem publikacji zbiorowej pod roboczym tytułem „Przewodnik po bioetyce”, w którym najwybitniejsze postacie tej dziedziny, filozofowie, lekarze, prawnicy przedstawia podstawowe zagadnienia z zakresu teorii i praktyki bioetycznej.

Dr Różyńska jest sekretarzem Komitetu Bioetyki przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, brała udział w pracach Społecznego Zespołu ds. Przygotowania Obywatelskiego Projektu ustawy o zapłodnieniu *in vitro*. Od sześciu lat jest współkoordynatorem i wykładowcą międzynarodowego programu CEE Research Ethics finansowanego przez amerykańskie National Institutes of Health.

Powoli dr Różyńska myśli już o rozprawie habilitacyjnej, którą zamierza poświęcić etyce prokreacyjnej oraz kwestiom sprawiedliwości.

Aborcja, eutanazja, *in vitro* – w takim kontekście najczęściej pojawia się w polskich mediach hasło „bioetyka”. W rzeczywistości jest to jednak bardzo szeroka dyscyplina naukowa.

J.R.: Bioetyka jest interdyscyplinarną refleksją nad tym, co dzieje się we współczesnej biomedycynie, zarówno w praktyce klinicznej, w szpitalach i przychodniach, jak i w dziedzinie badań biomedycznych nakierowanych na rozwój nowych produktów i procedur leczniczych. *In vitro*, aborcja, eutanazja, inżynieria genetyczna, klonowanie człowieka niewątpliwie wchodzi w zakres tej dyscypliny. Jednak my – bioetycy ciągle pytamy też o fundamentalne problemy dotyczące natury i celów medycyny, istoty zdrowia i choroby, relacji lekarz-pacjent, sprawiedliwości w ochronie zdrowia.

Bioetyka to jednak nie tylko rozważania teoretyczne, dziedzina ma też bardzo praktyczny wymiar.

J.R.: Tak, jest to dyscyplina o bardzo wielu obliczach. Daniel Callahan, współzałożyciel The Hastings Center, jednego z czołowych amerykańskich ośrodków badawczych w zakresie bioetyki, wyróżnił cztery jej obszary: bioetykę teoretyczną, kliniczną, kulturową i bioetykę regulacji. Dziś, do tej listy często dodaje się także etykę badań naukowych. Bioetykę teoretyczną, która zajmuje się analizą podstawowych problemów filozoficznych i etycznych, jakie rodzi praktyka i rozwój biomedycyny, można – do pewnego stopnia – uprawiać w zaciszu gabinetu. Nie wymaga ona wychodzenia do ludzi, jest kwestią intelektualnych peregrynacji, poprzedzonych lekturami i dyskusjami. Zza biurka nie da się jednak uprawiać bioetyki klinicznej, etyki badań naukowych czy bioetyki regulacji. Celem każdej z nich jest bowiem bezpośrednie oddziaływanie na rzeczywistość kliniczną i badawczą, a także na kształt polityki zdrowotnej oraz prawa biomedycznego.

Jak wygląda bioetyka kliniczna?

J.R.: Bywa nazywana bioetyką „przy łóżku pacjenta”. W wielu krajach w zakładach opieki zdrowotnej funkcjonują interdyscyplinarne komisje etyczne bądź indywidualni konsultanci etyczni. Ich zadaniem jest wspieranie lekarzy i pacjentów w podejmowaniu trudnych decyzji w konkretnych przypadkach medycznych. W Polsce takie ciała dopiero zaczynają powstawać. Od wielu lat istnieją natomiast w naszym kraju komisje bioetyczne. Jest to jeden z podstawowych instrumentów ochrony interesów osób uczestniczących w badaniach naukowych w biomedycynie. Rola tych komisji polega na ocenianiu projektów eksperymentów medycznych i badań klinicznych pod względem naukowej i etycznej dopuszczalności. Eksperyment nie może być przeprowadzony jeśli uprzednio nie uzyskał pozytywnej opinii takiej komisji. Bioetyka regulacji znajduje natomiast wyraz w działalności różnych komisji interdyscyplinarnych, które dążą do zbudowania konsensusu wokół podstawowych standardów etycznych i prawnych, jakim powinna rządzić się określona praktyka biomedyczna. Przykładem może być tu tzw. „Komisja Gowina”, która przyczyniła się do powstania pierwszych projektów ustaw dotyczących zapłodnienia pozaustrojowego.

Na razie w polskim dyskursie publicznym obecne są jedynie wybrane wątki. Czy prawdziwa dyskusja dotycząca zagadnień bioetycznych jest jeszcze przed nami?

J.R.: Zdecydowanie dyskusja nas czeka. W Polsce wciąż brakuje ram prawnych standardów postępowania w wielu obszarach praktyki medycznej. Nie jestem zwolenniczką nadregulacji, ale konieczność wyznaczenia pewnych podstawowych zasad i granic działania przedstawicieli zawodów medycznych jest niezbędna zarówno z punktu widzenia ochrony praw pacjentów, jak i bezpieczeństwa wykonywania tych zawodów. Lekarze, pielęgniarki czy fizjoterapeuci nie mogą zastanawiać się nad tym, jak powinni, jak mogą, a jak im nie wolno postąpić w danej sytuacji. Nie mają na to ani czasu ani kompetencji. Muszą znać podstawowe granice swoich powinności i możliwości. Nie oznacza to oczywiście, że regulacje – prawne, deontologiczne czy zawodowe – mają zastępować indywidualny osąd lekarza i zwalniać go z odpowiedzialności moralnej za podejmowane decyzje. Medycyna zawsze była i będzie praktyką rodzącą dylematy etyczne.

W jakich dziedzinach brakuje nam regulacji prawnych?

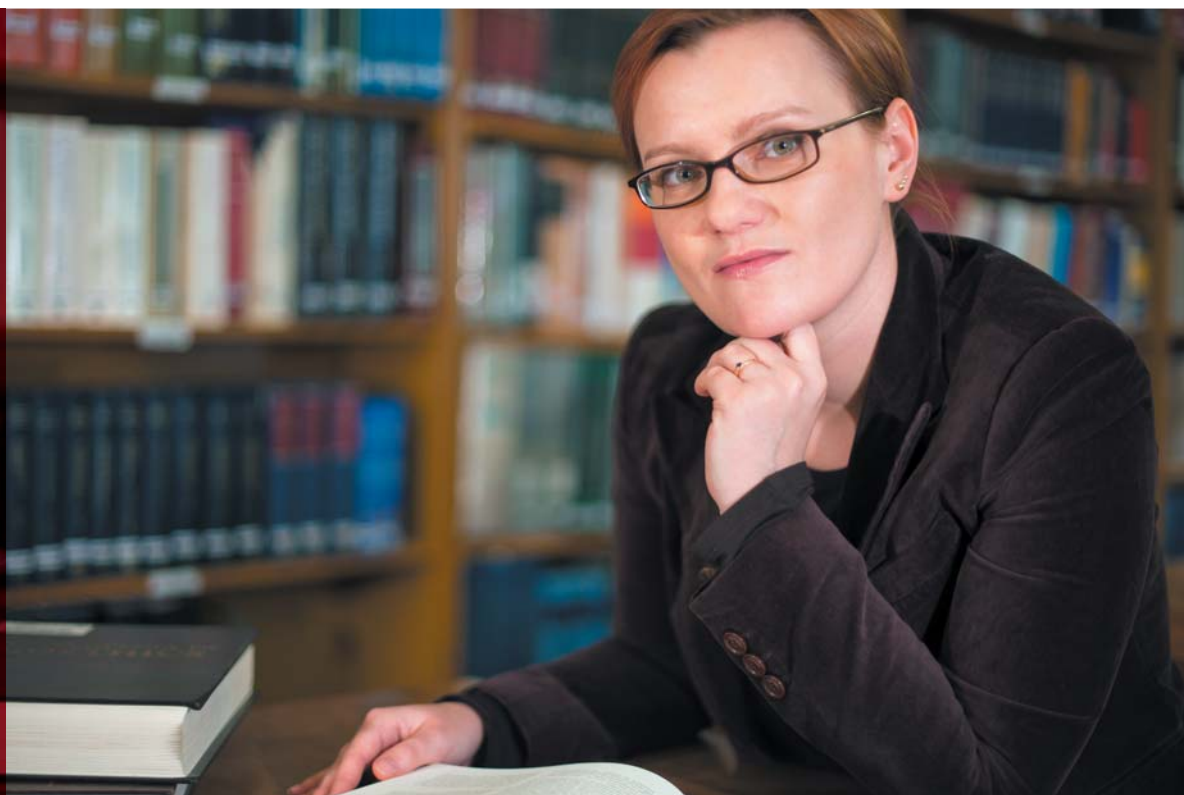
J.R.: Problem ten dotyczy wielu obszarów. Wciąż nie mamy ustawy, która kompleksowo regulowałaby warunki i zasady wykonywania tzw. innych zawodów medycznych, w tym zawodu fizjoterapeuty czy psychoterapeuty. W ograniczonym stopniu lukę tę wypełnia ustawa o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta z 2008 r. Brak jest szczegółowych unormowań dotyczących nowoczesnych metod wspomaganey prokreacji, genetyki czy problemów z zakresu biotechnologii medycznej. Zdawkowe odniesienia do tych zagadnień występują w Kodeksie Etyki Lekarskiej i kilku aktach prawnych, np. w tzw. „ustawie aborcyjnej” oraz rozporządzeniach wykonawczych do ustawy o diagnostyce laboratoryjnej. Są one jednak zdecydowanie niewystarczające. Liczne pytania prawne rodzą decyzje medyczne u kresu życia pacjentów. Doregulowania domagają się zwłaszcza kwestie dotyczące warunków i zasad zaniechania lub wycofania interwencji medycznej podtrzymującej życie oraz instytucja tzw. postanowień *pro futuro* (*advance directives*). Radykalnych zmian wymagają przepisy ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty dotyczące eksperymentu medycznego. Przykłady można byłoby mnożyć.

Czyli w dziedzinie bioetyki mamy bardzo wiele do nadrobienia w porównaniu np. z krajami zachodnimi, w których – jak często podają media – tego typu regulacje są wprowadzane.

J.R.: Dobre regulacje są efektem rzetelnej debaty publicznej, w którą zaangażowane są wszystkie zainteresowane strony, w tym lekarze, pacjenci, etycy, prawnicy i politycy. My nie jesteśmy w tyle, jeśli chodzi o teoretyczną refleksję bioetyczną. Brakuje nam tylko praktyki w rozmawianiu o tych sprawach, brakuje zrozumienia dla różnic między nakazami indywidualnego sumienia a istotą i rolą prawa w państwie demokratycznym. Zapewne przydałoby nam się więcej wiedzy, otwartości i tolerancji. Odmienność, czy jak Pani powiedziała – pewnie „zapóźnienie” polskiego prawa biomedycznego, wynika także z kondycji naszego systemu ochrony zdrowia. W Polsce palącym problemem nie jest dziś dostęp pacjentów do terapii genowej czy klonowania terapeutycznego, tylko do specjalisty z zakresu określonej dziedziny medycyny. Wielu decydentów uważa, że póki nie rozwiążemy tych podstawowych problemów w polskiej służbie zdrowia, nie powinniśmy zajmować się innymi sprawami. Nie uważam, aby takie myślenie było w pełni uzasadnione. Żyjemy w świecie globalnym, i nie jest to truizm. Państwo polskie ma zobowiązania wobec swoich obywateli, ale także wobec organizacji międzynarodowych, których jest członkiem. Nasze prawo powinno być zgodne z europejskimi i międzynarodowymi standardami bioetycznymi.

W przypadku takich tematów jak *in vitro*, trudno chyba w dyskusjach bioetycznych uniknąć wejścia na grunt rozważań religijnych.

J.R.: Każdy z nas ma jakiś mniej lub bardziej spójny światopogląd, z którym „wchodzi” do dyskursu publicznego. Dla wielu osób religia jest podstawowym źródłem wartości i norm moralnych. Z niej czerpią wskazówki, jak żyć i jak postępować. Gdy jednak jako obywatele zaczynamy dyskutować na temat kształtu przyszłych regulacji prawnych z zakresu biomedycyny, powinniśmy pamiętać o tym, że Polska jest państwem demokratycznym, szanującym podstawowe prawa człowieka, w tym prawo do ochrony życia i zdrowia, prawo do wolności sumienia, prawo do ochrony życia prywatnego, rodzinnego, oraz do decydowania o swoim życiu osobistym. Powinniśmy zastanowić się, jakiego rodzaju zasady przyjąć, aby zagwarantować każdemu z nas jak najszerszą możliwość realizacji tych praw i wolności, zwłaszcza w sprawach mających tak fundamentalne znaczenie dla naszej indywidualnej pomyślności, jak możliwość posiadania potomstwa. Tutaj prawo powinno zabraniać tylko tego, co absolutnie niedopuszczalne, natomiast pozostawiać jednostkom maksymalnie dużą sferę wolności wyboru. ■



PANDORA Z BECZKĄ CZY WAZON Z PANDORĄ?

Olga Basik

Czekałam jak na Godot. Mieliśmy pójść razem na lukullusową ucztę. Niestety nie chodził jak szwajcarski zegarek. Pojawił się w końcu, syn Albionu, i patrząc w menu zachowywał się jak osiołek Buridana. Plótt jak Piekarski na mękach, więc rzuciłam mu partyjską strzałę i spojrzenie Meduzy. Co za trąba jerychońska!



OLIMPIJSKI SPOKÓJ <<niczym niezmacony spokój, całkowite opanowanie>>

Literatura: *Generał Gamelin (...) od samego początku był w pełni świadom sytuacji politycznej oraz tego, że staje się coraz bardziej napięta – ale zachowywał olimpijski spokój* (L. Moczulski)

Media: *Mimo opóźnień w wypłatach w Urzędzie Marszałkowskim panuje olimpijski spokój* („Gazeta Wyborcza”)

Internet: *Najlepszy z instruktorów jest Arek. Bezstresowo nauczy cię prowadzić – nie męczy gadulstwem, tłumaczy świetnie i niezależnie od umiejętności kursanta zachowuje olimpijski spokój* (www.naukajazdy.pl)

Informacja faktograficzna: *szczyt Olimpu (...), / Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija, / Śnieżna zamieć nie prószy – tylko się przewija / Nieustanna pogoda, ni to namiot lity: / Tam bogom raj wesela płynie niepożyty* (Homer, Odyseja, 6, 42)

Z leksykonu „Ludzie i miejsca w języku”, s. 189.

Czy dałoby się porozumiewać używając tylko fraz eponimicznych? – Pewnie tak, chociaż byłoby to dość zabawne. Silenie się na porozumiewanie tymi wyrażeniami byłoby dość męczące, ale ozdabianie nimi wypowiedzi jest jak najbardziej wskazane – mówi Katarzyna Foremniak, współautorka publikacji „Ludzie i miejsca w języku. Słownik frazeologizmów eponimicznych”.

Leksykon wydany niedawno nakładem Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego to dzieło dwójga studentów filologii polskiej (obecnie doktorantów), należących do Warszawskiego Koła Leksykograficznego, które powstało w 2008 r. na Wydziale Polonistyki UW. Katarzyna Foremniak i Maciej Czeszewski pracowali nad nim dwa lata. – *Zaczęło się od studiów polonistycznych, od wspólnego zainteresowania językiem, normą językową, rejestrami języka i od wylawiania takich właśnie związków, w których pojawiają się ludzie albo miejsca* – wspomina autorka. Koło istnieje do dzisiaj. Zajmuje się głównie zagadnieniami związanymi z leksykografią jednojęzyczną. Studenci pracują w grupach, zdobywając doświadczenie potrzebne w pracy leksykografa, leksykologa czy semantyka. Opiekunami naukowymi koła są prof. Magdalena Danielewiczowa z Wydziału Neofilologii oraz prof. Mirosław Bańko z Wydziału Polonistyki.

JĘZYK EZOPOWY

Eponimy są to słowa i wyrażenia utworzone od nazwy własnej, osoby, a nawet zwierzęcia, przedmiotu czy zjawiska. To wyrażenia erudycyjne, wplatanie ich w język potoczny czasem zmienia charakter wypowiedzi. – *Używamy ich ironicznie, czasem wykorzystujemy je, bo chcemy podnieść styl naszej wypowiedzi. Chcemy wyglądać na mądrzejszych, albo na coś z przymrużeniem oka popatrzeć. Te frazy gdzieś tam w nas mieszkają, pewnie nie wszystkie, ale większość z nich znamy* – wyjaśnia Katarzyna Foremniak.

Do tej pory sformułowania eponimiczne można było znaleźć w różnych źródłach. Część zapisana była w słownikach wyrażeni frazeologicznych, w niektórych leksykonach języka polskiego czy wyrazów obcych. – *Zauważyliśmy, że nie ma jednej pozycji na rynku, która gromadziłaby wyrażenia z nazwą miejscową i osobową i jednocześnie była jakimś podsumowaniem tradycji kultury europejskiej* – mówi autorka.

– *Jeśli szukać podobnych dzieł leksykografii polskiej, na myśl przychodzą przede wszystkim słowniki Władysława Kopalińskiego. Autor „Słownika mitów i tradycji kultury” został leksykografem w dość późnym wieku – autorzy tej książki razem nie mają tylu lat, ile miał Kopaliński w roku swojego debiutu słownikarskiego* – pisze we wstępie prof. Mirosław Bańko, opiekun naukowy, redaktor wydania i pierwszy recenzent słownika.

WERGILIUSZ W SŁOWNIKU

– *Często rozumiemy te wyrażenia intuicyjnie, ale rzadko wiemy, skąd one pochodzą, jaka jest ich geneza* – mówi autorka. Hasel nie jest wiele, ale za to starannie dopracowane. – *Chcieliśmy tam, gdzie jest to możliwe, zacytować źródła, to znaczy oddać głos większym od nas. Kiedy hasło dotyczyło mitologii, oddawaliśmy głos Wergiliuszowi, pisarzom starożytnym. Kiedy miało swoje źródła w Biblii, bardzo często sięgaliśmy po konkretny fragment z Pisma Świętego* – mówi Katarzyna Foremniak. Przykłady użycia danego sformułowania podzielone zostały na trzy źródła. Pierwsze, to najbardziej tradycyjne, pochodzi z literatury. Drugie to użycia prasowe, a trzecie język codzienny i potoczny, którym posługują się internauci, prowadzący swoje strony. – *Zastanawialiśmy się czasem, gdzie znajdziemy przykłady użycia, znamy przecież to wyrażenie, wiemy, co oznacza, bo wypada wiedzieć, w końcu jesteśmy polonistami, ale czy przeciętny człowiek go używa? I często zaskoczenie – tak* – mówi Katarzyna Foremniak.

ZABŁOCKI Z MORFEUSEM

Słownik nie wyławia raczej nowych wyrażen z polszczyzny, ale stara się pokazać nowe, niektóre bardzo innowacyjne użycia utartych już frazeologizmów. Znajdują się tu też odpowiedniki z innych języków. Autorzy sięgnęli do czterech języków europejskich: angielskiego, francuskiego, niemieckiego oraz włoskiego i sprawdzili, jak tam używane są wyrażenia funkcjonujące u nas. Czasem pojawiają się pewne różnice, zastępowanie jednego elementu wyrażenia innym, czasownika jego synonimem. Widać to na przykładzie nieszczęsnej Pandory. – *Nie zawsze przy Pandorze pojawia się nasza polska puszka. Czasem jest to beczka, pudełko czasem wazon. Ta puszka jest pojęciem bardzo symbolicznym* – tłumaczy autorka. – *Często jednak te znaczenia są bardzo podobne, co napawa optymizmem, bo daje poczucie bezpieczeństwa, że wywodziśmy się wszyscy z jednej tradycji* – dodaje.

Podczas lektury można natknąć się również na frazeologizmy typowo polskie. Wyrażenia, które znajdują zastosowanie tylko u nas. Jest więc Piekarski (*bredzić jak Piekarski na mękach*), polski szlachcic, który targnął się na życie Zygmunta III Wazy, za co skazano go na tortury i śmierć. Pojawia się też Zabłocki (*wyjąć jak Zabłocki na mydle*), który chciał łatwo zarobić na produkcji mydła. Aby uniknąć płacenia cła, przewoził je pod pokładem statku. Niestety źle zabezpieczył produkt, który w czasie transportu się wymydlil.

BENEDYKTYŃSKA PRACA

Jak mówi autorka, praca była trochę żmudna, ale też radosna. Czasem wymagała skrupulatnych poszukiwań, a czasem zestawiania źródeł. – *Bywało też, że mieliśmy kłopot nie tyle z wyjaśnieniem danego zwrotu, ale z dobraniem przykładów, że znalezieniem jego współczesnego zastosowania przy związkach mniej używanych, już odrobinę zapomnianych* – wyjaśnia polonistka.

A jak opracowuje się słownik? Na samym początku powstaje spis treści. Trzeba przygotować siatkę haseł. Skąd się je bierze? Stare wyrażenia – przede wszystkim przeglądając istniejące już pozycje, a nowe – z własnych obserwacji. Część pochodzi również z pracy na korpusach naukowych. – *Na studiach niemal każdą książkę czytaliśmy pod kątem przykładów użycia. Na każdym kroku byliśmy czujni* – relacjonuje Foremniak. – *Na początku artykuły hasłowe miały być o wiele skromniejsze, później stwierdziliśmy, że słownik nabierze pazura, kiedy hasła będą miały gawędziarki charakter i tak się stało. Są krótkimi felietonami – do poczytania, nie tylko do sprawdzenia znaczenia danej frazy* – kontynuuje.

Przy pracy było też kilka problemów. Nie wszystkie słowniki, z których korzystali poloniści, podają zgodne nazewnictwo. Nazwy różnią się czasem członem czasownikowym. Często zmienia się szyk, rzeczownik z czasownikiem zamieniają się miejscami. – *Kiedy zobaczyliśmy te rozbieżności, postanowiliśmy dodać informację normatywną. To nie są błędy, jak przy „puszce z Pandorą”, a raczej dowód na to, że język się zmienia, że te wyrażenia są żywe. Bo jeśli mamy na tyle inwencji, żeby je zmieniać, to znaczy, że ich używamy* – mówi Katarzyna Foremniak. ■

KATARZYNA FOREMNIAK – absolwentka filologii polskiej na Wydziale Polonistyki UW. Obecnie doktoryzuje się w Katedrze Italianistyki, gdzie prowadzi wykłady z fonetyki języka włoskiego. Pracuje nad rozprawą doktorską o interpunkcji w języku polskim i włoskim.

MACIEJ CZESZEWSKI – ukończył filologię polską na Wydziale Polonistyki UW. Obecnie studiuje prawo oraz uczestniczy w Interdyscyplinarnych Humanistycznych Studiach Doktoranckich na UW. Współpracował z poradnią internetową PWN, jako konsultant z zakresu polszczyzny potocznej. Autor „Słownika polszczyzny potocznej”.



Według anegdoty
współczesny Polak
zamienia puszkę
Pandory na
puszkę z Pandorą
i nic dziwnego:
bliższa mu jest puszka
coca-coli, a może nawet
zupy Campbell
– prof. Mirosław Bańko

XVII-WIECZNE MARMURY

– SKARBY Z DNA WISŁY



*Wpadnę na delfinoryba,
Z okrutną paszczką ryba.
A na niej stoi chłopiątko,
Z jakąś patką, niebożątko;
Chcąc ją zabić, z góry zmierzył,
A pędzią się swą nie zmierzył.
Wszystko to z marmuru rzeczy,
Kunsztownie zrobione, grzeczy.*

Adam Jarzębski, Gościniec albo opisanie Warszawy, 1643 r.

Dr HUBERT KOWALSKI jest pracownikiem Instytutu Archeologii UW oraz zastępcą dyrektora Muzeum UW, dr JUSTYNA JASIEWICZ jest pracownikiem Instytutu Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych UW.

Projekt „Wisła 1655-1906-2009 – Interdyscyplinarne badania dna rzeki” został zrealizowany dzięki wsparciu finansowemu m.st. Warszawy.

Projekt „Wisła”, fot. M. Hmielewicz



NIEZWYKŁE ODKRYCIE

Wiosną 1906 r. warszawskie gazety donosiły o niezwykłym odkryciu. Piaskarze – Franciszek Paś z synem i Michał Staniszewski – wydobyli z dna Wisły okazały zbiór marmurowych elementów. Wśród nich wyróżniała się przede wszystkim grupa rzeźbiarska przedstawiająca delfina z puttem. Na miejsce odkrycia piaskarze wraz z inż. Heliodorem Nieciengiewiczem – najprawdopodobniej inicjatorem poszukiwań – poprosili warszawianistę Władysława Korotyńskiego. To właśnie on, przyglądając się ni to smokowi, ni to delfinowi z długim, skręconym ogonem, okazałymi płetwami i żarłocznie rozwartą paszczą, bazując na tekście Adama Jarzębskiego, określił pochodzenie rzeźb. Ustalił, że są to elementy fontanny zdobiącej niegdyś ogród Villa Regia, dzisiejszego Pałacu Kazimierzowskiego, siedziby władz naszej uczelni.

Dziś zarówno putto jak i delfin znajdują się w zbiorach Muzeum Historycznego m.st. Warszawy. Poza nimi na początku XX wieku wyłowiono szereg fragmentów architektonicznych dekoracji rzeźbiarskich: gzymsy, rozety oraz kamienne zdobione wazy w przeszłości najprawdopodobniej również dekorujące Villa Regia. Piaskarze natrafili dodatkowo na wspaniałego marmurowego orła, który przy próbie wyciągnięcia zerwał liny i z powrotem zanurzył się w wiślanym nurcie. Piaskarzom zostało tylko jego skrzydło. Ze wspomnień wiadomo, że nie udało się wyłowić wszystkich odnalezionych elementów – w 1906 r. władze carskie zabroniły dalszych prac, do których później też nie powrócono. Korotyński, który zidentyfikował odnalezione elementy, postawił również tezę dotyczącą tego, jak zabytki znalazły się w Wiśle. Historia ta każe się nam cofnąć aż do połowy XVII w., kiedy na Rzeczpospolitą najechały wojska Karola Gustawa.

Potop szwedzki, o czym często się zapomina, był nie tylko wojną niszczycielską, ale przede wszystkim rabunkową. Wojska, przemieszczając się po terytorium kraju, bezpardonowo grabiły wszystko, co stało na ich drodze: dwory, pałace, klasztory. W pierwszej kolejności zabierano elementy, które najłatwiej było transportować: kosztowności, meble, księgozbiory, obrazy, rzeźby. Gdy tego zabrakło, najeźdźcy zrywali marmurowe posadzki i parapety, kamienne odrzwia, wyrwali kolumny razem z bazami, zdecali dekorację rzeźbiarską ze ścian. Następnie wszystkie łupy ładowali na barki zwane skutami i spławiali w dół rzeki, tam zaś przeładowywali je na statki płynące do Szwecji.

W materiałach źródłowych natrafić jednak można na szereg wzmianek dotyczących wypadków, jakim ulegały barki, natychmiast ginące w wiślanym nurcie. Część z nich, przeciążona załadowanymi dobrami, po prostu się rozpadała. Inne rozbiły się na wiślanym wypłyceńcu. Z kolejnych łupów po prostu wypadały lub były wyrzucane, by zmniejszyć ich obciążenie. W ten sposób okazałe ilości zabytków spoczęły na dnie Wisły. Niektóre z nich musiały czekać 250 lat na odnalezienie, inne – o ponad wiek dłużej.



Wydobywanie zabytków z dna Wisły, fot. M. Jamkowski

WISŁA 1655-1906-2009

W 2009 r. na Wydziale Historycznym UW został zainicjowany interdyscyplinarny projekt badawczy mający na celu zlokalizowanie zabytków, których nie udało się wydobyć piaskarzom. Prace rozpoczęły się w zespole trzyosobowym, do którego oprócz autorów niniejszego tekstu należy Marcin Jamkowski, eksplorator, podróżnik, członek prestiżowego The Explorers Club. Wkrótce jednak zespół zaczął się powiększać – dołączali do niego geolodzy, hydrołodzi, nurkowie, eksploratorzy z rozmaitych instytutów, uczelni i prywatnych przedsiębiorstw. Przy poszukiwaniach pracowali nie tylko specjaliści różnych dziedzin naszej uczelni – w tym przede wszystkim Wydziału Historycznego i Wydziału Geologii – lecz także Politechniki Warszawskiej czy Uniwersytetu Szczecińskiego. Szczególne zasługi dla projektu miał komendant Komisarzatu Policji Rzecznej w Warszawie, Piotr Kłys wraz z zespołem oraz Komendy – Powiatowa i Wojewódzka – Państwowej Straży Pożarnej. W sumie przy projekcie pracowało kilkanaście osób, a kolejne kilkadziesiąt dołączyło na jego różnych etapach w roli konsultantów. Wszyscy, całkowicie bezinteresownie dzielili się swoją wiedzą i doświadczeniem, wspierając projekt. Wsparcie to było szczególnie cenne, jako że niektórzy z góry zakładali niepowodzenie poszukiwań.

Pierwsze miesiące badań przeznaczone były przede wszystkim na przeprowadzenie kwerend archiwalnych i muzealnych oraz wytypowanie miejsca, w którym doszło do rozbicia szwedzkiej szkiuty oraz na które natrafili piaskarze. W czerwcu 2009 r. wiadomo było, że trzeba będzie przeszukać dwukilometrowy odcinek Wisły – niemalże metr po metrze. Aby tego dokonać, należało zorganizować specjalistyczny sprzęt: sonary, echosondy oraz tzw. profilomierz osadów dennych (*subbottom profiler*). Ponownie z pomocą przyszło wiele osób, które zupełnie bezinteresownie użyczyły członkom ekspedycji wszystkich niezbędnych urządzeń. Gdy już komputery, laptopy, GPSy, sonary i echosondy zostały podłączone do agregatu, okazało się, że na niewielkiej łódce znajduje się sprzęt poszukiwawczy wart ponad 700 tys. zł.

Pierwszy etap poszukiwań polegał na skanowaniu dna Wisły za pomocą specjalistycznych urządzeń pomiarowych. By „zapleść” jak najbardziej gęstą siatkę linii, trzeba było kilkaset razy

przepląć od brzegu do brzegu. Dzięki pomiarom wyznaczono szereg elementów nienaturalnego pochodzenia spoczywających na dnie Wisły, które musiały być sprawdzone przez nurków w kolejnym sezonie.

Niestety ze względu na powódź i następujące po sobie fale przechodzące przez Warszawę, w 2010 r. nie dało się zrobić wiele. Co prawda przeprowadzone jesienią pomiary z wykorzystaniem sonaru użyczonego przez straż pożarną pozwoliły stwierdzić, że większe obiekty nie zmieniają swojego położenia, ale jednocześnie okazało się, że dno pokryte jest grubą warstwą mułu, który dokładnie zakrył wszystkie elementy odkryte w poprzednim roku.

GDZIE JEST ORZEŁ?

Niebezpieczne i trudne prace nurkowe rozpoczęły się dopiero wiosną 2011 r. Nurkowie, sprawdzając kolejne wyznaczone punkty, schodzili do wody i przeszukiwali dno przy zerowej widoczności i bardzo wartkim nurcie. Każdy element trzeba było określać rozpoznając jego kształty wyłącznie dłońmi. Nic więc dziwnego, że jeden z elementów, wstępnie zidentyfikowany jako kolejna donica z Villa Regia, okazał się zwykłym otoczakiem.

W październiku poziom wody w Wiśle był najniższy od kilkudziesięciu lat, a silny nurt wymywający piasek i muł odsłonił jedną z tajemnic rzeki. Podczas kolejnego dnia poszukiwań natrafiono na zbiór marmurowych bloków. Najpierw było ich kilka, później kilkanaście, w końcu niemal sto dużych fragmentów dekoracji rzeźbiarskiej i architektonicznej, a pośród nich najbardziej spektakularny: trójkątny, marmurowy element z herbem Wazów, wstępnie datowany na pierwsze lata XVII w.

Jak wykazały pierwsze analizy, odnalezione elementy pochodzą najprawdopodobniej nie z Villa Regia, ale z Zamku Królewskiego w Warszawie. Mamy najprawdopodobniej do czynienia z elementami zdobiącymi Zamek z jego wczesnej fazy przebudowy, z której nie zachowało się nic, a zatem zabytkami o niezwyklej wartości.

Wiosną 2012 r. poszukiwania ruszą na nowo. Utrzymujący się niski stan wody pozwala mieć nadzieję, że Wisła odsłoni swoją kolejną tajemnicę i zwróci marmurowego orla wraz z elementami niegdyś zdobiącymi Pałac Kazimierzowski. ■

PO CO MITY O MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE?

Studiując nadal na Sorbonie, zaczęła pracować jako laborantka w przemysłowym laboratorium zakładów Lippmana. W 1894 r. uzyskała drugi licencjat, tym razem z matematyki. W tym samym roku poznała swojego przyszłego męża Francuza, Piotra Curie, doktoranta w laboratorium Henri Becquerela. Po uzyskaniu przez Piotra stopnia doktora w 1895 r. zawarli związek małżeński. Poszukując tematu do dalszych badań, Maria zwróciła uwagę na zjawisko promieniotwórczości uranu odkryte przez Henri Becquerela w 1896 r. Zadanie, które otrzymała od promotora, polegało na wyjaśnieniu, dlaczego ruda uranu ma większą radioaktywność niż zawarty w niej uran. Ten wyjątek z tekstu wykładu pana rektora Marka Krawczyka, wygłoszonego podczas niedawnej inauguracji roku akademickiego na UW („UW” nr 5/55, grudzień 2011, s. 39) zawiera poważne błędy faktograficzne.

Z nieznanych mi powodów profesor Marek Krawczyk propaguje te i inne błędy na temat naszej wielkiej rodaczki w licznych swych wykładach, a także w książce „Maria Skłodowska-Curie – znaczenie jej odkryć dla medycyny” (Warszawa 2011), wydanej także po francusku (!). W książce posuwa się nawet dalej, pisząc, że Piotr Curie, rzekomo doktorant Becquerela, *zarekomendował swoją żonę Henri Becquerelowi, który zaproponował jej podjęcie studiów doktoranckich pod jego opieką*. Maria miała więc rzekomo wykonywać swe badania w laboratorium Becquerela i pod jego kierunkiem.

Rozsiewanie podobnych mitów nie tylko uwłacza pamięci Marii Skłodowskiej-Curie, ale także poważnie fałszuje historię badań promieniotwórczości, w której wielka uczona odegrała tak istotną rolę. Zatem na użytek czytelników pisma naszej uczelni przedstawiam krótko prawdziwy obraz ówczesnych wydarzeń, który zresztą można wyczytać chociażby z „Autobiografii” Marii Skłodowskiej-Curie oraz biografii Piotra Curie jej autorstwa.

Aby właściwie ocenić rzeczywisty wkład Becquerela, trzeba przede wszystkim wiedzieć, że odkrył on zjawisko promieniowania uranu zupełnie przypadkowo, a jego prace na ten temat zawierały poważne błędy. Najpierw chciał sprawdzić sugestię, że przenikliwe promieniowanie odkryte przez Röntgena ma związek z fosforescencją (zjawiskiem opóźnionego wysyłania światła po uprzednim naświetleniu danej substancji). Ponieważ zajmował się wcześniej fosforescencją, miał w swej pracowni bogaty zbiór minerałów fosforescencyjnych. W końcu lutego 1896 r. wziął z półki akurat minerał zawierający uran, wystawił na światło słoneczne, a po długim naświetleniu położył go na kliszy fotograficznej szczelnie owiniętej w gruby czarny papier, nieprzepuszczający światła. Okazało się po wywołaniu kliszy, że została ona zaczerniona, wobec czego 24 lutego 1896 r. Becquerel ogłosił triumfalnie na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu, że istotnie minerał uranowy wysyła niewidzialne przenikliwe promieniowanie pod wpływem naświetlenia.

Był to oczywiście wniosek fałszywy, o czym przekonał się sam Becquerel, kiedy w Paryżu popsuła się pogoda i mimo braku naświe-

tlenia minerał uranowy zaczernił położoną pod nim kliszę. Becquerel ogłosił to 2 marca, a na kolejnych marcowych posiedzeniach Akademii Nauk przedstawił dalsze wyniki swych badań – jak dziś wiemy błędne – że promieniowanie uranu ulega odbiciu, załamaniu i polaryzacji, a więc wykazuje takie same właściwości jak światło, chociaż jest niewidoczne dla oka.

Becquerel używał klisz fotograficznych i „na oko” badał ich zaczernienie pod wpływem promieniowania. To subiektywna i wysoce zawodna metoda doprowadziła go do błędnych wniosków. Powszechnie uznano zatem promienie uranowe za rodzaj przenikliwego, niewidzialnego światła (w tych czasach znano już promienie nadfioletowe i podczerwone, także niewidoczne dla oka). W opinii fizyków znacznie ciekawsze było badanie tajemniczych promieni X odkrytych przez Wilhelma Röntgena. Sam Becquerel w połowie 1896 r. przestał badać promieniotwórczość uranu i przez dwa następne lata zajmował się tzw. zjawiskiem Zeemana (wpływem pola magnetycznego na światło).

Nie wiadomo, jak długo trwałby zastój w badaniach promieniotwórczości spowodowany przez błędy Becquerela, gdyby nie genialny pomysł Marii Skłodowskiej-Curie.

Maria Skłodowska poznała Piotra Curie w 1894 r. podczas przyjęcia u jej znajomego, profesora fizyki, Józefa Wierusza-Kowalskiego. Była wtedy nadal studentką i nie pracowała jako laborantka w przemysłowym laboratorium zakładów Lippmana – jak twierdzi prof. Krawczyk.

Piotr Curie po uzyskaniu licencjatu nauk fizycznych został w 1878 r. asystentem profesora Desainsa, a pięć lat później zatrudniono go jako kierownika laboratorium w Szkole Fizyki i Chemii Przemysłowej miasta Paryża. Potem został tam profesorem. To właśnie z pracownią w tej instytucji były związane późniejsze badania, najpierw samej Marii, a potem obojga małżonków Curie. W 1895 r. Piotr Curie obronił rozprawę doktorską na temat magnetyzmu. W skład jury wchodził profesorowie Edmond Bouty, Paul Hautefeuille i Gabriel Lippmann. Becquerel nie miał z tym nic wspólnego.

Prof. dr hab. ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI jest fizykiem. Jego specjalność to fizyka cząstek elementarnych i wysokich energii oraz historia fizyki. Jest przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Historii Nauki PAN, członkiem i wiceprezesem Polskiej Akademii Umiejętności, członkiem Polskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. W latach 1989-93 był rektorem Uniwersytetu Warszawskiego.

Maria i Piotr zawarli małżeństwo w 1895 r. Pensja Piotra była niewielka, więc Maria w celu podreperowania skromnego budżetu rodzinnego podjęła, na zlecenie Towarzystwa Zachęty dla Przemysłu Narodowego, dość standardową pracę na temat właściwości magnetycznych hartowanej stali. Pomiary przeprowadzała w laboratorium swego męża. Jej wyniki uznano jednak za wystarczająco ciekawe, aby przedstawić je na posiedzeniu Akademii Nauk – uczynił to profesor Alfred Potier – i ogłosić w jej sprawozdaniach (*Comptes Rendus* z 12 grudnia 1897 r.). Była to pierwsza opublikowana praca przyszłej wielkiej uczzonej.

Maria Skłodowska-Curie była wtedy młodą mężatką. W dniu 12 sierpnia 1897 r. urodziła swą pierwszą córkę, Irenę, a 7 listopada 1897 r. ukończyła 30 lat. Po zakończeniu badań hartowanej stali, Maria, nie bacząc na obowiązki rodzinne, postanowiła kontynuować karierę badaczki. *Zdecydowałam się wreszcie na temat mojej rozprawy doktorskiej. Uwagę moją zwróciły ciekawe wyniki badań Henri Becquerela soli rzadkiego metalu – uranu – napisała potem w swej Autobiografii.*

Już po kilku miesiącach wyteżonej pracy uzyskała znaczące wyniki. Artykuł Marii Skłodowskiej-Curie przedstawiony 12 kwietnia 1898 r. przez Gabriela Lippmanna na posiedzeniu Akademii Nauk i opublikowany w tymże dniu w *Comptes Rendus* miał przełomowe znaczenie dla rozwoju badań promieniotwórczości.

Maria Skłodowska-Curie napisała wyraźnie, że prowadziła badania w laboratorium Miejskiej Szkoły Chemii i Fizyki (gdzie zatrudniony był jej mąż). Wymieniła z podziękowaniem nazwiska osób, od których uzyskała uran i rozliczne minerały oraz inne substancje (Alexandre Étard, Eugène Demarçay, Alfred Lacroix i Henri Moissan). Becquerel nie miał z jej badaniami nic wspólnego.

Ten przełomowy artykuł Marii Skłodowskiej-Curie z 12 kwietnia 1898 r., znakomicie przemyślany i opracowany, może nadal stanowić wzór pisania prac naukowych. Liczy tylko 3 strony, ale zawiera wiele ogromnie ważnych wyników. Warto je ująć w punktach.

1. Maria Skłodowska-Curie zastosowała świetną ilościową metodę detekcji promieniowania, czuły elektrometr, który umożliwiał pomiar bardzo słabych prądów. Przyrząd ten skonstruowali sporo wcześniej Piotr Curie ze swym bratem, Jacquesem, kiedy prowadzili wspólnie badania piezoelektryczności.
2. Genialnym pomysłem Marii Skłodowskiej-Curie było ilościowe przebadanie bardzo dużej liczby różnych substancji w poszukiwaniu właściwości promieniotwórczych. Dzięki temu odkryła, że promieniotwórczy jest także inny pierwiastek, tor, i sprawdziła, że w prawie wszystkich – z wyjątkiem dwóch – badanych substancjach zawierających uran natężenie promieniowania jest proporcjonalne do zawartości tego pierwiastka. Z tego wyciągnęła wniosek, iż promieniotwórczość jest właściwością atomów uranu.
3. Odkryła, że dwie badane substancje, chalkolit i blenda smolistą, promieniują silniej niż sam czysty uran. Wpadła na genialny pomysł wyprodukowania chalkolitu metodą syntezy ze znanych jego składników. Przekonała się, że ten sztuczny chalkolit promieniuje tak, jak wynika z zawartości w nim uranu. A więc tajemnica tkwiła w chalkolicie naturalnym!
4. Na tej podstawie Maria Skłodowska-Curie wysunęła bardzo śmiałą hipotezę o istnieniu w chalkolicie i blendzie smolistej jakiegoś nieznanego, silnie promieniotwórczego pierwiastka.

I to wszystko było dziełem badaczki stawiającej przecież dopiero pierwsze kroki w swej karierze i młodej matki, która musiała karmić niemowlę.

Maria Skłodowska-Curie dokonała wielkiego odkrycia, szukając odpowiedzi na bardzo proste pytania. Jej geniusz można ocenić najlepiej, porównując jej działanie z pracami innych. I tak, w Neapolu Emilio Villari badał rozładowywanie elektroskopu listkowego przez tę samą blendę smolistą, ale nie przyszło mu do głowy, żeby prowadzić pomiary ilościowe. W Erlangen w Niemczech Gerhard Schmidt wpadł wprawdzie na pomysł, żeby szukać innych ciał promieniotwórczych i odkrył promieniowanie toru niezależnie od Marii Skłodowskiej-Curie, jednak najwidoczniej uznał, że badanie natężenia promieniowania różnych minerałów uranu to strata czasu. I wreszcie Becquerel, jak widzieliśmy, też nie próbował wykonywać takich pomiarów, przez co skazał dziedzinę promieniotwórczości na prawie dwuletnie zapomnienie.

Okazało się, że wyniki, do jakich mnie ta praca doprowadziła, odsłaniają widoki tak ciekawe, że pan Curie, odstępując od swych robót, będących w biegu, przyłączył się do mnie i odtąd wspólnie nasze usiłowania skierowaliśmy ku wydobywaniu nowych ciał promieniotwórczych i ich zbadaniu – napisała Maria Skłodowska-Curie w swej rozprawie doktorskiej (1903). Od tej pory małżonkowie Curie wspólnymi siłami starali się zidentyfikować ten nieznany pierwiastek promieniotwórczy. Już w dniu 18 czerwca 1898 r. – córeczka Irena miała dopiero 10 miesięcy – ukazał się ich komunikat o odkryciu pierwiastka, dla którego zaproponowali nazwę „polon”. Była to oczywiście demonstracja polityczna, przypomnienie światu o zniewolonej przez zaborców Polsce. A już 26 grudnia tegoż roku opublikowali komunikat o odkryciu kolejnego pierwiastka, radu. W ten sposób, w ciągu kilku miesięcy nauka o promieniotwórczości stała się ekscytującą gałęzią fizyki.

Becquerel był wielce zawstydzony, że tak wspaniałe odkrycia przeszły mu koło nosa. Wrócił do badań promieniotwórczości i w 1899 r. odwołał swe błędne wyniki z początku 1896 r. Próbował nadrobić stracony czas, przesiadywał często w laboratorium małżonków Curie i – jak pisał Piotr Curie – był bardzo natarczywy.

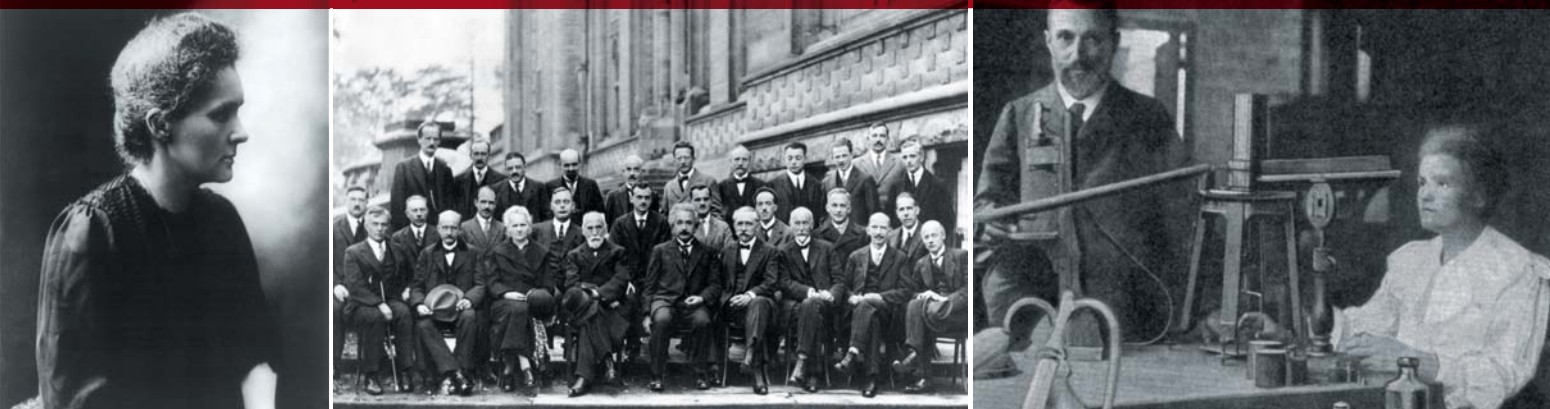
W 1903 r. Maria Skłodowska-Curie obroniła na Sorbonie swą rozprawę doktorską. W jej jury zasiadali Gabriel Lippmann jako przewodniczący oraz Edmond Bouty i Henri Moissan. Po raz kolejny potwierdził, że Becquerel nie miał z tym nic wspólnego.

W 1903 r. połowę Nagrody Nobla z fizyki przyznano Becquerelowi, a drugą jej połowę otrzymali małżonkowie Curie. Był to chyba podział mało sprawiedliwy.

Becquerel był fizykiem znacznie mniejszego formatu niż Maria Skłodowska-Curie i jej mąż Piotr. Nadal zdarzało mu się ogłaszać błędne wyniki swych badań. Po jednym z takich zdarzeń wielki Ernest Rutherford, który nie przebierał w słowach, w listopadzie 1905 r. napisał w liście do Williama H. Bragga: *Zapewne spostrzegł już Pan, że Becquerel oszalał... On napisał, że promienie radu... przy przejściu przez materię nie zmniejszają, lecz raczej zwiększają prędkość!!! Nigdy nie widziałem tak przerażającej impotencji intelektualnej u kogoś, kto uważa się za lidera nauki... Uważam, że Becquerel to osioł pierwszej klasy...*

I tak wygląda prawdziwa historia wczesnych badań promieniotwórczości i historia wielkości Marii Skłodowskiej-Curie. ■

Portret Marii Skłodowskiej-Curie; uczona na konferencji w Solvay w 1927 r.; z mężem Piotrem w laboratorium, źródła: Library of Congress; IIPS; ACJC



CZTERY GRAMY RATUJĄCE ŻYCIE

Nowotwór, choć jest jednym z najpotężniejszych przeciwników zagrażających ludzkości, sam też ma wielu wrogów. Codzienną walkę z chorobą podejmują osoby, u których wykryto raka, wyzwanie tej chorobie rzucają także naukowcy z całego świata, którzy starają się znaleźć sposób na zwalczenie zmienionych chorobowo komórek.



Zespół z Zakładu Biofizyki kierowany przez prof. Edwarda Darżynkiewicza (z lewej), fot. M. Kaźmierczak

Do rozwiązania tej trudnej zagadki mogą się również przyczynić wyniki prac interdyscyplinarnego zespołu badawczego z Zakładu Biofizyki z Wydziału Fizyki, kierowanego przez prof. Edwarda Darżynkiewicza, w którym dr Jacek Jemielity pracuje nad chemicznymi modyfikacjami mRNA, zapewniającymi im pożądane cechy w warunkach komórkowych. Naukowcy z UW, we współpracy z zespołem prof. Roberta E. Rhoadsa z Louisiana State University, opracowali oraz opatentowali metodę wydłużania trwałości oraz zwiększenia wydajności mRNA, czyli kwasu rybonukleinowego odpowiedzialnego za wytworzenia antygenu dla określonego nowotworu. Zmodyfikowane mRNA, nad którym pracowali uniwersyteccy naukowcy, może wkrótce odegrać kluczową rolę w produkcji szczepionek przeciwnowotworowych. Licencję na wytwarzanie tego związku wykupiła niemiecka firma BioNTech, która rozpoczęła już badania kliniczne. Przewiduje się, że potrwać one od 3 do 4 lat.

– Do tej pory ze względu na nietrwałość cząsteczki mRNA, której żywotność wynosi od kilku minut do kilku godzin, naukowcy w terapii genowej byli zmuszeni modyfikować DNA, co jest niebezpieczne. Może dojść do nieprzewidzianych mutacji, a tym samym do groźnych powikłań u pacjentów. W przypadku mRNA takiego zagrożenia nie ma – tłumaczy prof. Edward Darżynkiewicz. Sukces naukowców z UW polega na tym, że udało im się trzykrotnie wydłużyć żywotność mRNA i pięciokrotnie zwiększyć ich wydajność w produkcji białek, co tym samym umożliwia wykorzystywanie zmodyfikowanego mRNA

w produkcji leków przeciwnowotworowych. – Cząsteczka mRNA składa się z ok. 2 tys. nukleotydów, co odpowiada ok. 80 tys. atomów. Jest połączona mostkiem trifosforanowym z tzw. kapem (czapeczką), czyli strukturą, która chroni przed niszczącym działaniem enzymów. To, co m.in. wpłynęło na zwiększenie żywotności i aktywności mRNA, to zamiana atomu tlenu na atom siarki w mostku trifosforanowym – wyjaśnia dr Jacek Jemielity, kierujący grupą młodych chemików.

Naukowcy, którzy pracują nad szczepionkami przeciwnowotworowymi opartymi o strukturę mRNA, wybierają komórkę nowotworową i przy pomocy wielu skomplikowanych metod, szukają różnic pomiędzy komórką zdrową a chorą. – Jeśli uda się znaleźć taką różnicę w postaci jakiegoś białka, to właśnie wtedy syntetyzowane jest mRNA zmodyfikowane, które koduje to białko – tłumaczy dr Jacek Jemielity. – Później mRNA wstrzykiwane jest do węzłów chłonnych pacjenta i dostaje się do komórek dendrytycznych, odpowiedzialnych za generowanie odpowiedzi układu immunologicznego. Tam białko jest syntetyzowane, odpowiednio obrabiane i wystawiane na powierzchnię komórek nowotworowych, na których dochodzi do szkolenia limfocytów T, tzw. killerów, które później będą w stanie rozpoznawać komórki posiadające to białko i je niszczyć – dodaje. – Szczepionki bazujące na mRNA będą mogły być wykorzystywane w leczeniu osób chorych, jak i w zapobieganiu chorobom u tych, u których podwyższony jest poziom ryzyka wystąpienia nowotworu – mówi dr Joanna Kowalska z Wydziału Fizyki, pełniąca kluczową rolę w realizacji projektu.

NAGRODY I SUKCESY NAUKOWE

ASTRONOMOWIE PO RAZ PIERWSZY ROZDZIELILI GWIAZDĘ-ŹRÓDŁO I JEJ MIKROSOCZEWKĘ

Zjawisko mikrosoczewkowania polega na zakrzywieniu światła dochodzącego do Ziemi z odległej gwiazdy. Następuje ono wtedy, gdy pomiędzy punktem obserwacyjnym na Ziemi a gwiazdą pojawi się inny obiekt, nazywany mikrosoczewką. Zjawisko może trwać nawet kilka miesięcy, przez astronomów rejestrowane jest jako wzrost a następnie spadek jasności światła wysyłanego przez gwiazdę.

Zespołowi naukowców pod kierunkiem dr. Pawła Pietrukowicza z Obserwatorium Astronomicznego UW, po raz pierwszy udało się zaobserwować rozdzielenie gwiazd, które brały udział w zjawisku mikrosoczewkowania grawitacyjnego. Astronomowie wychwycili zjawisko w połowie 2000 roku. Brała w nim udział odległa gwiazda – będąca źródłem światła – znajdująca się w centralnej części Drogi Mlecznej oraz – w roli mikrosoczewki – mały obiekt należący do gromady kulistej M22. Zjawisko trwało około miesiąca.

W połowie 2011 roku obiekty na tyle się od siebie oddaliły, że naukowcom udało się dostrzec gwiazdę, która 11 lat wcześniej spełniła rolę mikrosoczewki i zakrzywiła światło odległej gwiazdy. Obserwacje prowadzono w Chile, za pomocą teleskopu ESO,

To jednak nie są pierwsze patenty, którymi mogą pochwalić się pracownicy Wydziału Fizyki UW. Podstawą patentów zgłoszonych przez dr. Jemielitego stał się wynalazek, umożliwiający prawidłowe wbudowywanie cząsteczek modyfikowanych chemicznie. W 2001 r. prof. Edward Darzynkiewicz sam podjął się zgłoszenia pracy do opatentowania². – *Zarówno w uzyskaniu pierwszego patentu, jak i tych późniejszych ważną rolę odegrała Maria Tomczak-Planik, ówczesna rzeczniczka patentowa, która dała nam ogromne wsparcie merytoryczne – mówi prof. Darzynkiewicz. – Procedura patentowa jest długotrwała, dodatkowo różne czynniki administracyjne mogą ten proces zahamować. Na szczęście wtedy, gdy staraliśmy się o uzyskanie dwóch ostatnich patentów, atmosfera temu bardzo sprzyjała i nie natrafiliśmy na bariery – podkreślił dr Jemielity.*

Umowa zawarta z firmą BioNTech dała początek nie tylko pracom nad lekami antynowotworowymi, ale przyczyniła się też do tego, że studenci Międzynarodowych Studiów Doktoranckich, prowadzonych na Wydziale Fizyki, będą mieli okazję uczestniczyć w stażach w Niemczech. – *Młodzi badacze, którymi kieruje dr Jacek Jemielity to prawdziwi entuzjaści. Czasem zdarza się, że pracują w laboratorium na dwie zmiany. Robią to, bo doceniają, że mogą uczestniczyć w badaniach, które mogą przynieść niezwykle efekty – podsumował prof. Darzynkiewicz. ■*

¹ Jemielity J., Grudzien-Nogalska E., Kowalska J., Darzynkiewicz E., Rhoads R.E., „Synthesis and use of anti-reverse phosphorothioate analogs of the messenger RNA cap” nr PCT/US2008/67494 (19 czerwca 2008); Kowalska J., Jemielity J., Darzynkiewicz E., Rhoads R.E., Łukasiewicz M., Zuberek J., „mRNA Cap Analogs” nr PCT/US2009/046249 (4 czerwca 2009) ² Edward Darzynkiewicz, Robert E. Rhoads, Janusz Stepinski, „Synthesis and Use of Anti-Reverse mRNA Cap Analogs”, U.S.P. No.: 7,074,596, Jul. 11, 2006.

stosując technikę zwaną optyką adaptatywną, która pozwala na wyostrenie uzyskiwanych obrazów nieba.

Naukowcom udało się ponadto określić masę gwiazdy, która spowodowała zjawisko mikrosoczewkowania. Oszacowali ją na 0,18 masy Słońca. Nigdy wcześniej astronomowie nie zdołali dokonać takiego pomiaru.

Badacze po raz pierwszy też potwierdzili zjawisko mikrosoczewkowania z udziałem gwiazdy należącej do gromady kulistej.

Odkrycia zespołu dr. Pietrukowicza zostały dodatkowo potwierdzone dzięki obserwacjom uniwersyteckiej grupy OGLE. Dowiodły one, że odległa gwiazda-źródło nie jest gwiazdą zmienną, co również mogłoby być powodem zmian jasności emitowanego przez nią światła.

W pracach zespołu dr. Pietrukowicza brał udział prof. Andrzej Udalski z OA UW oraz naukowcy z Chile (Departamento de Astronomia y Astrofísica, Pontificia Universidad Católica de Chile) oraz Szwajcarii (Institut für Theoretische Physik, Universität Zürich).

Praca podsumowująca wyniki badań ukazała się w styczniu w czasopiśmie „The Astrophysical Journal Letters” (P. Pietrukowicz, D. Minniti, Ph. Jetzer, J. Alonso-García, A. Udalski, The first confirmed microlensing in a globular cluster, The Astrophysical Journal Letters, 2012, Vol. 744, Nr 2).

STUDENTKA SKONSTRUOWAŁA JEDEN Z PIERWSZYCH W POLSCE SUPERROZDZIELCZYCH MIKROSKOPÓW

Joanna Oracz, obecnie doktorantka w Laboratorium Procesów Ultraszybkich IFD UW, skonstruowała w ramach pracy magisterskiej jeden z pierwszych w Polsce superrozdzielczych konfokalnych mikroskopów typu STED.

Mikroskopy optyczne są wykorzystywane nie tylko w badaniach z zakresu optyki, ale także przy analizie próbek biologicznych. Dzięki swoim właściwościom dają znacznie lepsze wyniki niż urządzenia oparte o mikroskopię elektronową czy sił atomowych. Umożliwiają też stworzenie przestrzennej struktury próbki.

Mimo licznych zalet, mikroskopia optyczna miała też dotychczas słabe strony – do niedawna sądzono, że obiekty obserwowane przy jej użyciu nie mogą być mniejsze niż 200 nanometrów (miliardowych części metra). W połowie lat 90. ukazały się pierwsze prace teoretyczne obalające to przekonanie, a w 1999 r. skonstruowano pierwszy superrozdzielczy mikroskop STED, wykorzystujący metodę wygaszania emisją wymuszoną (STimulated Emission Depletion). Technika polega na zastosowaniu oprócz standardowej wiązki lasera używanej w fluorescencyjnej mikroskopii konfokalnej, także dodatkowej wiązki – wygaszającej. W przekroju przypomina ona obwarzanek – jest wytłumiona w środku. Jej użycie powoduje, że fluorescencja zachodzi przede wszystkim w tym obszarze próbki, który znajduje się w centrum wiązki wygaszającej.

– Aby zaobserwować efekt STED, obie wiązki muszą być idealnie współliniowe – minimum wiązki wygaszającej musi się dokładnie pokrywać z centrum wiązki wzбудzającej – tłumaczy Joanna Oracz, wyjaśniając dalej zalety metody STED. – Dzięki drugiej wiązce obszar próbki, świecący wskutek fluorescencji, jest wyraźnie mniejszy od średnicy wiązek laserowych. Mamy taki efekt, jakbyśmy lepiej zogniskowali wiązkę oświetlającą, co oznacza, że możemy skanować próbkę z większą rozdzielczością – wyjaśnia.

Rozdzielczość, którą udało się uzyskać doktorantce to około 100 nanometrów, za cel stawia sobie zejście do granicy 60 nm. – Zaletą naszego mikroskopu jest możliwość kontrolowania wszystkich parametrów i badania fizyki zachodzących zjawisk optycznych – podkreśla młoda badaczka.

Praca dyplomowa Joanny Oracz powstała pod kierunkiem prof. Czesława Radzewicza, kierownika Laboratorium Procesów Ultraszybkich, we współpracy z Instytutem Biologii Doświadczalnej PAN im. M. Nenckiego.

Joanna Oracz była jedną z laureatek I edycji konkursu „Dziewczyny Przyszłości. Śladami Marii Skłodowskiej-Curie”, organizowanego przez MNiSW oraz redakcję miesięcznika „Elle”.

KOSMICZNA KALIBRACJA

Cefeidy, olbrzymie gwiazdy, które od lat są dla astronomów wzorcem odległości, pomogą naukowcom zmierzyć Wszechświat. Kolejne badania zespołu prof. Grzegorza Pietrzyńskiego z Obserwatorium Astronomicznego UW będą możliwe dzięki dofinansowaniu z programu „Ideas Plus”.

Program wspiera i zachęca naukowców do udziału w konkursie IDEAS Euro-

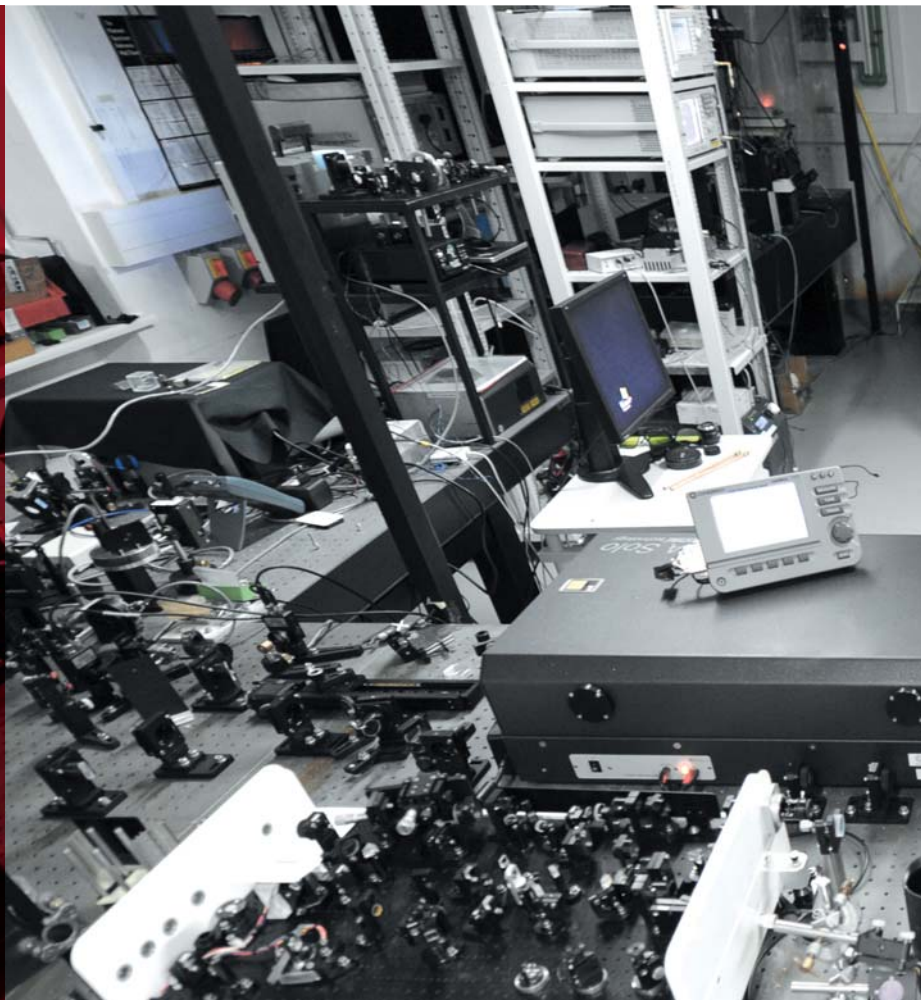
pejskiej Rady ds. Badań (European Research Council), która finansuje nowatorskie projekty. W konkursie doceniane są te najbardziej nowatorskie pomysły, które mogą doprowadzić do odkryć na skalę światową.

W tym roku jednym z sześciu projektów, które otrzymają dofinansowanie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jest „Dokładna kalibracja kosmicznej skali odległości oraz precyzyjne wyznaczanie parametrów fizycznych gwiazd” prof. Pietrzyńskiego.

Od ponad dziesięciu lat astronomowie z Uniwersytetu Warszawskiego gromadzą wysokiej jakości dane dla najpowszechniej używanych wskaźników odległości. Wykorzystują do tego celu nowoczesne teleskopy, wyposażone w najdokładniejsze na świecie spektrografy. Obserwacje prowadzone są głównie w Las Campanas w Chile, jednej z najlepiej usytuowanych stacji badawczych. – Obecnie posiadany zestaw danych powinien pozwolić nam zmierzyć Wszechświat, czyli skalibrować kosmiczną skalę odległości, z trzykrotnie lepszą dokładnością niż zostało to zrobione do tej pory. Oprócz znaczącej poprawy kalibracji kosmicznej skali odległości zamierzamy wyznaczyć precyzyjne parametry fizyczne wielu gwiazd w pobliskich galaktykach. Pomiaru te powinny pozwolić rozwiązać kilka niezmiennie ważnych problemów współczesnej astronomii – wyjaśnia prof. Pietrzyński.

Cefeidy, czyli gwiazdy pulsujące, które osiągają rozmiary kilkadziesiąt razy większe niż Słońce, to jedne z największych obiektów astronomicznych. Problem związany z ustaleniem ich masy trwa od 40 lat. Do tej pory wszelkie próby obarczone były błędami sięgającymi 30%. Wagę cefeid mierzy się z odległości 160 tysięcy lat świetlnych. Naukowcom udaje się już osiągnąć precyzję pomiaru rzędu jednego procenta. Wyniki są tak dokładne, jak te, które pojawiają się na wadze łazienkowej.

Joanna Oracz w laboratorium optycznym Wydziału Fizyki UW, fot. G. Krzyżewski, FUW



W ubiegłej edycji MNiSW dofinansowano badania ośmiu polskich naukowców. Teraz nagrodzonych zostało sześciu badaczy. W tegorocznym wydaniu na prowadzenie badań przekazano łącznie ponad 12 mln złotych. Projekt prof. Pietrzyńskiego otrzymał ponad milion zł dofinansowania.

Prof. Pietrzyński od wielu lat kieruje pracą uniwersyteckich astrofizyków, jest liderem projektu Araucaria, który prowadzony jest we współpracy z astronomami z Chile, USA i Włoch. W 2010 roku został laureatem programu „Team” Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

TAJEMNICE WENECJI

Jak przyjmowano polskiego króla Henryka Walezego na uroczystościach europejskich? Jak wyglądały renesansowe uczty na dworach w Paryżu, Krakowie i Wenecji? Dzięki dofinansowaniu projektu badawczego, Ewa Kociszewska, doktorantka z Instytutu Historii Sztuki UW, poszuka odpowiedzi na te pytania w weneckich archiwach i bibliotekach. Ewa Kociszewska jest jednym z 47 młodych uniwersyteckich naukowców, których projekty badawcze otrzymają dofinansowanie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w programie „Juventus Plus”.

– Obecnej edycji konkursu towarzyszyła rekordowa pula dofinansowania w wysokości ponad 70 mln złotych. To o ponad 30 mln więcej niż w ubiegłym roku. Poszerzyło się także zainteresowanie konkursem: naukowcy złożyli o jedną czwartą wniosków więcej niż poprzednio – mówi Bartosz Loba, rzecznik prasowy MNiSW.

W konkursie mogą uczestniczyć naukowcy do 35. roku życia. – Zaproponowane przez nich projekty musiały stanowić kontynuację badań naukowych, których wyniki opublikowano lub przyjęto do publikacji w renomowanych światowych czasopiśmie – tłumaczy Bartosz Loba.

Dofinansowania przyznawane są w pięciu kategoriach: nauk humanistycznych i społecznych, medycznych, przyrodniczych, ścisłych oraz technicznych. W tym roku wpłynęły 652 wnioski, aż jedna trzecia z nich w obszarze nauk przyrodniczych. Świetnie poradzi sobie humaniści z UW, którzy zdobyli 10 granatów na 25 przyznanych w tej dziedzinie.

Najwięcej dotacji otrzymało województwo mazowieckie, w którym 140 osobom przyznano blisko 30 mln. zł. Najmniej – opolskie, gdzie grant w wysokości 224 tys. zł otrzymał jeden naukowiec. Ogółem ministerstwo nagrodziło 340 uczonych. Najwięcej grantów spośród uniwersytetów otrzymał Uniwersytet Warszawski (47), na drugim miejscu znalazł się Uniwersytet Jagielloński (38). Biorąc pod uwagę wszystkie instytucje biorące udział w konkursie, najwięcej dofinansowań przyznano badaczom z Polskiej Akademii Nauk (78).

Dofinansowanie wynoszące ponad 80 tys. zł Ewa Kociszewska przeznaczy na dwumiesięczną kwerendę w bibliotekach i archiwach w Wenecji oraz na zakup reprodukcji dzieł sztuki z różnych europejskich muzeów i praw do ich wykorzystania w czasopiśmie naukowych.

Uroczystości, o których badaczka będzie szukała informacji, rozpoczęły się w 1573 r., kiedy na dworze francuskim, oficjalnie oznajmiono wybór księcia Andegaweńskiego na króla Polski. – Katarzyna Medycejska, matka elekta, zorganizowała z tej okazji cykl tzw. *fêtes polonaises*, jednych z najwspanialszych renesansowych uroczystości. Przygotowanie bankietów i spektakli królowa zleciła najwybitniejszym poetom, humanistom, artystom i muzykom dworu francuskiego, takim jak Pierre de Ronsard, Jean Dorat, Antoine Caron, Germain Pilon czy Orlando di Lasso – mówi Ewa Kociszewska.

– Niestety nic jeszcze nie wiemy o jadalnospisach dla Henryka Walezego, może uda się odnaleźć takie informacje – dodaje.

IUVENTUS PLUS

liczba nagrodzonych ogółem: 340

laureaci z UW: 47

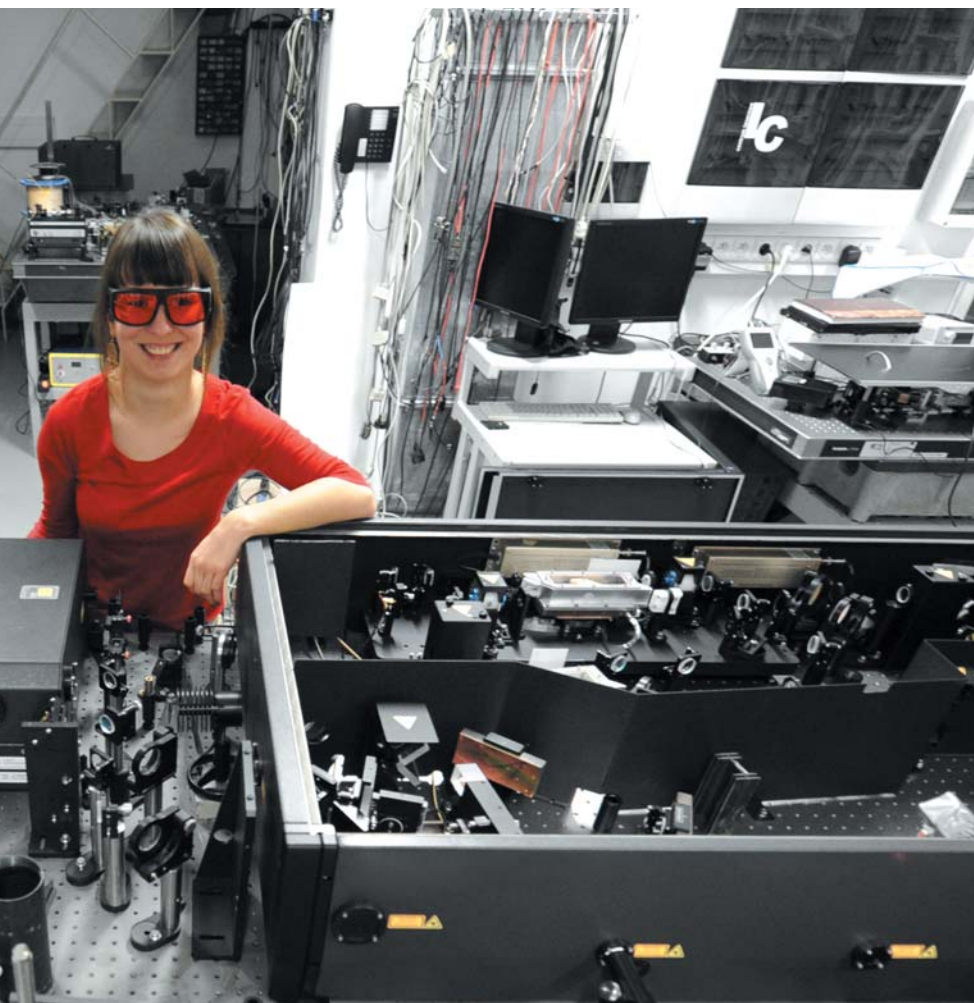
środki przeznaczone na program:
blisko 74 mln zł

granty dla UW: ponad 5 mln zł

NAGRODZONE KSIĄŻKI HISTORYCZNE

165 nominacji oraz 13 laureatów, wśród których znaleźli się naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego – 24 listopada, podczas otwarcia XX Targów Historycznych wręczono Nagrody Klio, które przyznawane są autorom i wydawcom publikacji historycznych.

Wyróżnienia nadawane są przez Porozumienie Wydawców Książki Historycznej od 1995 r. W tegorocznej edycji nagrody wręczono w czterech kategoriach: autorskiej, dla naukowca w uznaniu jego indywidualnego wkładu w popularyzację wiedzy historycznej, edytorskiej dla wydawnictw, monografii naukowej doceniającej merytoryczny wkład w poznanie historii, oraz warsawiana, która wyróżnia publikacje o tematyce związanej z Warszawą.



W kategorii autorskiej, nagrodę II stopnia za książkę „Mitologia grecka i rzymska” otrzymała prof. Katarzyna Marciniak z Instytutu Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”. Drugim naukowcem z Uniwersytetu Warszawskiego wyróżnionym nagrodą Klio został prof. Jerzy Kochanowski z Instytutu Historycznego, który w kategorii monografii naukowych zdobył nagrodę II stopnia za publikację „Tylnymi drzwiami. Czarny rynek w Polsce 1944-1989”.

STAŻE DLA MŁODYCH DOKTORÓW

W styczniu poznaliśmy laureatów kolejnej edycji konkursu na staże zagraniczne dla młodych doktorów, organizowanego w ramach programu „Nowoczesny Uniwersytet”.

Stypendia przyznano 11 osobom: Michałowi Bystrzejewskiemu (Wydział Chemii), Jelenie Samoninie-Kosickiej (Wydział Chemii), Łukaszowi Drewniakowi (Wydział Biologii), Kamilowi Zajączkowskiemu (CE), Maciejowi Ptaszyńskiemu (Wydział Historyczny), Izabeli Gołębiowskiej (WGiSR), Izabeli Karszni (WGiSR), Rafałowi Style (Wydział Psychologii), Mikołajowi

Pawlakowi (WSNSiR), Robertowi Tedeschi (Wydział Neofilologii), Jackowi Raszewskiemu (IBI „Artes Liberales”).

Do połowy stycznia trwał nabór w innym konkursie NUW – na stypendia dla profesorów wizytujących. Planowane jest przyznanie 17 stypendiów: w tym 7 – dla naukowców z kraju i 10 – dla profesorów z zagranicy. Nazwiska laureatów podane są na stronie internetowej projektu, opublikowane zostaną także w następnym numerze naszego pisma.

W ramach programu doskonalenia nauczycieli akademickich organizowane są cykle szkoleń dla pracowników UW z zakresu pozyskiwania środków na badania naukowe i tworzenia nowych programów oraz z dydaktyki szkoły wyższej. Rekrutacja prowadzona jest w sposób ciągły. Formularz zgłoszeniowy oraz terminy najbliższych warsztatów dostępne są na stronie www.nuw.uw.edu.pl.

Program „Nowoczesny Uniwersytet – kompleksowy program wsparcia dla doktorantów i kadry dydaktycznej UW” finansowany jest ze środków unijnego programu „Kapitał Ludzki”. Projekt, którego budżet wynosi 12 mln zł, zakończy się w 2014 r.

Julia Romanowska, doktorantka w Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Komputerowego i Matematycznego znalazła się w gronie 10 finalistów konkursu Scopus-Perspektywy Young Researcher Award. Do udziału w konkursie zgłosiło się ponad 300 kandydatów. Opiekunem naukowym Julii Romanowskiej jest prof. UW dr hab. Joanna Trylska. Młoda badaczka zajmuje się interdyscyplinarnymi badaniami z zakresu fizyki, biologii, chemii i medycyny, prowadząc symulacje komputerowe analizujące oddziaływania między wybranymi cząsteczkami. Obecnie zajmuje się własnościami RNA i enzymów; badania, w których bierze udział, mogą przyczynić się do opracowania skuteczniejszych antybiotyków.

188 studentów UW otrzymało stypendia ministra nauki i szkolnictwa wyższego za osiągnięcia naukowe. Studenci Uniwersytetu są najliczniejszą grupą wśród laureatów. W konkursie nagradzane są osoby, które mają wysoką średnią i pierwsze sukcesy naukowe – angażują się w działalność kół naukowych, biorą udział w projektach badawczych, publikują wyniki swych prac. 5 kolejnych studentów UW uzyskało stypendia MNiSW za osiągnięcia sportowe. Laureaci otrzymywać będą przez 10 miesięcy subsydia w wysokości 1300 zł.

II nagrodę w konkursie „Złoty Medal Chemii – 2011” na najlepszą pracę licencjacką bądź inżynierską otrzymał Robert Lasek, student Wydziału Biologii UW. Kapituła konkursu doceniła jego pracę „Analiza genomu plazmidu p62BP1 wyizolowanego ze szczepu *Psychrobacter sp. 62B*”, przygotowaną pod kierunkiem dr. hab. Dariusza Bartosika. Dwa wyróżnienia w konkursie przypadły studentom Wydziału Chemii UW: Karolinie Żukowskiej za pracę „Otrzymywanie nowego katalizatora o spowolnionej inicjacji w metatezie olefin zawierającego chelatujący ligand 2-metyloamino-benzylidenowy” oraz Krzysztofowi Sozańskiemu za pracę „Samoagregacja w cienkich filmach częściowo fluorowanych bolaamfili i jej zastosowanie do pokrywania powierzchni uporządkowanymi strukturami nanocząstek”. Konkurs organizowany jest przez Instytut Chemii Fizycznej PAN.

7 absolwentów UW uzyskało nagrody i wyróżnienia w IX edycji konkursu na najlepsze prace magisterskie na temat własności intelektualnej, organizowanego przez Urząd Patentowy RP. Nagrodę ufundowaną przez Naukową i Akademicką Sieć Komputerową otrzymał Grzegorz Sobczak z WPIA, autor pracy „Typosquatting jako forma abuzywniej rejestracji nazw domen internetowych”. Nagrodę Ministra Gospodarki otrzymała Joanna Scholz z WPIA za pracę „Ochrona patentowa produktów leczniczych a instytucje SPC i wyłączności danych w prawie UE”. I nagrodę ufundowaną przez MNiSW za pracę „Ochrona prawna formatów telewizyjnych” otrzymała Agnieszka Choromańska z WPIA. Ponadto w konkursie wyróżnieni zostali: Ewelina Jarosz i Sylwia Duszyńska z Kolegium MISH oraz Mateusz Knecht i Michał Sałajczyk z WPIA.

W ZDERZENIU Z RYNKIEM

Katarzyna Łukaszewska

Więcej niż jeden ukończony kierunek studiów nie musi ułatwić poszukiwania pracy; najważniejsze w zdobyciu zatrudnienia są umiejętności interpersonalne, najczęściej „w zawodzie” pracują absolwenci kierunków matematyczno-przyrodniczych – między innymi takie wnioski płyną z badania przeprowadzonego w połowie 2011 roku wśród absolwentów UW.

O wypełnienie ankiety poproszono absolwentów, którzy uzyskali dyplomy Uniwersytetu w 2009 oraz 2010 roku. Ankieta trafiła do 20 tys. osób, odpowiedziało na nią blisko 20% zaproszonych. Najchętniej w badaniu brali udział studenci Centrum Kształcenia Nauczycieli Języków Obcych i Edukacji Europejskiej oraz wydziałów Matematyki, Informatyki i Mechaniki oraz Nauk Ekonomicznych.

Zdecydowana większość ankietowanych na pytanie, czy jest zadowolona z ukończenia studiów na UW, odpowiedziała twierdząco. Słabiej, choć nadal pozytywnie, absolwenci ocenili trafność własnego wyboru kierunku studiów. W obydwu przypadkach najbardziej zadowoleni byli absolwenci kierunków matematyczno-przyrodniczych.

Wśród głównych zalet posiadania dyplomu Uniwersytetu, ankietowani wymieniali: prestiż uczelni, wysoki poziom kadry naukowej, ciekawą ofertę zajęć, możliwość samodzielnego kształtowania programu, a także środowisko pozwalające na nawiązanie przyjaźni i znajomości przydatnych zawodowo. Na pytanie o wady studiów na UW, odpowiadano wskazując najczęściej: małą liczbę zajęć praktycznych, nieprzystosowanie kształcenia do rynku pracy, a także zbyt dużą liczbę studentów, co z jednej strony skutkuje przepełnieniem grup zajęciowych, z drugiej zwiększa liczbę absolwentów danego kierunku na rynku, utrudniając tym samym konkurencję.

Spśród 4 tysięcy przebadanych absolwentów jedynie 7% można uznać za osoby bezrobotne. Pozostali po zakończeniu studiów kontynuują naukę (15%), podjęli pracę (52%), bądź kształcą się i pracują jednocześnie (26%). Najwięcej kontynuujących edukację jest wśród absolwentów kierunków matematyczno-przyrodniczych, najwięcej pracujących wśród byłych studentów nauk społeczno-politologicznych.

Ankiety pozwoliły też zbadać opinie absolwentów odnośnie do najskuteczniejszych sposobów poszukiwania pracy oraz najważniejszych ich zdaniem przyczyn niepowodzenia bądź sukcesu na rynku pracy. Byli studenci są przekonani, że najłatwiej zdobyć pracę poprzez znajomości, odpowiedzenie na ogłoszenie lub bezpośrednio u pracodawcy. Mało przydatna w tym zakresie jest pomoc agencji doradztwa personalnego, pracy tymczasowej i pośrednictwa pracy. Jednocześnie absolwenci uważają, że pracę najczęściej uzyskują osoby charakteryzujące się umiejętnościami interpersonalnymi, motywacją do pracy, mające znajomości oraz doświadczenie zawodowe. Najmniej istotne są ich zdaniem uzyskane certyfikaty zawodowe. Za najczęstszą przyczynę problemów ze znalezieniem zatrudnienia byli studenci wskazali brak znajomości, niemożność znalezienia pracy zgodnej z wykształceniem oraz brak doświadczenia zawodowego.

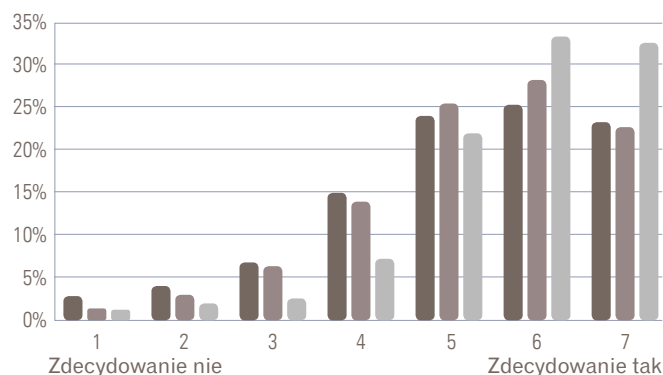
Podsumowanie wyników ankiety wykazało, że liczba ukończonych kierunków studiów, otrzymywanie stypendium w trakcie nauki czy uczestnictwo w programie Erasmus, nie mają dużego przełożenia na sytuację absolwenta na rynku pracy.

Badanie przeprowadzone w wakacje miało charakter pilotażowy. Jego celem było uzyskanie wstępnych wyników na temat sytuacji absolwentów UW, ale przede wszystkim sprawdzenie meto-

dologii badań ankietowych, które będą jednym z elementów projektu „Monitorowania losów absolwentów uczelni wyższych z wykorzystaniem danych administracyjnych ZUS”. Badania opracowane przez Pracownię Ewaluacji Jakości Kształcenia UW na zlecenie Instytutu Badań Edukacyjnych rozpoczęły się w 2011 i potrwać do marca 2014 roku. Składać się będą z kilku etapów: analizy informacji zaczerpniętych z baz IRK, USOS oraz ZUS, wywiadów indywidualnych oraz grupowych ze studentami, absolwentami, pracodawcami i pracownikami firm HR oraz właśnie badań ankietowych wśród absolwentów. Szerzej o kolejnych etapach projektu pisaliśmy w październiku 2011 r. („Absolwenci pod lupą”, „UW” nr 4/54). Na bieżąco będziemy informować o ich przebiegu.

W wyniku prac PEJK powstanie system informatyczny oraz schemat organizacyjny, tworzące razem narzędzie do badań losów absolwentów, które Instytut Badań Edukacyjnych będzie udostępniał innym szkołom wyższym w Polsce. Projekt monitorowania losów absolwentów PEJK został bardzo wysoko oceniony przez Zespół Doradców Strategicznych Premiera. W „Strategii rozwoju kapitału ludzkiego do roku 2020” zaznaczono, że dotychczasowe badania dotyczące zapotrzebowania rynku pracy na absolwentów poszczególnych kierunków studiów były fragmentaryczne i trudne do porównywania. Badania PEJK mogą uzupełnić tę lukę *pozwalając wypracować optymalną metodologię badania losów absolwentów*. Pozwoli to maturzystom bardziej świadomie podejmować decyzje o wyborze studiów, a uczelniom dostosowywać programy do potrzeb rynku. ■

CZY JEST PAN/I ZADOWOLONY/A Z ODBYCIA STUDIÓW NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM?



- Nauki humanistyczno-filologiczne (N=945)
- Nauki społeczno-politologiczne (N=2449)
- Nauki matematyczno-przyrodnicze (N=544)

HAITAŃCZYCY NA UW – ROK PÓŹNIEJ

Stypendyści z Haiti, fot. J. Grabek

Mija rok, odkąd dziesięcioro Haitańczyków przyjęto w poczet studentów naszej uczelni. Przyjechali do Polski, po tym jak ich ojczyznę nawiedziło trzęsienie ziemi, które zniszczyło niemal całą wyspę, pochłonęło wiele ofiar śmiertelnych, a tym, którzy ocalili, uniemożliwiło normalne życie. Z myślą o tych, którzy przetrwali tak trudne chwile, Uniwersytet Warszawski stworzył program edukacyjny, dzięki któremu mogą dokończyć studia rozpoczęte na Haitańskim Uniwersytecie Państwowym w Port-au-Prince. Na łamach naszego pisma postanowili podzielić się wrażeniami z rocznego pobytu w Polsce oraz opowiedzieć o swoich studiach na UW.

Czy przyzwyczailście się do życia w Polsce?

Getho Lamarre, student filologii angielskiej: Tak, już oswoilem się z warunkami, które tu panują. Zyskałem też nowych znajomych – nie było trudno, bo Polacy są podobni do Haitańczyków.

Moise Reginald, student filologii francuskiej: Jest to oczywiście mój pierwszy pobyt w Polsce, ale czuje się tu swobodnie. Ze strony Polaków spotkało mnie wiele życzliwości oraz niesamowita gościnność.

Nie wspominacie o klimacie. Pogoda Was nie zaskakuje?

Madone Joseph, studentka filologii francuskiej: Klimat jest tutaj... niepowtarzalny.

Tetzner Leny Bien Aimé, student filologii francuskiej: Na pewno nie są to haitańskie tropiki, ale nie byłem aż tak bardzo zaskoczony zimą, bo wcześniej widziałem śnieg w filmach.

Macie swoje ulubione potrawy z kuchni polskiej?

Roodley Nosthé, student filologii angielskiej: Nie jadłem zbyt wielu typowo polskich dań, ale bardzo smakuje mi żurek.

Tetzner Leny Bien Aimé: Mam jedno ulubione danie, są to pierogi.

Madone Joseph: Spaghetti bolognese.

Spaghetti nie jest potrawą z polskiej kuchni.

Ale podobnie jak Ty, myślisz wielu cudzoziemców, bo danie to jest w Polsce bardzo popularne. Czasem łatwiej kupić talerz spaghetti niż ręcznie lepione pierogi.

Na co dzień pewnie sami robicie zakupy, załatwiacie coś na pocztę, a czasem musicie iść do lekarza. Czy macie trudności w porozumiewaniu się z Polakami? A może znacie jakieś polskie słowa?

Moise Reginald: Raczej nie mam takich problemów, bo jak ludzie mnie nie rozumieją, to staram się porozumiewać gestami.

Tetzner Leny Bien Aimé: Znam kilka przydatnych zwrotów: 'jestem chory', 'jestem głodny', 'chce mi się pić'. Czasem jednak pojawiają się kłopoty z komunikacją, dlatego na zakupy zabieram słownik, w którym szukam potrzebnych słów.

Roodley Nosthé: Od kilku miesięcy uczę się polskiego i znam już sporo słów. Nie mówię płynnie, ale potrafię zbudować kilka zdań.

Jak studiuje się Wam na UW? Macie dobry kontakt z wykładowcami i kolegami ze studiów?

Tetzner Leny Bien Aimé: Cieszę się, że dostałem szansę i mogę studiować na UW. W Instytucie Romanistyki wykładają prawdziwi specjaliści. Jestem pod wrażeniem ich publikacji. Mam dobre relacje zarówno z nauczycielami, jak i studentami. Możemy korzystać z pomocy wykładowców, którzy w razie potrzeby służą nam radą, poprawiają nas i chwala.

Florence Gresseau, studentka filologii francuskiej: Jestem zadowolona, że studiuję na tak dużym i dobrym uniwersytecie. Jeśli chodzi o relacje z wykładowcami, to z jednymi są one bardzo dobre, możemy w ich towarzystwie żartować i czuć się swobodnie, a z drugimi tak nie jest. To zupełnie normalne i na ma się czemu dziwić – tak jest wszędzie.

Jak radzicie sobie podczas egzaminów? Są trudne?

Tetzner Leny Bien Aimé: A kto powiedział, że egzaminy powinny być łatwe? To co jest łatwe, nie zmusza do pracy. Przyjechałem tutaj po to, żeby trenować swój umysł.

Getho Lamarre: Egzaminy są trudne tylko wtedy, gdy nie jest się dobrze przygotowanym. Gdy ktoś poświęca czas na naukę, nie musi się bać.

Jak mieszka się w akademiku?

Getho Lamarre: Mnie się podoba. Poznałem tu wiele ciekawych osób. Jeśli ktoś lubi ludzi i chętnie się z nimi spotyka, to akademik jest dobrym miejscem do mieszkania. Choć trzeba być tolerancyjnym i czasem znosić uciążliwe hałasy.

Moise Reginald: Nie przepadam za mieszkaniem w akademiku, ale wiem, że mam tu cel do osiągnięcia i to dodaje mi sił.

Florence Gresseau: Mieszkanie w akademiku jest bardzo wygodne, szczególnie dla kogoś, kto nie ma wystarczających środków, żeby samodzielnie wynająć pokój. Mimo wszystko nie mogę powiedzieć, że jest to idealne miejsce do mieszkania.

Jak wyobrażacie sobie przyszłość?

Co chcecie robić po skończeniu studiów?

Roodley Nosthé: Przyjechałem tu w ramach programu, którego założeniem było wsparcie Haitańczyków. Zdaję sobie sprawę z tego, że prędzej czy później będę musiał wrócić do mojego kraju i pomóc w jego odbudowie. Jeśli pojawi się taka możliwość, to chciałbym uzyskać na UW tytuł magistra.

Tetzner Leny Bien Aimé: Chcę wrócić na Haiti, bo wiem, że będę tam potrzebny. Na UW zdobywam wiedzę i umiejętności, które później będę mógł wykorzystywać pracując na rzecz rozwoju Haiti. Nigdy nie zapomnę o Polsce, wspomnienia stąd zawsze będą w moim sercu.

Florence Gresseau: Jeśli będę mogła, to chciałabym zostać w Polsce nieco dłużej. Później jednak wrócę na Haiti, bo czekają tam na mnie. ■

O programie stypendialnym dla Haitańczyków pisaliśmy także w „UW” nr 2/52 z kwietnia 2011 r.

W LABIRYNCIE INFORMACYJNYM, CZYLI CZEGO I JAK UCZY BIBLIOTEKA

Nie wiesz? Zapytaj bibliotekarza! Szukasz informacji? Przyjdź do biblioteki! Pisziesz pracę i potrzebujesz wartościowych źródeł i wskazówek? Poradź się informatora dziedzinowego! Tak mogłyby brzmieć hasła kampanii reklamującej działalność biblioteki. Współczesna ksiąznica akademicka to centrum informacji zapewniające dostęp do wartościowych merytorycznych źródeł informacji. To też centrum o charakterze edukacyjnym – biblioteka kształci kompetencje informacyjne użytkowników. Niestety edukacyjny aspekt pracy bibliotek uczelnianych jest niedostrzegany, a przynajmniej nie jest w pełni doceniany, zarówno przez użytkowników, jak i kadrę naukową oraz zarządzającą uczelniami. Mimo że działania edukacyjne prowadzone przez biblioteki wspierają przecież znacząco program nauczania szkoły wyższej, biblioteki postrzegane są stereotypowo jako magazyny, czytelnie i wypożyczalnie. Dlaczego bibliotekarze i pełnione przez nich zadania informacyjne i edukacyjne nie są właściwie oceniane? Jedną z przyczyn może być fakt, że kształcenie kompetencji informacyjnych nie jest włączone lub jest włączone jedynie marginalnie w proces nauczania.

Szkolenie biblioteczne to dziś nie „spacerek” po bibliotece. Pod pojęciem „szkoleń bibliotecznych” powinno się rozumieć szeroką gamę działań edukacyjnych wielostopniowo kształcących umiejętności informacyjne (na poziomie szkolnictwa wyższego powinno obejmować trzy cykle – licencjat, magisterium, doktorat oraz uwzględnić doskonalenie umiejętności pracowników naukowych w tym zakresie). W skutecznym wdrażaniu edukacji informacyjnej konieczna jest korelacja tematyki szkoleń bibliotecznych z konkretnymi treściami przekazywanymi podczas studiów. Dlatego nieodzowne jest włączenie się pracowników naukowych do współpracy z bibliotekarzami (w wielu bibliotekach uczelni europejskich współpraca z kadrą naukową funkcjonuje w różnych obszarach – wykładowcy dostarczają wykazy lektur, prowadzą wspólnie z bibliotekarzami tematyczne szkolenia w warsztatu informacyjnego). Szkolenie biblioteczne powinno także znaleźć odzwierciedlenie w siatce punktów ECTS.

Krajowe Ramy Kwalifikacji zakładają projektowanie programów studiów w oparciu o efekty kształcenia. Efektem kształcenia umiejętności informacyjnych będą wartościowe pod względem merytorycznym prace naukowe, rozwój nauki oraz wysoki poziom fachowy absolwentów opuszczających mury uczelni. A przecież efekty kształcenia, u podstaw których leżą również umiejętności informacyjne, powinny być zasadniczą strategią uczelni. *Dla każdego obywatela umiejętności informacyjne są kluczowe dla osiągnięcia sukcesu w procesach: uczenia się przez całe życie, zatrudnienia i codziennej komunikacji międzyludz-*

kiej. (...) Są one pierwszym krokiem do spełnienia celów edukacyjnych. (...) Z kolei bibliotekarze, będący częścią uczącego się społeczeństwa oraz ekspertami w zakresie zarządzania informacją powinni ułatwiać rozwój kompetencji informacyjnych. Pomóc w tym powinny programy zintegrowane z programami nauczania, utworzone we współpracy z podmiotami odpowiedzialnymi za edukację na danym poziomie. (J. Lau, Kompetencje informacyjne w procesie uczenia się przez całe życie. Wtyczne. Warszawa: Komisja SBP ds. Edukacji Informacyjnej 2011).

Jak przebiega proces kształtowania umiejętności informacyjnych na Uniwersytecie Warszawskim? W BUW oraz w bibliotekach wydziałowych oferowane są różnorodne szkolenia – od ogólnego o charakterze wprowadzającym, prowadzonego dla studentów I roku w formie tradycyjnej (na miejscu w bibliotekach) oraz online, przez specjalistyczne z zasobów elektronicznych, po indywidualne wskazówki i porady. BUW nawet wychodzi ze swoją ofertą na zewnątrz, zapraszając do interaktywnego uczestnictwa w webinarach; opracowywane są różnego typu pomoce i materiały informacyjne; planowane są wprowadzenie szkoleń tematycznych, dziedzinowych, dostępnych online oraz rozpowszechnienie webinarów i filmów instruktażowych.

Jak jednak zorganizować atrakcyjne merytorycznie i wizualnie szkolenia, gdy biblioteka nie dysponuje odpowiednią infrastrukturą (sala komputerowa), bibliotekarze często mają niewystarczające umiejętności pedagogiczne w zakresie uczenia osób dorosłych oraz szwankuje współpraca z pracownikami naukowymi? Dlaczego szkolenia biblioteczne traktowane są przez studentów jako „zło konieczne”, które trzeba zaliczyć, bo wymagany jest wpis, a w siatce zajęć dydaktycznych upychane jest często w czasie dnia inauguracyjnego, kiedy świeżo upieczony student jest jeszcze zbyt słabo zorientowany, gdzie jest i do czego mu te wszystkie informacje mogą być przydatne?

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie rozpoczęła analizę kształcenia umiejętności informacyjnych w systemie bibliotecznym UW. To pierwszy krok w długotrwałym procesie. Mamy nadzieję, że starania bibliotekarzy, ich otwartość na zmiany, gotowość do poszerzania i uatrakcyjniania oferty szkoleniowej zostaną zauważone, a bibliotekarze otrzymają wsparcie do realizacji tych zadań. Trzeba pozbyć się mitów o nudnych szkoleniach. Atrakcyjna forma wizualna, możliwość interakcji, warsztatowe formy szkoleń z pewnością zachęcą do uczestniczenia w zajęciach. Zapomnijmy o „szkoleniach bibliotecznych”, mówmy raczej o „kształceniu warsztatu informacyjnego”. ■

LILIANNA NALEWAJSKA jest pracownikiem Oddziału Udostępniania i Informacji Naukowej BUW.

BUW, fot. M. Kaźmierczak



NA KŁOPOTY OMBUDSMAN

Katarzyna Łukaszewska

Na Uniwersytecie Warszawskim powołano nową instytucję: rzecznika akademickiego do spraw studenckich i pracowniczych, czyli ombudsmiana. Jego zadaniem jest pomaganie w rozwiązywaniu konfliktów, udzielanie informacji na temat obowiązujących przepisów i przysługujących praw, a także proponowanie rozwiązań zapobiegających powstawaniu problemów.

W Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemczech czy Holandii ombudsmeni funkcjonują na uczelniach od wielu lat. W Polsce instytucja ta dotychczas nie była znana. Uniwersytet Warszawski jest pierwszą uczelnią w kraju, która dostrzegła potrzebę istnienia rzecznika akademickiego.

Ombudsman to osoba niezależna i neutralna, do której każdy członek społeczności akademickiej – pracownik, zarówno naukowo-dydaktyczny, jak i administracyjny, doktorant, student, a nawet absolwent – może zwrócić się z prośbą o wsparcie w przypadku sporów czy problemów dotyczących funkcjonowania na uczelni, których osoby zainteresowane nie są w stanie samodzielnie rozwiązać. Pomoc rzecznika ma charakter poufny, zainteresowani mogą pozostać anonimowi.

Zakres problemów, którymi zajmują się ombudsmeni – jak pokazuje doświadczenie zachodnich uczelni – jest niezwykle szeroki. Trafiają do nich między innymi sprawy pracownicze dotyczące podziału kompetencji, wynagrodzeń, nadgodzin, spory pomiędzy pracownikami a przełożonymi, problemy związane z rozdziałem grantów. Rzecznicy pomagają także studentom w przypadku problemów proceduralnych dotyczących zaliczania przedmiotów, uzyskiwania stypendiów czy w konfliktach z wykładowcami.

Każdy, kto zwróci się do ombudsmiana, może liczyć na poważne potraktowanie sprawy i wysłuchanie skargi. Rzecznik po zdiagnozowaniu problemu pomoże znaleźć skuteczne rozwiązania: poinformuje o odpowiednich przepisach, sprawdzi, jak w przeszłości traktowano podobne przypadki, wskaże kompetentne jednostki, pomoże w przygotowaniu pism. Jeśli zainteresowany wyrazi takie życzenie, ombudsman skontaktuje się z odpowiednimi instytucjami.

W niektórych przypadkach ombudsman może zaproponować mediację. Wtedy działać będzie w porozumieniu z Centrum Rozwiązywania Sporów i Konfliktów, istniejącym na Uniwersytecie Warszawskim przy Wydziale Prawa i Administracji od 2006 roku. Współistnienie obu instytucji – rzecznika oraz ośrodka prowadzenia mediacji w sporach akademickich – to typowe rozwiązanie stosowane na wielu uczelniach; razem instytucje te tworzą tzw. system zarządzania konfliktem.

Ombudsman będzie ściśle współpracować nie tylko z centrum, ale też z powołaną w marcu 2010 roku Komisją rektorską ds. przeciwdziałania dyskryminacji. Do jej zadań należy dbanie o przestrzeganie na terenie uczelni równego traktowania kobiet i mężczyzn oraz przeciwdziałanie wszelkim innym formom dyskryminacji – w szczególności ze względu na wiek, rasę, wyznanie, religię, niepełnosprawność czy orientację seksualną.

Rozmowa z **Anną Cybulko**, pełniącą od początku listopada 2011 r. funkcję rzecznika ds. studenckich i pracowniczych UW

Czym różni się kompetencje ombudsmiana i istniejących już od jakiegoś czasu na UW Centrum Rozwiązywania Sporów i Konfliktów oraz Komisji ds. przeciwdziałania dyskryminacji.

A.C.: Centrum zajmuje się konfliktami pomiędzy członkami społeczności akademickiej wymagającymi mediacji. Komisja – jednym, konkretnym obszarem, czyli dyskryminacją. Ombudsman może pomagać w sprawach różnego typu, pełniąc jednocześnie rolę punktu spajającego system rozwiązywania konfliktów i radzenia sobie z trudnymi sytuacjami i z nieprawidłowościami, który jest potrzebny każdemu uniwersytetowi. Oznacza to, że do rzecznika można się zwrócić praktycznie z każdym problemem, którego nie jest się w stanie samodzielnie rozwiązać. Rolą rzecznika będzie pomoc w znalezieniu odpowiedniego wyjścia z sytuacji. Jedną z możliwości jest przekierowanie sprawy do mediacji w Centrum Rozwiązywania Sporów i Konfliktów lub do postępowania w Komisji ds. przeciwdziałania dyskryminacji.

Jeśli ktoś czuje się dyskryminowany na uczelni, powinien zwrócić się do komisji czy do ombudsmiana?

A.C.: Obydwie drogi są możliwe. Celem komisji będzie skupić się na zagadnieniu dyskryminacji. Moim zadaniem jest natomiast pomoc w skutecznym realizowaniu celów danej osoby. Jeśli trafi do mnie studentka przekonana, że jeden z wykładowców ocenia gorzej kobiety niż mężczyzn, wtedy wspólnie zastanowimy się, co jest dla niej istotne. Jeśli będzie jej zależało na załagodzeniu konfliktu z konkretnym profesorem, zaproponuję mediację. Jeśli chciałaby, aby sprawę rozwiązano na wyższym szczeblu – czyli podjęto kroki wobec profesora, zaproponuję jej moją pomoc lub kontakt z komisją. Jeśli zależeć jej będzie jedynie na zaliczeniu przedmiotu – sprawdzimy wspólnie, jakie są możliwości zmiany egzaminatora i terminu. Wybór drogi zależy od samej osoby zainteresowanej.

Jeśli wybierze ostatnie rozwiązanie, sprawa dyskryminacji nie zostanie rozwiązana.

A.C.: Nawet jeśli ktoś nie zdecyduje się na konkretne działania, to zadaniem ombudsmiana jest sygnalizowanie rektorowi problemów systemowych na uczelni. Oczywiście ze względu na obowiązującą mnie zasadę poufności przekazywane informacje mają charakter ogólny, bez odwoływania się do szczegółów z konkretnych spraw. Raz w roku będę też przygotowywać raport, który także pozwoli na wyciąganie odpowiednich wniosków. Mam prawo rekomendować pewne rozwiązania pani rektor, dotyczące funkcjonowania uczelni, tak aby w przyszłości zapobiegać powstawaniu problemów czy sporów. ■

OMBUDSMAN – rzecznik akademicki do spraw studenckich i pracowniczych | ANNA CYBULKO
ombudsman@uw.edu.pl | dyżury – poniedziałki i czwartki
godz. 11.00-14.00, ul. Dobra 68/70, pok. 5 | tel. – 22 55 27 214

PRACA NA FALI

Czy w studenckim radiu można nauczyć się, jak zrobić flasha, nagrać niebanalne paszczodźwięki, pozbyć się brudów i brumów oraz obsługiwać konsolę na tyle dobrze, żeby później dać sobie radę na rynku pracy? Tak, jeśli tylko ma się trochę czasu i ochoty.

SLANG RADIOWCÓW

Brud – kasznięcie, chrząknięcie, kichnięcie i wszelkie „yyy” oraz „aaa” pojawiające się w nagraniu
Brum – techniczne zakłócenie w materiale
Depeszożec – przygotowuje i czyta serwisy informacyjne
Flash – krótki serwis informacyjny
Paszcz – materiał radiowy, w którym słychać jedynie dziennikarza
Paszczodźwięk – wplecione w materiał wypowiedzi inne niż dziennikarza
Wcieleniówka – gdy dziennikarz sprawdza coś na własnej skórze

AKADEMICKIE RADIO KAMPUS

Rozgłośnia działająca na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW od 2005 r. Program emitowany jest przez całą dobę, na częstotliwości 97,1 FM, w internecie oraz pakiecie nRadio.

W Akademickim Radiu Kampus pracuje obecnie około 200 wolontariuszy, głównie studentów. Co roku przyjmowanych jest ponad 50 nowych ochotników. Dołączyć do radia można w każdej chwili. Co miesiąc do rozgłośni przychodzi od kilku do kilkunastu chętnych. – *Niektórzy już po miesiącu rezygnują, inni po jakimś czasie przechodzą do konkurencyjnych mediów, a jeszcze inni związują się z nami na lata* – mówi Anna Wasilewska z biura promocji AR Kampus.

W Kampusie pracowali m.in. Artur Ewertowski i Patryk Serwański (obecnie RMF FM), Filip Kekusz (Radio ZET), Aleksandra Kowalewska (Radio Wawa), Robert Stockinger (TVN 24) czy Monika Sułkowska (Trójka).

Z MIKROFONEM NA MIASTO

Dziennikarzami AR Kampus są głównie studenci kierunków humanistycznych. Filip Kekusz studiował dziennikarstwo i komunikację społeczną na UW, o tym, że będzie dziennikarzem, zdecydował już w podstawówce. Decyzji nie żałuje. Do Radia Kampus nie dostał się od razu. – *Nie przeszedłem przesiewu do redakcji muzycznej, co było trochę upokarzające, bo z 30 osób nie przeszło chyba 6* – śmieje się. Spróbował, więc drugi raz. – *Też mnie nie chcieli, ale się uparłem i w końcu tam zostałem* – opowiada.

Rozpoczął w redakcji publicystyki. Już pierwszego dnia, po krótkiej instrukcji obsługi sprzętu, dostał mikrofon i wyruszył na miasto. Pamięta z tego tyle, że był na jakiejś konferencji i rozmawiał z kimś w ogromnym stresie. Po kilku materiałach było już całkiem nieźle. Szczególnie pamięta jeden temat. – *Miałem zrobić reportaż na temat wirusa HIV u młodych. Trwała wtedy kampania społeczna „Ryzykowania”* – mówi Kekusz. – *Poszedłem na juwenalia, rozmawiałem ze studentami, sam się przebadalem, żeby zobaczyć jak to wygląda – to była taka „wcieleniówka”. I jakiś czas później zadzwoniła do mnie pani z Polskiego Radia, mówiąc, że przygotowuje podobny temat. Zaprosiła mnie do audycji jako osobę, która ponoć w środowiskach samopomocy w tych sprawach jest dość popularna* – opowiada.

FILIP KEKUSZ, Radio ZET

W Kampusie pracował około roku, przechodząc przez wszystkie redakcje. Wydawał też dwumiesięcznik o transporcie publicznym i współpracował z Radiem Kolor. Pracę w ZETce rozpoczął od przygotowywania i czytania serwisów nocnych.

Robert Stockinger do rozgłośni przyszedł zupełnie zielony. Studiował stosunki międzynarodowe na UW i nigdy wcześniej nie pracował w radiu. Kampusiem zainteresowała go koleżanka, która prowadziła już od pewnego czasu własną audycję. Od początku chciał pójść w jej ślady i bardzo szybko mu się to udało. Gdy tylko usłyszał, że jest szansa, żeby dostać się do stacji, zgłosił się na rozmowę. Na początku, jak każdy był reporterem. – *Mój pierwszy reportaż był o 11 listopada. Wplotłem w niego wywiad z historykiem, rozmawiałem o patriotyzmie z dziećmi i osobami starszymi, no i oczywiście było też kilka opinii studenckich* – opowiada. – *Ponieważ nie miałem problemów z dykcją, już następnego dnia mogłem wejść na antenę.*

SAMOSZKOLENIE

Dziennikarze mówią, że najwięcej uczyli się od bardziej doświadczonych kolegów. – *Można tam było nauczyć się specyfiki pisania newsów, prowadzenia pasm czy popularnej dj-ki. Bardzo się cieszę, że nauczyłem się realizacji na konsoli. Zazwyczaj, jak ktoś przychodzi do radia, żeby czytać newsy, to rzadko kiedy ma cokolwiek wspólnego z techniką* – mówi Filip Kekusz.

– *To, co głównie pamiętam z Kampusu, to newsroom, gdzie zawsze ktoś coś montował. Tam ludzie byli serdeczni i uśmiechnięci* – opowiada dziennikarz TVN 24. – *Nigdzie nie trafię też na taką atmosferę jak w Radiu Kampus, człowiek przychodził tam nic nie umiejąc, a po kilku miesiącach mógł już prowadzić własną audycję. To wielka swoboda i wielka odpowiedzialność* – mówi Robert Stockinger.

Czym różni się praca w akademickim radiu od tej w radiu komercyjnym? – *W Kampusie jest więcej swobody. W ZETce bardziej dynamicznie się czyta. Jak przychodziłem tu to wszystko było ok, tylko głosu nie miałem* – mówi Kekusz. Chodził więc przez rok na ćwiczenia z logopedą, np. czytał prognozę pogody z napięciem erotycznym. – *To brzmi może jak ćwiczenie dla nawiedzonych aktorów, ale przydaje się. Po roku tych ćwiczeń jest ogromna poprawa* – podsumowuje dziennikarz Radia ZET. ■

ROBERT STOCKINGER, TVN 24

Przez 1,5 roku w Kampusie. Zaczynał od reportażu, by już po niespełna dwóch miesiącach prowadzić własną audycję. W TVN 24 przygotowuje serwisy informacyjne.

MOZAIKA WSPOMNIENÍ

ZBIORY GABINETU DOKUMENTÓW
ŻYCIA SPOŁECZNEGO BUW



SOLIDARNOŚĆ

Ulotka z kolekcji druków opozycyjnych, zbiory Gabinetu Dokumentów Życia Społecznego

Gabinet Dokumentów Życia Społecznego BUW to jeden z najmłodszych, a zarazem najmniej znanych gabinetów zbiorów specjalnych Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Został powołany do życia 1 października 1985 r. w celu gromadzenia materiałów, wytworzonych po 1801 r., niebędących książką ani czasopiśmem i stanowiących, jak sama nazwa wskazuje, przejaw szeroko pojętego życia społecznego. W ich skład należy zaliczyć przede wszystkim druki ulotne, afisze, plakaty, fotografie, pocztówki, kalendarze beztekstowe oraz jednodniówki. Do zbiorów gabinetu coraz częściej zaczęły również trafiać nietypowe (jak na bibliotekę) nośniki informacji, takie jak kasety magnetofonowe lub magnetowidowe, a w ostatnich latach także płyty cd i dvd oraz gadżety reklamowe wielu instytucji i firm (np. tzw. „smycze” do kluczy). W przypadku kolekcji zdarzają się również czasopisma, a nawet druki o cechach wydawnictw zwartych. Najcenniejsza część zbiorów pochodzi z XIX w., okresu I wojny światowej, dwudziestolecia międzywojennego, II wojny światowej oraz czasów PRL.

Materiały będące w posiadaniu gabinetu zostały wytworzone przez różne instytucje i stowarzyszenia o charakterze kulturalnym, naukowym, samorządowym, rządowym lub pozarządowym, a także przez partie polityczne. Szczególnie starannie gromadzone są druki dotyczące Uniwersytetu Warszawskiego oraz BUW. Przechowywane zbiory pochodzą głównie z terytorium Warszawy oraz województwa mazowieckiego, rzadziej z innych regionów Polski (w tym także z historycznych kresów). Oczywiście trafiają się również materiały zagraniczne. Niektóre druki stanowią odzwierciedlenie

działalności politycznej oraz kulturalnej licznych mniejszości narodowych zamieszkujących terytorium państwa polskiego w okresie istnienia II Rzeczypospolitej.

Omawiane druki były przechowywane w bibliotece już od samego początku jej istnienia, nie wyodrębniano ich jednak z ogólnego księgozbioru, katalogując je według tych samych zasad, co czasopisma i książki. Fakt ten sprawia, iż wiele materiałów, które wpłynęły do zbiorów przed powstaniem gabinetu, trudno obecnie odnaleźć. Tymczasem stanowią one bezcenny materiał badawczy dla osób zajmujących się szeroko pojętymi naukami społecznymi, przede wszystkim dla historyków, politologów i socjologów, dostarczając interesujących informacji dotyczących działalności oraz myśli politycznej licznych ugrupowań politycznych (zarówno tych historycznych, jak i współczesnych). Zawierają także wiele cennych danych na temat funkcjonowania w przeszłości szeregu instytucji społecznych, kulturalnych czy gospodarczych – ich lokalizacji, godzin otwarcia, oferty handlowej lub kulturalnej, a nawet zatrudnionych pracowników. Informacje te, w obliczu zniszczeń wojennych, które dotknęły polskie archiwa i biblioteki w latach 1939-1945, stanowią czasami jedyny uchwytyny ślad istniejącego niegdyś sklepu, kawiarni czy kina. Materiały będące w posiadaniu Gabinetu Dokumentów Życia Społecznego mogą również dostarczyć ciekawych informacji na temat warunków życia codziennego dawnych mieszkańców Polski, ich sposobu ubierania się lub odżywiania. Potencjalnie stanowią więc one interesujący materiał badawczy dla studentów oraz pracowników naukowych polskich uczelni.

Za jedną z najciekawszych kolekcji, przechowywanych w zbiorach gabinetu należy z pewnością uznać materiały dotyczące plebiscytów na Spiszu i Orawie (które ostatecznie jednak nie odbyły się) oraz na Górnym Śląsku (doszło do niego w marcu 1921 r.). Zostały one przekazane do biblioteki jeszcze w okresie międzywojennym. Składają się na nie plakaty, afisze, druki ulotne oraz broszury, ukazujące akcję propagandową, prowadzoną przez władze polskie w celu przekonania miejscowej ludności do oddania swoich głosów na rzecz przyłączenia zamieszkałych przez nią terytoriów do państwa polskiego. Treść tych druków, stanowiących ważne dopełnienie „klasycznych” dokumentów archiwalnych, umożliwia poznanie języka ówczesnych enuncjacji politycznych, niestroniącego od demagogicznych oskarżeń, mającego jednak oddziaływać przede wszystkim na emocje czytelników. Na druki pochodzące ze Spisza i Orawy warto zwrócić uwagę także z innego powodu: wiele z nich zostało napisanych w barwnej gwarze góralskiej. Gabinet Dokumentów Życia Społecznego posiada również niezwykle cenne materiały dotyczące wyborów do Sejmu i Senatu w okresie istnienia niepodległego państwa polskiego w latach 1918-1939. Zarówno pod względem formy, jak i treści przypominają one kolekcję druków plebiscytowych.

zupełnie wyjątkowy charakter mają natomiast materiały opozycyjne z lat 1976-1989, będące w posiadaniu gabinetu. Tworzą one olbrzymią kolekcję (ok. 20 tys. sztuk), obejmującą nie tylko typowe

druki ulotne o bardzo różnorodnym charakterze, lecz także zdjęcia, broszury, uchwały, sprawozdania z posiedzeń, czasopisma, a nawet książki wydane w drugim obiegu. Zostały one wytworzone w dużej mierze przez struktury NSZZ „Solidarność”, zarówno w latach 1980-1981, jak również w okresie późniejszym, po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Pozostała część tych materiałów ilustruje natomiast aktywność licznych organizacji społecznych i politycznych, takich jak Komitet Obrony Robotników, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela czy Ruch „Młodej Polski”. Jest to więc cenny zbiór źródeł dla historyków zajmujących się dziejami opozycji demokratycznej w okresie PRL. Część z tych druków została zdeponowana w bibliotece już w latach 80. ubiegłego wieku, inne natomiast zostały przekazane do zbiorów dopiero po 1989 r.

Gabinet Dokumentów Życia Społecznego BUW posiada również wiele innych materiałów, często o unikalnym charakterze. Warto wymienić przede wszystkim pocztówki ilustrujące wygląd wielu obiektów uniwersyteckich, znaczki kwestarskie (od 1914 r.), nalepki okienne, afisze kinowe z okresu dwudziestolecia międzywojennego, papiery wartościowe z lat 20. i 30. (np. obligacje państwowe), katalogi wydawnicze i antykwaryczne oraz tzw. telegramy patriotyczne, stosunkowo mało znane, wydawane w XIX w. na terenie zaboru pruskiego w celu uczczenia ważnych rocznic historycznych oraz bohaterów narodowych. Gabinet posiada więc druki odnoszące się praktycznie do wszelkich dziedzin życia społecznego. ■

Dr PAWEŁ DUBER jest pracownikiem Gabinetu Dokumentów Życia Społecznego BUW. Część zbiorów Gabinetu Dokumentów Życia Społecznego dostępna jest w elektronicznej bibliotece UW: <http://ebuw.uw.edu.pl>.





W ZIELONEJ CHATCE NA PODLASIU





Portret Andrzeja Wajdy, fotoreportaż z Toru Wyścigów Konnych na Stuzewcu, reklama laptopa czy herbaty owocowej – przekrój tematyczny prac zaprezentowanych podczas wystawy fotograficznej studentów Instytutu Dziennikarstwa był niezwykle szeroki. Wystawę można było obejrzeć w pierwszej połowie stycznia w Galerii UW w Pałacu Kazimierzowskim. Zdjęcia wykonali studenci studiów magisterskich specjalności „fotografia prasowa, reklamowa i wydawnicza” w ID UW.

Na naszych łamach prezentujemy jeden z fotoreportażów, który można było obejrzeć na wystawie. Jego autorką jest Magdalena Łukasiak, a bohaterką żyjącą na Podlasiu znachorka Paraskiewa Artemiuk.

„Mieszkańcy Podlasia doskonale znają lokalne znachorki. Cztery kilometry od Bielska Podlaskiego mieszka Paraskiewa Artemiuk. Potocznie nazywana „szeptuchą”, jednak woli by nazywać ją po prostu „Pasza”. Swoją profesję nazywa „zamawianiem”. Pod domem Paszy można spotkać samochody z rejestracjami od Bałtyku po Tatry, ludzie przyjeżdżają z całej Polski w nadziei, że zostaną wyleczeni – modlitwą, rytualnymi obrządkami czy mieszaniną ziół i kredy. Ci, którzy przyjechać nie mogą, dzwonią, piszą listy, przysyłają zdjęcia. Chorzy proszą o rady i modlitwę w różnych intencjach – jedni o zdrowie i pomyślność, inni o odczynienie uroków rzuconych przez nieżyczliwe osoby. Potrzebujący widzą w niej zbawienie, jednak nie wszyscy są tak przychylni rytuałom odprawianym przez Paraskiewę. Niektórzy jej zieloną chatkę na końcu wsi omijają szerokim łukiem, bo według prawosławia ten, kto przychodzi do szeptuchy, popełnia ciężki grzech i w cerkwi nie ma czego szukać”.

Magdalena Łukasiak

MOŻE POSTULATY BYŁY PRZESADNE?

Marcin Kula

W 1948 r., gdy rodził się ruch zjednoczenia Europy, w Hadze spotkało się kilkuset wybitnych polityków oraz intelektualistów pod przewodnictwem Winstona Churchilla. Salvador de Madariaga mówił tam, że Europa musi się narodzić. „I narodzi się – kontynuował – kiedy Hiszpanie powiedzą <<nasze Chartres>>; Anglicy – <<nasz Kraków>>; Włosi – <<nasza Kopenhaga>>, a Niemcy – <<nasza Brugia>>”¹. W sześćdziesiąt lat później pozostaje skostatować, że nic takiego nie zaszło.

Zjednoczona Europa działa lepiej lub gorzej w sferze gospodarki, polityki oraz kontaktów między ludźmi – ale nie w sferze odniesień symbolicznych, wyobrażeń narodów oraz stosunku do historii. Prawda, że na skutek ułatwień w komunikacji i turystyce, wywołanych zresztą nie tylko przez rozwiązania polityczne, ale też na skutek ewolucji środków transportu, miasta takie jak Chartres, Kraków, Kopenhaga czy Brugia są pełne turystów – ale nie przestały przez to być francuskie, polskie, duńskie i belgijskie.

Myślenie w kategoriach narodowych chyba nigdzie nie zmniejszyło się. Jest nawet szansa, że w związku z obecnym kryzysem nasili się. Może solidarność w ramach Unii zwycięży o tyle, że efektywna pomoc zostanie udzielona krajom najbardziej potrzebującym. Niemniej jednak one same po prostu muszą patrzeć na to, co się w nich dzieje, jako na tragedie narodowe i myśleć w kategoriach perspektywy narodowej. Nie mogą też nie odczuwać formułowanych przez Unię żądań zaciskania pasa jako swego rodzaju nacisku. Człowiek jest „tylko” człowiekiem i najczęściej ma tendencję do powiedzenia sobie, że to ktoś zawinił, a nie on sam (wraz ze swoimi współobywa-

zy’ego było wszakże charakterystyczne. To posunięcie nie realnie nie przyniosło – było jedynie stosunkowo łatwym krokiem w kierunku oczekiwanym przez znaczną część opinii publicznej.

Prawda, że w zakresie problematyki postrzegania narodów, w czasie jaki upłynął od 1948 r., nastąpiło w Europie bardzo ważne zjawisko wzajemnego zbliżenia Francji i Niemiec. Sprawia wrażenie, że zadawniona tradycja wrogości ustąpiła w tym wypadku bliskim stosunkom obu krajów. Nie było to wszakże konieczne zasługą rozwiązań unijnych. Francja i Niemcy potrzebowały siebie nawzajem od zaraz po wojnie. Wtedy nastąpiło ich zbliżenie, które z czasem stało się fundamentalne dla zjednoczenia Europy. Znalezienie się w Unii rzeczywiście ułatwiło natomiast zakończenie konfliktu między Irlandczykami a Brytyjczykami. Konflikt ten, który przez dziesięciolecia jak rak toczył obydwie kraje, chyba faktycznie uległ zakończeniu (odpukać w niemalowane drewno!). Nie są natomiast zakończone konflikty wynikające z dążeń separatystycznych poszczególnych dzielnic historycznych w Hiszpanii. Rozwinęły się do wielkich rozmiarów tendencje separatystyczne Flamandów

i Wallonów. Te ostatnie są nawet symbolicznie paradoksalne dla zjednoczonej Europy – skoro siedziba władz Unii mieści się w Brukseli. Prawda jest chyba jednak taka, że to właśnie ulokowanie owych władz w stolicy Belgii jest jednym z już nie tak wielu czynników utrzymujących ów kraj w całości. Skądinąd Unia okazała się zupełnie

bezsilna w kwestii konfliktu w byłej Jugosławii.

Myślenie w kategoriach narodów ani trochę nie zmniejszyło się, ani nawet nie zmodyfikowało się w Europie Wschodniej. Myślenie nawzajem o sobie w kategoriach dyktowanych przez historię trwa tutaj bardzo często. Mieliśmy tego przykład w Polsce po rozruchach w Warszawie 11 listopada. Wypowiadając się 13 listopada w audycji „Kawa na ławę”, poseł Jarosław Sellin oburzył się, że – według niego – z motywacją przeciwstawienia się polskiemu antysemityzmowi przyjechali do Warszawy Niemcy, czyli potomkowie tych, którzy wymordowali ponad 3 mln polskich Żydów. Widzenie w dzisiejszych młodych Niemcach spadkobierców Hitlera wskazuje, iż mimo całej siły współpracy polsko-niemieckiej pamięć i negatywny stereotyp Niemca wciążznaczają wzajemne postrzeganie się. Złośliwie można jeszcze dodać na marginesie, że przypomina też myślenie komunistów chińskich, którzy kwalifikowali ludzi przez odniesienie do jeszcze dalszych pokoleń ich rodzin.

Prof. dr hab. MARCIN KULA jest pracownikiem Wydziału Historycznego UW.

telami, w tym także ze swoimi politykami i ekonomistami). Z kolei ludzie w krajach, które udzielają pomocy, nie mogą nie pomyśleć, że nawet jeśli jej udzielenie leży teraz we wspólnym interesie, to muszą płacić rachunek za niedawną dezynwolturę np. Greków w sprawach ekonomicznych. Kryzys, który przecież dotyka również kraje relatywnie najlepiej sobie radzące, także tam kieruje zresztą myśl ku horyzontowi narodowemu.

Podobnie dzieje się w sprawie bardzo istotnej dla dzisiejszej Europy – czyli w kwestii skupisk imigranckich. Jest to za każdym razem problem danych narodów, niezależnie od wszystkich rozwiązań międzynarodowych. Jego waga narasta; będzie zresztą rosnąć wraz z kryzysem. W wielu krajach obserwuje się silne tendencje antyimigranckie, co przekłada się na postawy polityków. Miejmy nadzieję, że tendencja obrony „narodowego” przed „obcym” nie przybierze formy przypominającej nieszczęście, jakie zaszło niedawno w Norwegii za sprawą Andersa Breivika. Wyrzucenie pewnej liczby Romów z Francji w politycznym interesie prezydenta Sarko-



Poszczególne kraje często akcentują nie tyle wspólnotę bohaterów, ile zasługi własnych postaci znanych z historii dla Europy. W wypadku Marii Skłodowskiej-Curie, która funkcjonowała w płaszczyźnie ponadnarodowej, w Polsce akcentuje się jej polskie pochodzenie

Nie pojawiły się wspólne dla Europy symbole historyczne, ani wspólni bohaterowie. Wprawdzie spór o „narodowość” Karola Wielkiego szczęśliwie nie jest już sporem gorącym, zaś rada miejska Paryża rozstrzygnęła sprawę politycznie poprawnie, gdy napisała na tabliczce pod nazwą jego ulicy, że był królem Franków i cesarzem Europy zarazem. Wprawdzie Kościół katolicki w Polsce bardzo akcentuje postać świętego Wojciecha, jako osoby ważnej dla kilku krajów (św. Stanisław jest postacią ważną raczej dla Polski). Niemniej jednak poszczególne kraje często akcentują nie tyle wspólnotę bohaterów, ile zasługi własnych postaci znanych z historii dla Europy. W wypadku Marii Skłodowskiej-Curie, która funkcjonowała w płaszczyźnie ponadnarodowej, w Polsce akcentuje się jej polskie pochodzenie. Na muralu poświęconym badaczce, wymalowanym blisko nowej Biblioteki Uniwersyteckiej, podkreślono, że swoje wystąpienia publiczne zaczynała od słów: „Urodziłam się w Warszawie”. Podkreśleniu związków z Warszawą służy też wymalowana retorta, w której odbija się Pałac Kultury (!). Nawiasem mówiąc, ten fragment obrazu może dowodzić pośmiertnego sukcesu Lwa Rudniewa, budowniczego Pałacu. Władze komunistyczne tak bardzo chciały przeciwważyć, a przynajmniej zrównoważyć Pałacem Kolumnę Zygmunta jako symbol Warszawy! Im to się nie udało – a gdy ich już nie ma, Pałac zrósł się widać z Warszawą jak Wieża Eiffla z Paryżem.

Większość odniesień do historii, sporów wokół historii oraz manipulacji nią odbywa się w ramach narodowych. Prawda, że czasem takie działania mają na celu polepszenie obrazu danego kraju

w Europie. Polska podkreśla, jak to parę razy uratowała kontynent. Niemcy ogromnie akcentują swoją, skądinąd prawdziwie godną szacunku (nawet jeśli nieliczną), opozycję antyhitlerowską. Podstawowym odniesieniem jest tu jednak wciąż własny kraj, a nie Europa.

Szanse na stworzenie wspólnej wizji historii Europy są niewielkie. Niektóre aspekty działań w tym kierunku i postaw sprzyjających są mocno dyskusyjne (europocentryzm, niechęć do pamięci o tym, że różne negatywne zjawiska były tworem europejskim, wybielanie dziejów Europy, niechęć do spojrzenia na Europę oczyma innych ludów i kontynentów).

Dzieje Europy można by oczywiście rozważyć i przedstawić wspólnie, siłami historyków z różnych krajów, jako historię problemową – jako taką, w której konflikty między państwami byłyby właśnie jednymi z dyskutowanych problemów. Wchodziłoby to wszakże w konflikt z tradycyjnym postrzeganiem historii jako korelatu bytu narodowego. Powstała oczywiście pewna liczba ośrodków badawczych i muzealnych, zajmujących się zagadnieniami szerszymi niż w skali jednego kraju. Ciekawe są badania nad wspólnymi, polskimi i niemieckimi miejscami pamięci, których wyniki są obecnie udostępniane czytelnikom. Sukcesy działań w kierunku stworzenia i publikacji ponadgranicznych podręczników historii nie są jednak porażające. W Polsce może powstanie (miejmy nadzieję!) Muzeum II Wojny Światowej, gdzie historia będzie ujęta szerzej niż w wąskich ramach narodowych – ale muzeum, które miało w ostatnich czasach największy sukces, to stricte narodowe Muzeum Powstania Warszawskiego. Pojawiają się oczywiście ►

ponadnarodowe badania historyczne – takie, w których rdzeniem jest problem. Przykładem opublikowane niedawno w Polsce książki Jana M. Piskorskiego i Timothy’ego Snydera². Takie dokonania są jednak wciąż niezbyt liczne.

Mało jest terenów, swego czasu lub nawet obecnie zaludnionych przez różne narody, gdzie występują nawiązania do przeszłości różnonarodowej. Prawda, że występują takie obszary. Np. na Ziemiach Zachodnich w Polsce pojawiają się już odniesienia do przeszłości niemieckiej. Uniwersytet Wrocławski nawiązuje do tradycji uczelni niemieckiej w tym mieście (podobnie zresztą jak do tradycji Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie). Parę lat temu Polska wysłała do Wilna obraz Matejki „Bitwa pod Grunwaldem” – by zaakcentować wspólnotę tradycji. Obecnie – by powołać jeszcze jeden, akurat aktualny przykład – planuje się wmurowanie we Lwowie, na domu, w którym urodził się Jacek Kuroń, tablicy mu poświęconej. W planowanym tekście znalazło się sformułowanie: „Wielkiemu Lwowiakowi, wiecznemu opozycjonście, któremu zawdzięczamy porozumienie polsko-ukraińskie”³. Mimo takich działań uczczenie w Gdańsku np. Güntera Grassa, Gdańszczanina, napotykało poważne opory. Na jakimś etapie przeciwnicy demonstracyjnie składali nawet kwiaty przed budynkiem Poczty Polskiej – czego symbolika była oczywista.

nie postawione na początku artykułu dotyczyło bilansu procesu jednoczenia się Europy w tym zakresie. Wahająca się odpowiedź nie jest równoznaczna z oceną obserwowanych tendencji. Według wszelkiego prawdopodobieństwa narody europejskie nie znikną. Nie znikną też narodowe odniesienia historyczne – gdyż przez wieki organizacja narodowa tworzyła podstawowe ramy biegu dziejów. Nie da się więc jej wyeliminować, jeśli nie chce się uczynić pustki dziejowej w obrazie przeszłości oraz nie chce się stworzyć orwellońskiego obrazu sztucznej przeszłości. Pytanie tylko, czy dziś mają to być jedyne ramy.

Nie wiemy, jak będą w przyszłości ewoluować odniesienia symboliczne i historyczne krajów Unii. Będą one wynikać z bilansu sprzecznych tendencji, niekoniecznie kształtowanych zgodnie z uświadomioną wolą. Jedną z nich będzie wspomniana tendencja trwania, a nawet umacniania się narodów. Paradoksalnie może ona towarzyszyć zbliżaniu i jednoczeniu się tychże narodów w płaszczyźnie materialnej. Ludzie mogą chcieć tym bardziej akcentować swoją wspólnotę oraz jej specyfikę, im mniej będą się różnić w materialnych aspektach życia. Mogą więc podniecać się sukcesami sportowymi narodowych drużyn – choć te składają najczęściej już bardziej przypominają wojska zaciężne niż własne drużyny. Mogą

Historycy zawodowi powinni wziąć pod uwagę,
że nawet zbiór odmienności oraz konfliktów też
jest pewnym zbiorem, który można badać
jako całość, porównawczo i problemowo.
W takim kierunku powinna iść historiografia,
jeśli pragnie być nauką

W ogóle silne są w tej chwili w Europie – i chyba rosną w siłę – ugrupowania prawicowo-populistyczne, akcentujące narodowe ramy myślenia, charakteryzujące się patriotyzmem zamkniętym, a na dodatek zawłaszczające go (czyli odmawiające innym miana patriotów). Ludzie z takich kręgów widzą nieustającą potrzebę broni narodu, akcentowania postawy patriotycznej, symboli. Po rozruchach w Warszawie 11 listopada 2011 r. poseł Jarosław Kaczyński mówił: „Niemcy, bardzo specyficznego typu Niemcy – sądzę, że podobny typ ludzi tworzył kiedyś aparat, który pozwolił Adolfowi Hitlerowi dokonać ogromnych zbrodni, mówię tutaj o typie psychologicznym – bili Polaków tylko dlatego, że nosili jakieś oznaki narodowe”⁴. Sam nie wiem oczywiście, jakiego typu byli Niemcy, którzy tego dnia przyjechali do Warszawy, ani jaka była natura starcia. Zaskakuje mnie jednak potrzeba nieustającej obrony polskości i postawa demonstrowania tego. Także podkreślanie, że niebezpieczeństwo (wciąż?) grozi ze strony Niemców.

Może być, że powyższe uwagi są uwarunkowane bezpośrednimi wrażeniami autora. Jest prawdopodobne, że odnoszą się one bardziej do nowych krajów Unii, zwłaszcza do Polski, niż do Francji i Niemiec. Ewolucja nie wszędzie następuje w jednakowym tempie. Francuzi akceptują udział oddziału Bundeswehry w swoim święcie narodowym, mimo że za okupacji batalion Wehrmachtu defilował na dosłowne życzenie Hitlera po tych samych Polach Elizejskich. W polskim święcie narodowym można sobie wyobrazić udział żołnierzy NATO jako takich – ale wciąż raczej nie udział oddziału Bundeswehry.

Z powyższych uwag nie powinno wynikać, że autor uważa trwanie narodowych odniesień historycznych za immanentne zło. Pyta-

jednak też akcentować swoją symbolikę i historię. Druga tendencja będzie zapewne taka, że zwiększony ruch ludzi poprzez granice, osiedlanie się migrantów w krajach innych niż macierzyste, małżeństwa mieszane i dzieci z nich zrodzone, wędrownika idei oraz symboli... mogą zmniejszać tendencję do widzenia historii i symboliki w ramach narodowych.

Może jednak da się akcentować jedno i drugie – bez przesady w jakąkolwiek stronę. Nie byłoby to głupie, gdy się zważy, że w dziejach krajów europejskich występowały zarówno elementy specyficzne, jak wspólne dla wszystkich. Historycy zawodowi zaś wzięć pod uwagę, że nawet zbiór odmienności oraz konfliktów też jest pewnym zbiorem, który można badać jako całość, porównawczo i problemowo. W moim przekonaniu w takim kierunku powinna iść historiografia, jeśli pragnie być nauką. Budowanie narodowej dumy, bronienie *ex post* narodów przed dawnymi atakami, odgrywanie roli sądu w odniesieniu do spraw przeszłych, faktograficzne widzenie dziejów bez dostrzegania w nich problemów, ograniczanie się do dziejów własnego narodu, gdy w dziejach innych występowały zagadnienia analogiczne, zmniejszanie historiografię z nauki w działalność usługową na użytek nie ludzi jako takich, nawet nie Europy jako takiej, ale własnej społeczności postrzeganej plemiennie. ■

¹ Norman Davies, Europa. Rozprawa historyka z historią, Znak, Kraków 2004, s. 1135. ² Jan M. Piskorski, Wygnañcy. Przesiedlenia i uchodźcy w dwudziestowiecznej Europie, PIW, Warszawa 2010; Timothy Snyder, Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem, Świat Książki, Warszawa 2011. ³ Projekt z listopada 2011 r.; nie jest powiedziane, czy definitywny. ⁴ Cyt. za: Stanisław Mancewicz, Lekcja historii, Tygodnik Powszechny 20 XI 2011.



ORZEŁEK I.

W maju roku 2010 pewna pani minister od narodowej edukacji, nie bacząc na nasze miejsce w zjednoczonej Europie, na niebieską flagę zwycięstwa i na kasę, okazała niezrozumiały upór i sprzeczne z narodowym interesem przywiązanie do ptaków. Wydając rozporządzenie o kształcie szkolnych świadectw, w mało postępowy sposób zdecydowała, że na świadectwach ciągle musi być drukowany zwykły, samotny orzełek. Wprawdzie orzeł teraz z koroną, ale w ogóle to świadectwa zwyczajne, jak moje wydane głęboko za komuny. A gdzie złote gwiazdy rodem z naszej rodzinnej Europy? Nie tego oczekujemy od osoby odpowiedzialnej za edukację polskich dzieci. Tej pani już podziękowaliśmy.

Nauka nie poszła w las. Pomna na ów gorszący incydent pani minister od szkolnictwa wyższego zdjęła we wrześniu orzełka z polskich dyplomów ukończenia studiów oraz indeksów, wydając stosowne rozporządzenie. (Zmieniła zdanie: jeszcze w grudniu 2008 aprobowała orzełki na dyplomach.) Zdejmowanie ptaków z takiej kupy papieru to wielkie dzieło, dyplomów mamy rocznie dziesiątki tysięcy, a indeksów pół miliona. Praca tytaniczna – potrzebny plan i rozważa, żeby uczelnie nie zginęły w powodzi białych piórek; będą je zbierać do sylwestra 2012. Czyż nasze miejsce w Europie nie jest tego warte? Teraz nasi fachowcy będą mieli papiery prawdziwie światowe: bez orzełka i w języku, jakiego żąda ich zagraniczny pracodawca. Bo coś mieliby robić w prowincjonalnym kraju, z polskimi papierami pod szarym, pieczętowanym orzełkiem? Już przed wyborami wiedzieliśmy, że nasza pani minister zasłużyła na nagrodę; teraz mamy satysfakcję, widząc jak z wdziękiem rozpoczyna drugą kadencję.

Pozazdrościł prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej naszej pani minister, też chciałby wygrać jakieś wybory. Zafundował polskiej reprezentacji nowe koszulki: miejsce orła zajęła poczwara: ni biały ptak, ni gwiazda złota. Spodziewał się pochwał, lecz drobiazg przeoczył: nad prezesem PZPN nie ma w Polsce żadnej władzy, aby go mogła docenić. Zanim doczekał gratulacji od kolegów z UEFA (też nie władza, ale byłoby miło), rzucili się na prezesa niepoprawni kibole. Żadnego zrozumienia, żadnej europejskiej perspektywy. Sejmowe lobby piłkarskie ruszyło do uchwalania ustawy chroniącej orzełka, lecz chwiejący się na stołku prezes nie chciał umierać za małego ptaszka. 11 koszulek szybko wymienił, próbując odzyskać równowagę.

Wieczorem przy kominku rozmyślałam nad nieprzeniknioną

zawiłością zamiarów władzy. Narodowy symbol to ozdoba miła polskiej duszy (nawet postępową pani minister okazała słabość, zezwalając jednak używać orzełka na legitymacjach studenckich), lecz głębszego sensu symbolu nie rozumiemy. Godło to pieczęć państwa, znak jego świadomej obecności, za którym idzie odpowiedzialność władzy państwowej. Władza (sam prezydent RP!), choć nie ma wpływu na działalność PZPN, życzy sobie orzełka na piłkarskich koszulkach, widząc w zawodach sportowych pożyteczne dla kraju działanie promocyjne. Inna władza (minister) cofa zgodę na godło w uniwersyteckich dyplomach, więc jako członek akademickiej wspólnoty, w której myślenie jest codziennym zajęciem (?), ćwiczę umysł w bezpłodnych spekulacjach.

Czy państwo polskie zachowuje zwierzchność nad uczelniami wyższymi? Bez wątplenia. MNiSW, CKK, PKA itp. to poważne państwowe urzędy, bez których uniwersytety i politechniki byłyby zagubione we mgle, bezradnie niezdolne do prowadzenia studiów, a tym bardziej do wydawania dyplomów. A może, skoro orzełek się już nie należy (to myśl szatańska), los tych nadzorczych instytucji został przesadzony w ciszy gabinetów i program państwowych oszczędności ma zwrócić wolność uczelniom?

Czy dyplomy polskich uniwersytetów są mniej warte dla państwa od świadectw szkolnych? To prawdopodobne. W szkołach uczymy się języka polskiego, rysunków (orła) i śpiewu (hymnu); bez tego nie byłibyśmy Polakami. A uczelnie nie dostarczają umiejętności praktycznych, o czym pracodawcy polscy dobrze wiedzą, dlatego niechętnie absolwentów zatrudniają; naiwne firmy zagraniczne jeszcze się nie zorientowały.

Czy posiadacze polskich dyplomów są mniej wartościowi w promocji polskości na świecie od polskich piłkarzy? To jasne. Z tych w kraju żaden promocyjny pożytek. Kiedy jeżdżą do pracy na zmywaku, przy truskawkach lub staruszkach, dyplomy zostawiają w domu. A absolwenci rozjeżdżający Europę za firmowe pieniądze? Nigdy nie widziano, by przemawiali pod polską flagą lub orłem, a na dodatek starają się mówić w języku *language* jak chlebobawcy lub gospodarze. Nie trzymają w ręku polskiego dyplomu – po co im orzełek?

Już późno, znużyła mnie akademicka dyskusja. Kiedy ostatnio zaglądaliście do szuflady, w której leży wasz dyplom potwierdzający wykształcenie wyższe? Czy zrobiliby wam różnicę, gdybyście zamiast orła zobaczyli tam wawelskiego smoka?

OD REDAKCJI

Rozporządzenie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z 1 września 2011 r. określiło niezbędne elementy dyplomu ukończenia studiów wyższych. Wśród dwunastu obowiązkowych punktów, znalazły się m.in.: godło, nazwa oraz pieczęć uczelni, a także informacja „wydany w Rzeczypospolitej Polskiej”. W wykazie nie pojawiło się godło państwowe, co nie oznacza, że uczelnie nie mogą stosować orła jako elementu swoich dyplomów. Ministerialne rozporządzenie spotkało się ze zróżnicowanym odbiorem w środowisku akademickim, jeden z głosów debaty zaprezentowaliśmy powyżej. Zwolennicy nowego prawa podkreślają, że uwidocznienie godła uczelni na dyplomach pomoże zróżnicować ich wartość na rynku pracy, bowiem o kompetencjach absolwenta świadczyć będzie renoma uczelni i opinia o jakości prowadzonego na niej kształcenia. Rozporządzenie nakłada na uczelnie obowiązek opracowania nowego wzoru dyplomu najpóźniej do 2014 roku.

Zachęcamy do dyskusji na ten temat. Najciekawsze głosy opublikujemy w kwietniowym wydaniu „UW”.

Następny felieton prof. Lajkonika „Wiem, że nic nie wiem” od 1 marca będzie dostępny na naszej stronie internetowej www.pismo-uczelni.uw.edu.pl. Kolejne teksty tego autora zamieszczać będziemy regularnie w wydaniach papierowych i w serwisie internetowym.

PRZEGLĄD PRASY

Sposób oceniania dorobku w (...) naukach [humanistycznych oraz społecznych] jest świadectwem osobliwego melanżu kompleksów i koniunkturalizmu panującego w gronie decydentów do spraw nauki – napisał w liście otwartym do minister Barbary Kudryckiej prof. Mariusz Czubaj, antropolog kultury i literaturoznawca, wykładowca SWPS. – Świadectwem takiej postawy jest fetyszyzacja tzw. listy filadelfijskiej, o której – w przypadku dyscyplin humanistycznych i społecznych – nawet w Filadelfii nie słyszeli. (...) Uznani badacze społeczni we Francji, pytani o listę filadelfijską, otwierają ze zdumienia oczy, a ochłonawszy pytają: „Czy wy naprawdę nie uciecie sami ocenić swojego dorobku?”. Widocznie nie umiemy i nie chcemy – kontynuuje profesor. W dalszej części listu podkreśla, że głównymi adresatami prac dotyczących rodzimej literatury czy przemian społecznych w Polsce powinni być Polacy, a co za tym idzie w publikacjach nie mogą dominować języki obce. Apel prof. Czubaja odbił się w środowisku szerokim echem.

OBRONA MIZERNEGO STATUS QUO

Dr Michał Bilewicz oraz prof. Maria Lewicka z Wydziału Psychologii, napisali:

Petycja profesora Czubaja jest obroną mizernego status quo polskich nauk społecznych. Nie jest bowiem prawdą, że w światowej humanistyce dyskutuje się dziś wyłącznie o dziełach amerykańskich i brytyjskich uczonych – a cała reszta świata zajmuje się regionalizmami i opisywaniem kultur narodowych.

Czy nie warto się zastanowić, dlaczego na całym świecie studenci socjologii czytają prace profesora uniwersytetu monachijskiego Ulricha Becka, historycy idei zgłębiają dzieła profesora uniwersytetu hebrajskiego Shlomo Avineriego, a semiotycy wczytują się w książki Umberta Eco z uniwersytetu w Bolonii? Dlaczego słoweński filozof Slavoj Žižek wpłynął w tak fundamentalny sposób na kształt dzisiejszych nauk o kulturze i społeczeństwie?

Czym byłyby współczesna humanistyka, gdyby książki i artykuły tych autorów nie ukazały się po angielsku?

Mądra i głupia obrona humanistyki
Gazeta Wyborcza, 8 grudnia 2011

SPRAWA GUSTU

Prof. Andrzej Werner, krytyk literacki, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN, odnosząc się do artykułu dr. Bilewicza oraz prof. Lewickiej napisał:

(...) Beck większość swoich książek napisał po niemiecku i zarówno te niemieckie, jak i napisane po angielsku znaleźć można w polskich przekładach, a tak jest przecież nie tylko w Polsce. Również prace Avineriego, Eco i Žižka czytane są zarówno w Polsce, jak innych krajach i po angielsku, i w licznych tłumaczeniach, przynajmniej w szerokim wyborze. Nawiasem mówiąc, potrafię sobie wyobrazić humanistykę bez Slavoj Żiżka, choć to już sprawa gustu i metodologicznych przekonań. Natomiast trudno mi będzie wymienić listę znanych i ważnych w powszechnym przekonaniu postaci różnych dziedzin humanistyki, choć oryginały ich dzieł pisane były w językach: francuskim, niemieckim, rosyjskim, włoskim, hiszpańskim, czeskim, węgierskim, bułgarskim i jeszcze wielu innych językach, a nie tylko po angielsku. (...)

Kto mądry jest, a kto głupi?
Wyborcza.pl, 22 grudnia 2011

WALKA ZE ZMIANĄ KLIMATU CZYLI „CZARNA PRZEGRYWA, CZERWONA WYGRYWA”

Dworzanie, którzy mieli nieść tren, schylili się do ziemi i czynili takie ruchy rękami, jakby ów tren podnosili; a potem udawali, że coś niosą w powietrzu; nie ośmielali się okazać, że nic nie widzą „Nowe szaty cesarza”, Hans Christian Andersen

CO TO JEST EFEKT CIEPLARNIANY?

Powietrze to proste, przeważnie dwuatomowe molekuly, głównie azotu (N₂) i tlenu (O₂), które razem stanowią 99% składu atmosfery na poziomie morza. Nie oddziałują one z promieniowaniem cieplnym Słońca. Nie mogą. Aby takie oddziaływanie było, molekula musi mieć swój jeden koniec inny niż drugi (w najgorszym przypadku choćby wskutek swoich drgań), tu tak z oczywistego powodu być nie może. Jeśli natomiast jakaś inna molekula ze światłem oddziałuje, polega to bardzo często na wychwyceniu cząstki światła (fotonu), zużyciu części jej energii na rotację i oscylacje molekuly (a to oznacza w efekcie wzrost temperatury otoczenia)

i wysłaniu w przestrzeń nowego fotonu o pomniejszonej energii. Światło Słońca odbite od powierzchni Ziemi (a więc opuszczające ją), jeśli natknęłoby się na taką molekule, przekazałoby część swojej energii na jej rotację i wewnętrzne oscylacje (ogrzanie atmosfery). Ponieważ kierunek emitowanego w tym procesie fotonu niekoniecznie wychodziłby w Kosmos, to także oznaczałoby dalszą możliwość ogrzania atmosfery. W efekcie, istnienie domieszek takich molekuly w atmosferze („gazy cieplarniane”) oznacza podgrzanie atmosfery powyżej tego, co byłoby, gdyby takich molekuly w ogóle w atmosferze nie było. Takie zjawisko jest nazywane „efektem cieplarnianym”¹.

KARTA 1, CZYLI WPŁYW NA 0,18 EFEKTU CIEPLARNIANEGO

Absorbowane przez Ziemię promieniowanie Słońca jest kluczowo ważne, bo pozwala na istnienie Życia. Także zwiększenie tej absorpcji przez efekt cieplarniany niekoniecznie musi być czymś szkodliwym, a w naszym położeniu geograficznym jest wręcz błogosławieństwem. Gdyby nie efekt cieplarniany, mrozy w Polsce na Boże Narodzenie sięgałyby -65°C , zaś maksymalna temperatura w środku lata wynosiłaby tylko około $+5^{\circ}\text{C}$.

Najważniejsze gazy cieplarniane to woda (H_2O) i dwutlenek węgla (CO_2). Ten ostatni jest cieplarnianym chuderlakiem, uzyskującym rozróżnienie swoich końców dopiero pod wpływem drgań. Oczywiście, najwięcej w atmosferze ziemskiej jest pary wodnej, bo parują oceany i jeziora, mamy chmury, rośliny oddają wodę, zachodzi sublimacja śniegu i lodu itd. Ocenia się, że para wodna jest odpowiedzialna za 36-72% efektu cieplarnianego Ziemi, zaś dwutlenek węgla za 9-26% tego efektu (prosimy zwrócić uwagę, jak zgrubne są te oceny uczonych!). W jeszcze grubszej ocenie (wyciągnijmy średnią) można powiedzieć, że para wodna jest odpowiedzialna za 54% efektu cieplarnianego, a dwutlenek węgla za 18% tego efektu, reszta to metan i inne gazy. Organizacje polityczne, wykorzystujące ekologię jako broń ofensywną, nie zajmują się głównym wrogiem – sprawcą efektu cieplarnianego, bo wyglądałoby absurdalnie, gdyby walczyły z zanieczyszczeniem powietrza przez... czystą wodę². Zostaje im dwutlenek węgla (i inne wieloatomowe gazy, na razie traktowane dość pobłażliwie).

DWIE KARTY, CZYLI WPŁYW NA $0,18 \times 1/30 = 0,006$ EFEKTU CIEPLARNIANEGO

Naturalna emisja dwutlenku węgla (łądy/wulkany, oceany, biosfera) jest oceniana na nieco ponad 30 razy większą niż emisja powodowana działalnością człowieka. Oczywiście, jest i sprzężona z emisją oraz zależna od niej absorpcja CO_2 przez łądy, oceany i roślinność³, nierozróżniająca oczywiście antropogenicznego i nieantropogenicznego CO_2 , bo jest to identyczny⁴ CO_2 . W efekcie ustala się niemal stan stacjonarny dynamiki emisji i dynamiki absorpcji. Uwzględniając więc gospodarkę człowieka, otrzymujemy zgrubną ocenę, że emisja CO_2 spowodowana przez człowieka jest odpowiedzialna obecnie za około $0,006 = 0,6\%$ efektu cieplarnianego⁵.

Warto wspomnieć również o tym, że z całego antropogenicznego CO_2 około 93% to efekt działalności gospodarczej człowieka, zaś reszta powstaje w wyniku naszego... oddychania. Strach pomyśleć, jak mogłaby wyglądać koncepcja ograniczenia tej ostatniej wartości (co z pewnością wpłynęłoby również i to drastycznie, na znaczne zmniejszenie i tej pierwszej wartości). Propozycje – i to stosunkowo świeżej daty – takich rozwiązań łączących miłość do naszej Planety z nienawiścią do rodzaju ludzkiego jako takiego można bez większego trudu znaleźć w internecie...

TRZY KARTY, CZYLI WPŁYW NA $0,18 \times 1/30 \times 5/100 = 0,0003$ EFEKTU CIEPLARNIANEGO

Unia Europejska, jest odpowiedzialna tylko za około 15% światowej emisji antropogenicznej, a mówimy o tym, bo Unia jest inicjatorką i główną aktorką walki o redukcję emisji CO_2 . Komisja Europejska postuluje, aby kraje Unii Europejskiej przeprowadziły do 2020 roku redukcję emisji CO_2 o 30% w stosunku do obecnej. Jeśli te ambitne plany, wymagające setek miliardów dolarów rocznie⁶ puszczonych w powietrze, powiodły by się, oznaczałoby to wpływ rządu tylko... 5% na emisję antropogeniczną Ziemi, stąd ostatni czynnik.

Oczywiście, można podjąć walkę z efektem, na który praktycznie nie ma się wpływu (0,0003 całości) nawet przy największych nakładach, ale takie działanie nie dość, że jest irracjonalne, to w dodatku oznacza samobójstwo gospodarcze o wymiarze globalnym.

GRA W TRZY KARTY, CZYLI MIĘDZYNARODOWY HANDEL ODPUSTAMI CO_2

Co można zrobić z pomysłami, które mają szansę wpłynięcia na 0,0003 celu działania? Należy takie pomysły wyrzucić do kosza⁷. Tymczasem do kosza ich nie wyrzucono, wprost przeciwnie – coś co oznacza 0,0003 efektu cieplarnianego kreuje się na najważniejszą wiadomość na naszej planecie⁸! Dlaczego??? Przecież to nielogiczne. Jest nielogiczne, jeśli myśli się o rzeczywistym wpływie na klimat planety, ale jest bardzo logiczne, jeśli zaproponuje się pewną grę.

W tej grze siadamy do stolika karcianego, a przewodniczący gry mówi: *Ta sprawa jest priorytetem nr 1 naszych działań. Panowie A, B i C są za grubi, jak stwierdził pewien rzeczoznawca wynajęty przeze mnie do oceny katastrofального stanu stropu. Mamy wszyscy zredukować swoją nadwagę, co oznacza, że A ma schudnąć w ciągu każdego z kolejnych 3 lat o 15 kg, B i C zaś w każdym roku odpowiednio o 5 kg, ja zaś, jako najszczuplejszy z Panów, tylko o 1 kg rocznie. Ten, kto wyprzedzi harmonogram odchudzania dostaje ode mnie oficjalny odpust na ozdobnym papierze o wartości 1 mld talarów za każdy 1 kg zmniejszenia wagi ponad plan, ten zaś, kto nie dotrzyma harmonogramu wpłaci do naszej kasy (oto nr konta: 555...) 1 mld talarów za każdy 1 kg nadwagi. Oczywiście, odpustami można handlować i taki rynek handlu odpustami niezwłocznie zorganizujemy. Część zysków z handlu odpustami przeznaczymy na badania naukowe, które wykażą skalę wielkich zagrożeń klimatycznych.*

W pierwszym roku pan A (który jeszcze przed ekspertyzą rzeczoznawcy wprowadził ochoczo modernizację diety) odchudził się o 17 kg i zainkasował 2 odpusty o wartości 2 mld talarów. Sprzedał otrzymane papiery dość tanio (1 mld) panu B, który schudł tylko o 3 kg (a miał schudnąć o 5) i potrzebował na gwałt odpustu pełnego. Mimo to pan B był szczęśliwy, bo nie zapłacił 2 mld talarów, tylko 1 mld za nadwagę. Zwłaszcza pan A był ogromnie zadowolony i zachwycony grą („czerwona wygrawa!”). Później jednak sytuacja pana A była coraz gorsza, bo odchudzanie najszybciej idzie na początku diety, a później idzie gorzej. W rezultacie pan A stanął przed dylematem: albo zacisnąć pasa w drastyczny sposób i – tu przerywamy nasze porównanie i wracamy do realnej gry – mimo wszystko zredukować emisję CO_2 (co oznacza zimne kaloryfery), albo płacić do wspólnej kasy miliardy kar co roku (z czego?), albo kupować odpusty u innych panów (za co?). Jesteśmy w sytuacji pana A (bo jesteśmy bogaci w węgiel i teoretycznie to my mamy w ręku asa), a przyczyną jest przystąpienie do gry o przepięknej motywacji, zerowej racjonalności, ale za to wielkiej skuteczności ściągania długów za odpusty („czarna przegrywa”). ■

¹ Przez analogię do szklarni, ale te dwie sytuacje znacznie się między sobą różnią. ² IV Raport Międzyrządowego Zespołu ds. Zmiany Klimatu (IPCC, 2007: Grupa robocza I, rozdział 2) wymienia wprawdzie wśród gazów cieplarnianych parę wodną, ale dopiero na... szóstym miejscu (!), po dwutlenku węgla, metanie, tlenku azotu, węglowodorach i ozonie; ostatnie, siódme miejsce zajmują aerozole. ³ Np. roślinność istnieje dzięki absorpcji CO_2 , który wobec tego może być słusznie nazwany „gazem życia”. ⁴ Największy horror intelektualny to usłyszeć w mediach o „dobrym” i „nie-dobrym” CO_2 albo o „trującym” CO_2 . ⁵ Niewłaściwe, zwłaszcza niekompletnie spalanie (smog) może być przyczyną lokalnych zmian klimatycznych (miasta w kotlinach, granice stref klimatycznych, itp.), także dyskomfortu życia. Jest rzeczą oczywistą, iż ograniczenie spalania w takich miejscach może znacznie poprawić w nich, tzn. zawsze lokalnie, komfort życia. W takich sytuacjach emisję spalin należy redukować. Nasz artykuł dotyczy jednak globalnych zmian klimatu pod wpływem globalnego, a nie lokalnego, zwiększenia stężenia CO_2 . ⁶ Według Rezolucji Parlamentu Europejskiego nr B7-0571/2011, pozycja N, mają to być gigantyczne sumy: od 170 do 275 mld dolarów rocznie. ⁷ Generalnie, małe zmiany mogą w szczególnych warunkach powodować wielkie zmiany („efekt motyla”). Rodzaju takich zmian, jeśli by się zdarzyły, nie da się jednak przewidzieć z zasadniczych (matematycznych) powodów. ⁸ Rezolucja Parlamentu Europejskiego nr B7-0571/2011, kluczowe cele punkt 2: *wzywa szefów państw i rządów na całym świecie (...) do nadania tej kwestii najwyższego priorytetu.*

WŁOSKI WIZJONER

ZWIĄZKI HENRYKA MARCONIEGO
Z UNIWERSYTETEM



7 stycznia minęła dwieście dwudziesta rocznica urodzin jednego z najwybitniejszych warszawskich architektów – Henryka Marconiego. Warto przypomnieć postać włoskiego artysty, który w dużym stopniu wpłynął na kształt Warszawy w XIX w.

Artykuł o Henryku Marconim rozpoczyna na łamach naszego pisma **cykl poświęcony architektom i artystom, związanym z historią gmachów i pomników, które znajdują się na Trakcie Królewskim**, na terenie zabytkowego kampusu UW bądź w jego okolicach.

W następnym numerze dr hab. Andrzej Pieńkos, dyrektor Instytutu Historii Sztuki UW przybliży postać Cypriana Godebskiego, najśłynniejszego polskiego rzeźbiarza II poł. XIX w., autora pomnika Adama Mickiewicza, stojącego przy Krakowskim Przedmieściu.

Henryk Marconi przyszedł na świat w Rzymie w 1792 r. Po ojcu-artyście od wczesnego dzieciństwa przejawiał wybitne zdolności plastyczne. Wykształcenie zdobywał w latach 1806-10 na uniwersytecie w Bolonii oraz na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Na ziemię polską przybył w 1822 r. na zaproszenie hr. Ludwika z rodu Paców. Ta wpływowa polska rodzina arystokratyczna poszukiwała pilnie zdolnego architekta do przebudowy swojej rezydencji w Dowspudzie. Marconi wywiązał się z tego zadania znakomicie. Wzniósł monumentalną budowlę w stylu neogotyckim. Współpraca z Pacami układała się tak pomyślnie, że rok później Henryk przybył do Warszawy – miasta, które stanie się jego domem do końca życia. W stolicy Królestwa Polskiego Marconi od razu przystąpił do pracy. Pierwszym jego zadaniem było przebudowanie kolejnego pałacu Paców (przy ul. Miodowej). Tym razem włoski artysta posłużył się surową, klasycystyczną stylistyką. Szczególnie wrażenie na mieszkańcach Warszawy robiła monumentalna, trójrzelotowa brama rezydencji, odwołująca się formą do łuku triumfalnego. Kolejne jego warszawskie projekty – kościoły św. Boromeusza i Wszystkich Świętych, gmachy użyteczności publicznej: dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej, budynek Towarzystwa Kredytowo-Ziemskiego oraz prywatne pałace Branickich i Kossakowskich – potwierdziły tylko przeogromny talent włoskiego artysty.

Marconi należał do wielu szacownych europejskich instytucji, m.in. Akademii św. Łukasza w Rzymie, Akademii Sztuk Pięknych we Florencji oraz Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Przez wiele lat swojego życia budowniczy związany był także blisko z Uniwersytetem Warszawskim. Na uczelni (w Szkole Inżynierii Drog i Mostów) w 1824 r. podjął się wykładów rysunku perspektywicznego. Natomiast w latach 1851-1857 pełnił funkcję profesora architektury w Szkole Sztuk Pięknych, która powstała w 1844 r. w miejsce zamkniętego po powstaniu listopadowym uniwersytec-

kiego Oddziału Sztuk Pięknych. Z dedykowanego artyście wspomnienia pośmiertnego („Tygodnik Ilustrowany”, 1863 r.) dowiadujemy się, że w krótkim też czasie postawił swój wydział na stopie odpowiedzialnej przeznaczeniu szkoły, wprowadził bowiem systematyczny kierunek nauczania, rozpoczynając kształcenie uczniów od ścisłych zasad stylu klasycznego, na podstawie którego następnie starał się rozbudzić fantazję do samodzielnych pomysłów.

Rozmiłowany w klasycyzmie oraz w neorenesansowej sztuce włoski architekt stosował także inne style: neoromański, neogotycki, a na życzenie zleceniodawców – wyjątkowo – orientalny. Wszystkie swoje poglądy architektoniczne zebrał Marconi w traktacie „O projektach architektonicznych” (1828 r.). W przedmowie wznowionego w 1937 r. dzieła pisał: *Zamiarem jest tylko moim udzielić młodzieży przykładającej się do sztuki budownictwa, metody jasnej i dokładnej, co do rysowania i nauczania się porządków w takiej rozciągłości odmian i stosunków, jaka zdawała się być potrzebna, aby przygotować uczniów do łatwego i korzystnego rozważania i zaradzenia sobie w zastosowaniu porządków z sławniejszych dotąd istniejących pomników, lub z dzieł otychże porządków traktujących. Ażeby następnie, zamożni w gruntowną znajomość sztuki w dobrym ukształceniu smaku, mogli z umiarkowaną wolnością rozwijać swą zdolność i wydać utwory, któreby ich czyniły godnymi imienia budowniczych.* Drugą niezwykle istotną publikacją Marconiego jest „Zbiór projektów architektonicznych z lat 1838-1843”, zawierający jednakże tylko niewielką część jego dorobku artystycznego.

W latach trzydziestych Marconi przygotował serię rysunków z planami rozbudowy obecnych terenów uniwersyteckich przy Krakowskim Przedmieściu. Do istniejących już na tym obszarze gmachów przewidywał dodanie m.in. budynku mieszkalnego dla uczniów w miejscu późniejszej Szkoły Głównej, audytorium anatomicznego przy bramie na ul. Obożnej oraz nieokreślonej budowli

w miejscu obecnego Auditorium Maximum. Rozwazał także zagospodarowanie terenów u stóp skarpy warszawskiej (projekt Szkoły Weterynarii ze stajniami i kuźnią na rogu ulic Browarnej i Gęsiej). Większość planowanych przez Marconiego budynków miała przyjąć faworyzowaną przez architekta, klasycystyczną stylistykę z elementami neorenesansowymi. Niestety ze względu na popowstaniowe rosyjskie represje, nie było szans na realizację tej śmiałej koncepcji.

Udało się natomiast Marconiemu doprowadzić na teren przed Pałacem Kazimierzowskim odnogę zaprojektowanego przez siebie wodociągu miejskiego (1851-55). Dzięki temu w latach sześćdziesiątych XIX w. ustawiono przed tą dawną królewską budowlą mały wodotrysk. Fontanna ta nie reprezentowała jednak żadnej oprawy plastycznej; składała się jedynie ze zwykłego basenu z wodą. Stacja pomp i kanalizacji wodociągów Marconiego znajdowała się też niedaleko, u zbiegu ulic Karowej i Dobrej, tuż obok obszaru, na którym stoi obecnie nowoczesny gmach Biblioteki Uniwersyteckiej. Ważnym elementem wodociągów Marconiego był także położony na wzgórku w Parku Saskim zbiornik na wodę, będący kopią świątyni Sybilli w Tivoli pod Rzymem. Antyczny pierwowzór znany był w Warszawie dzięki znajdującemu się w zbiorach Szkoły Sztuk Pięknych (od 1869 r. w uniwersyteckim gabinecie starożytności), wykonanemu z drewna korkowego modelowi tej świątyni.

Henryk Marconi kierował także pracami budowlanymi w sąsiedztwie obszaru uniwersyteckiego. W 1841 r. podjął się rozbudowy i restauracji Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich przy Krakowskim Przedmieściu. Przy zleceniu pomagali mu znani rzeźbiarze, m.in. brat Ferrante, Ludwik Kaufmann oraz Konstanty Hegel. Renowacja Marconiego nadała wnętrzem oraz dziedzińcowi magnackiej rezydencji formę neorenesansową. Na ścianach pałacu pojawiły się malowidła groteskowe, rozety, fryzy. Szczególnie pięknie w nowej aranżacji prezentowały się sale: Jadalna, Biała i Bilardowa oraz Galeria Obrazów. Odbudowany po wojnie w latach 1948-56 pod kierunkiem Jana Dąbrowskiego budynek wszedł w skład kampusu Uni-

wersytetu. Jedną z najpiękniejszych budowli Traktu Królewskiego czeka w najbliższych latach remont.

Kolejnym budynkiem Marconiego, który po II wojnie światowej stał się gmachem uczelnianym, jest Dom Interesów hr. Andrzeja Zamoyskiego przy Nowym Świecie. Ten monumentalny, neorenesansowy gmach wzniesiono w latach pięćdziesiątych XIX w. dla twórcy polskiej żeglugi parowej na Wiśle i Bugu. Budynek charakteryzuje się niezwykle oryginalnym rozwiązaniem głównego wejścia o kształcie trójprielotowego łuku triumfalnego. Marconi w projekcie tym inspirował się zapewne zapamiętanymi z lat młodzieńczych pałacami Florencji i Rzymu, a także kolejnym warszawskim modelem korkowym przedstawiającym łuk triumfalny Konstantyna Wielkiego. Niezwykle interesujące było również rozwiązanie *all'antica* frontonu budynku z mitologiczną grupą rzeźbiarską, na którą składały się postacie Jazona, Hermesa, Ceres, Tryptolemosa oraz alegorie polskich rzek. Trudno jest dziś jednoznacznie stwierdzić, kto był pomysłodawcą programu ideologicznego tympanonu: Marconi – jako główny architekt budynku – czy może autor rzeźb – Paweł Maliński.

Z Uniwersytetem powiązane były również dwie inne, neorenesansowe realizacje Marconiego przy Krakowskim Przedmieściu, tj. dom kupca Grodzickiego (1851-52) oraz Hotel Europejski (1854-56). W pierwszym z nich, wzniesionym *vis à vis* Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich Marconi zastosował lane żelazo, co na ówczesne czasy było nowatorskim pomysłem. Trzypiętrowy budynek uzyskał harmonijną oprawę plastyczną, na którą składały się kolumny i pilastry korynckie, frontoniki nad oknami, medaliony reliefowe oraz *all'antica* rzeźby na wieńczącej dom galerii. W budynku, w którym dziś znajduje się księgarnia naukowa im. Bolesława Prusa, przed wojną mieściła się słynna cukiernia Toura, określana często przez studentów i profesorów mianem kolejnego audytorium.

W Hotelu Europejskim znajdowały się w XIX w. dwie ważne instytucje kulturalne – Towarzystwo Przyjaciół Zachęty oraz Salon ▶

Dom Interesów hr. A. Zamoyskiego, fot. M. Kaźmierczak



ADAM TYSZKIEWICZ jest pracownikiem Muzeum UW.

Krywulta. Natomiast w okresie międzywojennym w usytuowanej na parterze budynku kawiarni Loursa odbywały się codziennie spotkania profesorów pobliskiej uczelni. Wśród uczestników tych spotkań byli m.in. profesorowie historii Stanisław Kętrzyński, Stanisław Arnold, Tadeusz Wałek-Czarnecki, romanistyki Stanisław Wędkiewicz oraz etnologii Jan Stanisław Bystroń. Ze wspomnień wybitnego polskiego badacza starożytności Kazimierza Michałowskiego dowiadujemy się, że w kawiarni tej narodził się pomysł przeprowadzenia w Egipcie wykopaliisk, które stały się podwaliną polskiej archeologii. Spotkania naukowców u Loursa weszły do stałego rozkładu dnia akademickiego i trwały aż do rozpoczęcia wojny w 1939 r.

Z Uniwersytetem Warszawskim związany był także brat Henryka Marconiego, Ferrante (1798-1868). W latach sześćdziesiątych według jego projektów przebudowano oficyny boczne Pałacu Kazimierzowskiego (budynki porektorski oraz seminaryjny). Oba gmachom nadano klasycystyczną szatę z pilastrami w porząd-

ku wielkim i tympanonami z przedstawieniami rzeźbiarskimi o tematyce alegorycznej.

Henryk Marconi zmarł w Warszawie w 1863 r. Pochowano go na Cmentarzu Powązkowskim. Architekt pozostawił w Polsce po sobie nie tylko ogromną spuściznę architektoniczną, ale także wielu potomków, którzy długo jeszcze kontynuowali dzieło swojego słynnego przodka (syn Władysław zaprojektował Hotel Bristol, a wnuk Bohdan po wojnie odbudowywał miasto). Rodzina Marconich do dziś mieszka w Warszawie. W kościele Wizytek na Krakowskim Przedmieściu znajduje się epitafrum Henryka Marconiego. Składa się ono z obeliskowej tumbi oraz popiersia artysty. Wybór miejsca tablicy pamiątkowej jest nieprzypadkowy. W świątyni tej architekt prowadził bowiem w latach czterdziestych prace remontowe. W podziękowaniu zakonnice podarowały Marconiemu nawet piękny pierścień z kameą i napisem Boże błogosław Henryka i jego Rodzinę. Kościół Wizytek w XIX w. pełnił funkcję akademickiego przybytku, w którym, oprócz nabożeństw odbywały się również publiczne posiedzenia uczelni oraz uroczystości rozpoczynania nowego roku akademickiego. Z uniwersyteckiego gmachu włoski artysta patronuje zatem miastu, które przyjęło go i doceniło. ■

ZDARZYŁO SIĘ W LUTYM

dr Robert Gawkowski, Muzeum UW

1826

27 lutego dotychczasowy rektor Wojciech Anzelm Szwejkowski został mianowany reskryptem na stanowisko rektora. Z pozoru niewiele to znaczyło, bo Szwejkowski stał na czele uczelni już od 8 lat. W rzeczywistości mianowanie, a nie wybór przez odpowiednie ciało statutowe, oznaczało zawężenie autonomii uczelni.

1831

Po wybuchu powstania listopadowego powołano nowe władze oświatowe. Wiceminister tego resortu Joachim Lelewel powrócił do demokratyczniejszych zasad wyboru (a nie nominacji) rektora. W lutym 1831 r. wybrano nowym rektorem Józefa Karola Skrodzkiego.

1863

Ponad stu studentów Szkoły Głównej wzięło udział w powstaniu styczniowym. Około 50 z nich tworzyło oddział partyzancki, który pod dowództwem Ludwika Mierosławskiego uległ Rosjanom w bitwie pod Krzywosądem 19 lutego. Jeszcze w tym samym miesiącu oddział uległ rozproszeniu, a sam Mierosławski emigrował do Paryża.

1867

Rosyjski kurator okręgu warszawskiego Fiodor Witte przedstawił władzom w Petersburgu projekt przemiany polskiej Szkoły Głównej w rosyjski uniwersytet. Car Aleksander II akceptował ten projekt 24 lutego. Ostatecznie rosyjskojęzyczny Imperatorski Uniwersytet Warszawski powołano w miejsce Szkoły Głównej w połowie 1869 r.

1916

24 lutego władze uniwersyteckie zatwierdziły statut Bratniej Pomocy, a w następnym miesiącu odbyło się oficjalne walne zebranie jej członków. Bratnia Pomoc szybko stała się największą samopomocową organizacją studencką, której głównym celem było niesienie pomocy materialnej mniej zamożnym żakom. Istniała do 1950 r.

1918

28 lutego formalnie rozpoczął działalność Wydział Teologii UW, a jego pierwszym dziekanem był później rektor ks. Antoni Szlagowski. Niemał dokładnie rok później, także w lutym, z inicjatywy prof. Parczewskiego rozpoczęły się starania o powołanie nowego wydziału: Teologii Ewangelickiej, który jako autonomiczna jednostka rozpoczął działalność w 1922 r.

W okresie stalinowskim Wydziały: Teologii Katolickiej i Teologii Ewangelickiej oderwano od Uniwersytetu Warszawskiego i po pewnych przemianach w 1954 r. stworzono z nich nowe uczelnie: Akademię Teologii Katolickiej i Chrześcijańską Akademię Teologiczną.

1981

Po kilkumiesięcznym oporze, 17 lutego władze PRL zarejestrowały Niezależny Związek Studentów (NZS), pierwszą tego typu organizację akademicką w komunistycznym bloku. Siedzibą organizacji stała się Warszawa, a na Uniwersytecie działalność NZS stała się dobrze zauważalna. NZS w wymiarze politycznym wspierał NSZZ Solidarność i po ogłoszeniu stanu wojennego przeszedł do podziemnej działalności. Został formalnie reaktywowany w 1989 r.

LICZBA MIESIĄCA

Bez dwóch zdań
liczbą lutego jest

339.

To liczba elektorów, którzy zostaną wybrani przed dwudziestym drugim dniem tego miesiąca, a w kolejnych tygodniach zdecydują o tym, kto będzie rektorem Uniwersytetu do 2016 r.

Elektorzy wybierani są spośród przedstawicieli wszystkich grup społeczności akademickiej. Na podstawie ordynacji wyborczej z 2011 r. uczelniana komisja wyborcza ustaliła, że pracowników reprezentować będzie 271 elektorów, doktorantów – 4, a studentów – 64. Wśród pracowników największa liczba elektorów zostanie wybrana na wydziałach Historycznym (22) i Fizyki (21). Najmniejsza na wydziałach: Pedagogicznym (6), Nauk Ekonomicznych oraz Geografii i Studiów Regionalnych (po 7). Od czego to zależy? Na pierwszy rzut oka widać wyraźnie, że nie od wielkości wydziału. Decydująca jest liczba profesorów. Im więcej samodzielnych pracowników pracuje na wydziale, tym więcej elektorów może zostać tam wybranych. Ta sama zasada obowiązuje również w przypadku innych jednostek uczelni. Szczegółowo opisane jest to w paragrafie 32. ordynacji wyborczej.

W 2008 r. elektorów było tylko 218. Wtedy jeden mandat elektorski przypadał na każdych „rozpoczętych” 15 samodzielnych pracowników naukowych (dziś na każdych „rozpoczętych” 7).

Wybierać elektorów mogą wszyscy nauczyciele akademicy, dla których UW jest pierwszym miejscem pracy, pracownicy administracji zatrudnieni na pełen etat, doktoranci i studenci. Kandydatami na elektorów mogą zaś być tylko ci nauczyciele akademicy, którzy nie skończyli 65 lat (z wyjątkiem profesorów – im biernie prawo wyborcze przysługuje do 70. roku życia) i członkowie pozostałych grup społeczności akademickiej.

10

– to już liczba marca.

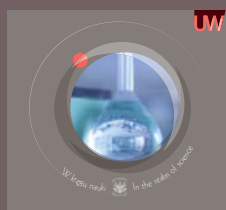
Minimum 10 proc. głosów elektorskich musi – na początek – uzyskać osoba, która myśli o kierowaniu uczelnią przez kolejne lata. Tyle wystarczy, żeby móc oficjalnie stać się kandydatem na rektora i brać udział w zasadniczym głosowaniu. Każdy elektor może wskazać nazwiska maksymalnie dwóch kandydatów.

Głosowanie indykatoryjne odbędzie się 7 marca, a właściwe ponad miesiąc później.

Warto na bieżąco śledzić stronę Uczelnianej Komisji Wyborczej (www.ukw.uw.edu.pl). Są tam dostępne wszystkie najważniejsze dokumenty i informacje na temat zbliżających się głosowań.

DOBRZE NAM SIĘ WYDAJE!

WYDAWNICTWA SPECJALNE „UW”



W styczniu 2012 roku ukazała się III edycja polsko-angielskiego przewodnika po najciekawszych miejscach na Uniwersytecie.

Wszystkich zainteresowanych otrzymaniem wydawnictw specjalnych „UW” prosimy o kontakt z redakcją.

W tym roku ukaże się m.in. album ze zdjęciami lotniczymi uczelnianych gmachów i numer specjalny „UW” skierowany do uczestników Mistrzostw Świata w Programowaniu Zespołowym ICPC 2012.



PRZEWODNIK PO
NAJCIĘKAWSZYCH
MIEJSCACH NA
UNIwersytecie
WERSJA
POLSKO-ANGIELSKA

„WIDOK WSPANIAŁY I PRZYJEMNY DLA MIŁOŚNIKÓW SZTUKI”

– CZYLI O SALI KOLUMNOWEJ WYDZIAŁU HISTORYCZNEGO



Sala kolumnowa, rekonstrukcja wirtualna, M. Tarkowski

„Kurier Warszawski” z 5 października 1822 roku niemal z emfazą donosił: *W jednym z dawniejszych numerów pisma naszego donieśliśmy o zbiorach naukowych, które są bogactwem i ozdobą Uniwersytetu naszego. Zbiór rzeźby nie był wtedy ukończony, teraz zaś ułożony w porządku w jednej z najokazalszych sal stolicy naszej, odwiedzany jest z ciekawością od znawców i miłośników tej sztuki. [...] Niewiele jest miast w Europie które by podobnym zbiorem poszczycić się mogły. Z nie mniejszym entuzjazmem pisał o tej sali i o pomieszczonym w nim zbiorze również rektor Wojciech A. Szweykowski: Wzory gipsowe częścią po ś.p. królu Stanisławie nabyte, częścią sprowadzone z Paryża, lub w darze otrzymane [...] sprawują widok równie wspaniały i przyjemny dla miłośników sztuki, jak pożyteczny dla artystów; widok, jaki w niewielu stolicach Europy znaleźć można.*

Słowa te nabierają szczególnego znaczenia w tych dniach, kiedy ta dobrze zachowana sala z jej prawdziwie monumentalną kolumnadą, przywołującą na myśl najsłynniejsze zabytki świata antycznego, przestała pełnić funkcję magazynu bibliotecznego i przygotowywana jest do kompleksowego odnowienia i adaptacji. Czy będzie ponownie wnętrzem muzealnym czy reprezentacyjno-muzealnym? Dowiemy się o tym niebawem; pewne jest wszakże to, że wkrótce, 22 lutego zostanie w niej otwarta wystawa poświęcona jej dziejom, a zapewne w maju kolejna, przypominająca o jej pierwotnym przeznaczeniu, którego pomysłodawcą był Stanisław Kostka Potocki, jeden z ojców-założycieli naszej uczelni. Zanim otworzymy wspomniane wystawy pokusimy się o krótkie przypomnienie dziejów Sali Kolumnowej i gmachu, w którym się znajduje.

SALA KOLUMNOWA W ŚWIELE ŹRÓDEŁ Z EPOKI

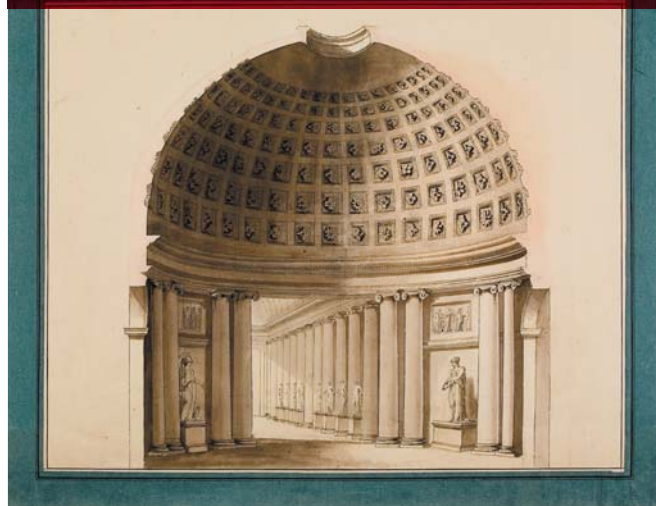
Powstaniu Uniwersytetu Warszawskiego towarzyszył jedyny w swoim rodzaju entuzjazm, który przyniósł również spory plon pisarski. Profesorowie, studenci – wśród nich Fryderyk Chopin – i entuzjaści nauki i sztuki rejestrowali niemal każde wydarzenie związane z tą nową i arcyważną dla Warszawy instytucją. W 1827 roku powstała też dokumentacja rysunkowa Jana Tańkowskiego, która pozwala na dokładne zapoznanie się z główną elewacją gmachu i z jej wszystkimi detalami. Jednym z cenniejszych dokumentów z epoki jest „Kronika pałacu Kaźmirowskiego” napisana przez Feliksa Pawła Jarockiego. O naszym budynku znajdujemy takie oto informacje: *Na zachodniej stronie dziedzica Kaźmirowskiego założono w jesieni tegoż roku [1818] fundamenta pod gmach dla sztuk pięknych przeznaczony, mieszczący w sobie jedną wielką salę na gabinet posągów, które w zamku pozostały po szkole malarskiej sławnego Bacciarellego założonej przez króla Stanisława Augusta.*

Ksawery Prek, artysta który przybył w 1830 roku z Galicji, z nutą entuzjazmu zanotował w swoim dzienniku takie wspomnienie: *Już od dawna pragnąłem być w Akademii rysowniczej pod przewodnictwem Brodowskiego i Blanka. Dziś poszedłem tam z panem Dobrowolskim, sekretarzem księcia wojewody. Zastałem kilkunastu wokół siedzących na gradusach młodych artystów rysujących i malujących jakiegoś człowieka. [...] Na dole w tym domu jest korytarz napełniony figurami gipsowymi podług starożytnych posągów. [...] Blank oprowadzając mnie po tym gmachu pokazywał mi obrazy Brodowskiego, jako to „Antygona prowadząca ślepego Edypa”, „Dawid przygryzający na harfie rozwesela umysł obłąkany Saula”, widoki śmiałego pędzla Orłowskiego robione w Petersburgu, także swój własny obraz „Edypa z Tezeuszem”. Widziałem tam również rozmaite ryciny i portrety znakomitych naszych rodaków, jedne rytowane, drugie tuszowane, alfabetycznie ułożone.*

Sala Kolumnowa i inne pomieszczenia w budynku mieszczącym dziś Instytut Historyczny i dziekanat Wydziału Historycznego stały się w latach 1820-1830 muzeum z prawdziwego zdarzenia, w którym kształcili się nie tylko artyści, ale również wszyscy zainteresowani kulturą artystyczną z całej Warszawy. Warto tu przypomnieć, że podobnie jak Muzeum Uniwersyteckie również Biblioteka Uniwersytecka była instytucją publiczną, a więc dostępną dla wszystkich. O funkcjonowaniu tegoż muzeum pewne wyobrażenia dają artykuły w prasie warszawskiej. W „Gazecie Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego”, w numerze 280 za rok 1830, czytamy: *Do Gabinetu Rzeźb w Królewsko-Alexandrowskim Uniwersytecie złożonym został rzadkiej osobliwości antyk, to jest popiersie Scipiona Afrykańskiego wykopane w Herkulanum, z gabinetu Neapolitańskiego przez Xięcia Biskupa Massalskiego otrzymany i w darze familii Scypionów ofiarowany. Ponieważ właściciel tego antyka do 1go Grudnia r.b. go złożył, przeto znawcy i amatorowie starożytności w godzinach, w których zwykle gabinet jest otworzony, zabytek ten przed-Christusowych sięgający wieków, do tego czasu obejrzeć mogą.*

Uniwersytecki zbiór odlewów rzeźb antycznych pozostawał na swoim miejscu przez długie dziesięciolecia. Wykonany przez Kazimierza Krzyżanowskiego sztych (według rysunku Franciszka Tegazzo), zamieszczony w 1866 roku w jednym z numerów „Tygodnika Ilustrowanego”, pokazuje monumentalizm sali i bogactwo pomieszczonego tam zbioru. Jest to jeden z tych przekazów ikonograficznych, które najdobitniej oddają *dignitas* pierwszego Uniwersytetu Warszawskiego. Zachowana do dziś, dość znaczna część zbioru, licząca przeszło sto pięćdziesiąt obiektów, jest wystawiona w łazienkowskiej Oranżerii. Odlewy gipsowe służyły warszawskim artystom jeszcze w końcu XIX, a nawet i w XX wieku. Gdy Wojciech Gerson i jego koledzy świętowali w 1897 roku pięćdziesięciolecie wstąpienia do Szkoły Sztuk Pięknych, uczcili ten dzień [...] *nabożeństwem za zmarłych Professorów i Kolegów, bytnością w muzeum gipsów, odfotografowaniem się i obiadem w gościnnym Salonie Artystycznym.*

G. Manocchi we współpracy z S. Kostką Potockim, Projekt wnętrza Muzeum Sztuk Pięknych w Warszawie, 1780



FENOMEN SALI KOLUMNOWEJ

W przypadku sali tak monumentalnej i tak pulsującej ogromem wydarzeń artystycznych i historycznych (w niej przez pewien czas mieściło się Audytorium Szkoły Głównej), możemy bez wahania mówić o fenomenie. Sala ta zdaje się mieć swój wzór w pewnym rysunku, który powstał około 1780 roku i wiąże się z planami utworzenia Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Przypomnijmy, że formułę i zasady jej funkcjonowania opracowali m.in. Marcello Bacciarelli i August F. Moszyński; dokumenty te przetrwały do dziś i są przechowywane w Bibliotece Narodowej w Warszawie i w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Szkoła była częściową realizacją idei *Museum Polonicum*, opracowanej w 1775 roku przez Michała Wandallina Mniszcha i następnie podjętej przez Stanisława Kostkę Potockiego. Właśnie ostatni z wymienionych jest autorem projektu, który został wyrysowany na 5 wielkich planszach około 1780 roku. Jeden z tych rysunków, owoc współpracy Potockiego z artystą włoskim – Giuseppe Manocchim – zapowiada monumentalizm i piękno naszej sali. Wprawdzie w rysunku Manocchiego widzimy porządek joński a nie dorycko-toskański, ale idea, wraz z ustawionymi w interkolumniach rzeźbami, jest identyczna. Potocki wrócił do swojego pomysłu po 40 latach i oto powstało jedno z najpiękniejszych wnętrz w całych dziejach polskiej sztuki. Naszym zadaniem jest ten prawdziwy skarb, pamiętający m.in. młodego Chopina, odnowić, pielęgnować i szlachetnie wpisać w funkcjonowanie Uniwersytetu Warszawskiego, który w tych latach obchodzi swoje 200-lecie.

Muzeum Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego zrealizowane około 1820 roku nie miało takiego rozmachu jak muzeum w projekcie Potockiego. Niemniej jednak jego powstanie pozostaje jednym z epokowych wydarzeń w historii Warszawy i całej Rzeczypospolitej. Pomimo że losy Muzeum Uniwersyteckiego były dramatyczne, stało się ono początkiem Muzeum Narodowego w Warszawie i Akademii Sztuk Pięknych. Przede wszystkim jednak należy pamiętać, że dzięki temu przedsięwzięciu wykształciło się kilkunastu artystów, którzy w zasadniczy sposób wpłynęli na kulturę artystyczną Warszawy. ■

Prof. dr hab. JERZY MIZIOŁEK jest dyrektorem Muzeum UW i kierownikiem Zakładu Tradycji Antyku w Sztukach Wizualnych w Instytucie Archeologii.



ODLOTY UNIWERSYTECKICH UCZONYCH

Robert Gawkowski

Tytuł tego artykułu wcale nie jest przenośnią. 75 lat temu naukowcy z naszej uczelni brali udział w badaniach czynionych kilka tysięcy metrów nad powierzchnią ziemi. Wszystko działo się w koszach-gondolach podwieszonych do balonu, w czasach, gdy polscy aeronauci cieszyli się zasłużoną sławą. Przypomnijmy, że polscy baloniarze aż czterokrotnie zwyciężali w przedwojennym Pucharze Gordon Bennetta, a ich wyczyny śledziła krajowa prasa na pierwszych stronach.

Podniebnymi podróżami odważnych aeronautów zainteresowana była nie tylko Polska. Badania składu atmosfery czy oglądanie bliskiej przestrzeni kosmicznej fascynowały naukowców z Francji, Szwajcarii, USA, Niemiec czy ZSRR.

To właśnie dlatego w połowie stycznia 1936 r. specjalnie dla Obserwatorium Uniwersytetu Warszawskiego w locie balonu o nazwie „Legionowo” wyruszył pilot Zbigniew Burzyński i astronom dr Jan Gadomski. Do gondoli zabrali aparaty tlenowe, teleskop i aparaty fotograficzne by – jak planowali – z wysokości około 8 000 m przeprowadzić obserwację zaćmienia księżyca. Porucznik Burzyński był doświadczonym aeronautą, świeżo opromienionym sukcesami w Pucharze Gordon Bennetta. Gadomski zaś imponował sprawnością fizyczną. W latach studenckich zakładał AZS, by potem być motorem sekcji taternickiej. Z wysokościami był oswojony, bo po ponad dwutysięcznych szczytach biegł jak kozica.

Niestety tego dnia, załodze balonu pogoda sprawiła psikusa. Silne wiatry i ogromne zachmurzenie sprawiły, że lot na wysokości 4 500 metrów przerwano, a astronom i pilot wrócili rozżaleni na ziemię. Żadnych pomiarów nie učinili.

Sam Gadomski w przestrzeń już nie latał i na gwiazdy spoglądał z budowanego na wysokości 2 022 m uniwersyteckiego obserwatorium na Pop Iwanie (artykuł na ten temat ukazał się w „UW” nr 4/54 w październiku 2011 r.). Wejście na ten szczyt było męczące, ale mniej niebezpieczne niż lot balonem, a robienie pomiarów w wyso-

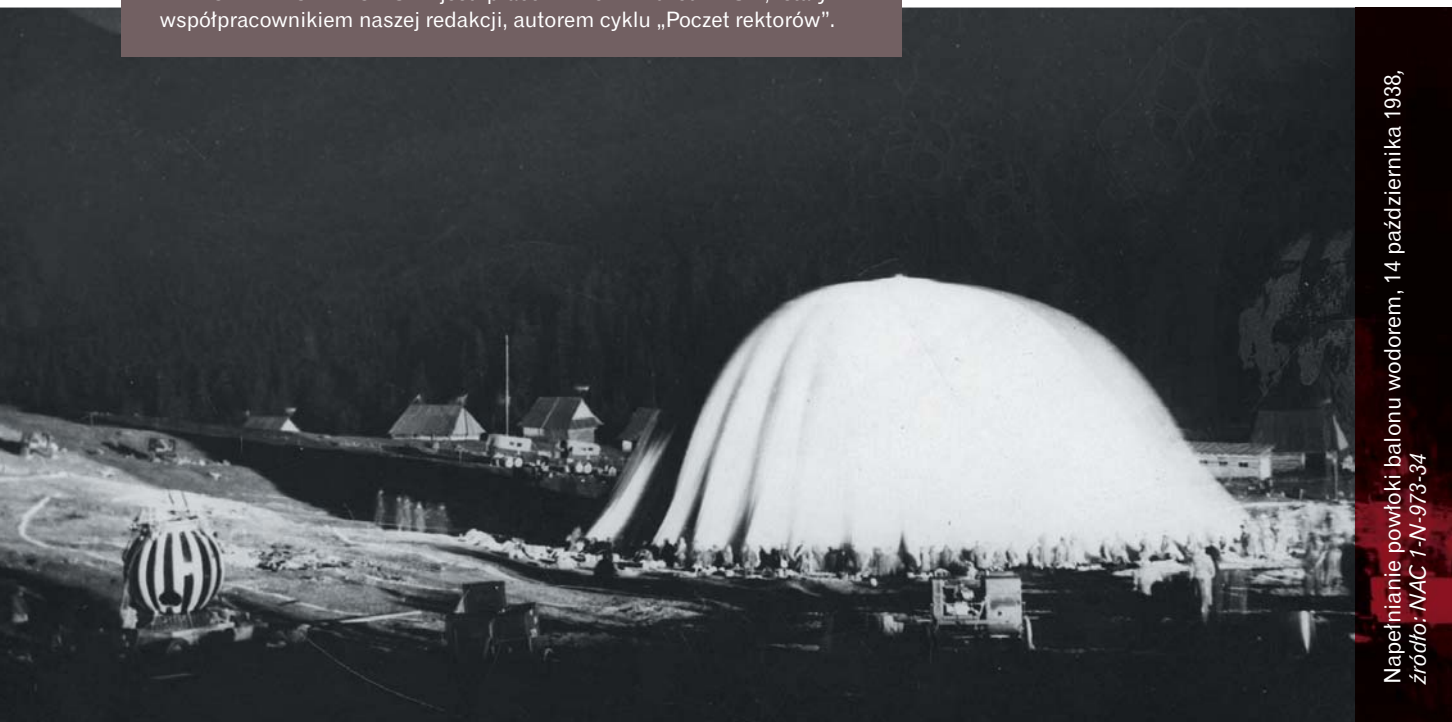
kogórkim obserwatorium było z pewnością wygodniejsze niż podpatrywanie gwiazd z balonowego kosza.

Nieudany lot Gadomskiego nie zniechęcił innych uczelnianych naukowców do badań z pomocą baloniarstwa. W 1936 r. na wysokość ponad 10 km ze Zbigniewem Burzyńskim poleciał inny naukowiec z UW – fizyk dr Konstanty Jodko-Narkiewicz. Trzy miesiące później obaj aeronauci znów wznieśli się na podobną wysokość. Ich wzlot na wysokość 10 853 m został uznany za międzynarodowy rekord wysokości w tej kategorii balonów i bezwzględny rekord Polski.

Uniwersytecki fizyk dokonał na tej wysokości pomiarów promieniowania kosmicznego, ale poza nauką było jeszcze coś ważnego. Kolejne bicie rekordów wysokości miało także wymiar międzynarodowej rywalizacji i wyczyny naszych baloniarzy niewątpliwie wzmacniały prestiż Polski. Było to także niebezpieczne, bo tak do końca nikt nie wiedział, jak zachowuje się ludzki organizm na krańcach troposfery – czyli na wysokości około 10 km. Znałyby tragiczne przykłady, które baloniarze powtarzali sobie jako memento. W 1927 r. aeronauta amerykański H. Grey doleciał na wysokość prawie 13 tysięcy metrów, ale powrócił na ziemię martwy. W 1934 r. radziecki balon przekroczył granicę troposfery, znalazłszy się w stratosferze pokonał już nawet wysokość 20 tysięcy metrów, ale gondola zerwała się i wszyscy trzej członkowie tej wyprawy zginęli. Było jasne, że loty na 10 tysięcy metrów i wyżej, muszą być dobrze przygotowane, aeronauci muszą mieć aparat tlenowy, specjalne kombinezony, a najlepiej być zamknięci w kapsule, odpornej na promieniowanie kosmiczne i wysokie ciśnienie.

Taką naukę głosił przebywający w Warszawie w 1935 r. wielki zwolennik lotów do stratosfery szwajcarski prof. August Piccard. Piccard, znany był wcześniej z ponad 20 lotów na niebotyczne wysokości i on właśnie w 1931 r. jako pierwszy przekroczył stratosferę i powrócił żywy na ziemię. Jego wizyta w Warszawie wywołała spore

Dr ROBERT GAWKOWSKI jest pracownikiem Muzeum UW, stałym współpracownikiem naszej redakcji, autorem cyklu „Poczet rektorów”.



Napełnianie powłoki balonu wodorem, 14 października 1938,
źródło: NAC 1-N-973-34

zainteresowanie polskich uczonych. Na stołecznych uczelniach zaczęto coraz śmielej snuć plany polskiego lotu do stratosfery.

Wiosną 1937 r. na posiedzeniu szefostwa Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej postanowiono przedsięwzięciu nadać realny kształt. Wylonił się komitet naukowy I Polskiego Lotu Stratosferycznego z prof. Mieczysławem Wolkę z Politechniki Warszawskiej na czele. Ważną rolę w Komitecie spełniał mikrobiolog z UW prof. Kazimierz Bassalik, odpowiedzialny za przygotowanie aparatury do pomiaru zachowania drobnoustrojów w stratosferze. Za skonstruowanie komory jonizacyjnej do pomiarów promieniowania kosmicznego odpowiadał prof. Stanisław Ziemecki. Bassalik związany był z UW od 1919 r. a w 1928/29 był nawet dziekanem swego wydziału. Ziemecki kończył studia na UW i tu w 1926 r. obronił doktorat. Gdy zapadła decyzja o locie do stratosfery był już profesorem SGGW, ale na UW nadal prowadził wykłady zlecone. Z naszą uczelnią była też związana najważniejsza osoba, pasażer-naukowiec dr Konstanty Jodko-Narkiewicz z Zakładu Fizyki Doświadczalnej UW. Na pilota wyznaczono znanego nam już Zbigniewa Burzyńskiego. Tę dwuosobową załogę wybrano nie przypadkiem. Jak już wiemy obaj znali się dobrze, bo wspólnie lecieli do granic troposfery. Jodko-Narkiewicz był naukowcem potrafiącym obsłużyć skomplikowane przyrządy, ale był też (podobnie jak astronom Jan Gadomski) człowiekiem przyzwyczajonym do dużych wysokości. Studia na UW rozpoczął w 1921 r. i kilkakrotnie je przerywał – za każdym razem z powodu wypraw wysokogórskich: do Francji, Jugosławii, Islandii. Nawet po ukończeniu studiów, gdy jako doktor fizyki w 1933 r. podjął pracę na UW, często wyjeżdżał na alpinistyczne wyprawy. W 1934 r. kierował głośną wyprawą w Andy i zdobył szczyt Aconcagua (prawie 7 000 m n.p.m.) bijąc rekord wspinaczki polskiej (o wyprawie tej przeczytać można w artykule dr. Wojciecha Lewandowskiego, „Wyżej niż kondory – 70 lat później”, zamieszczonym w „UW” nr 3/42 w czerwcu 2009 r.). Przed wojną jego nazwisko kojarzono przede wszystkim z osiągnięciami alpinistycznymi.

Od jesieni 1938 r. Jodko-Narkiewicz miał być kojarzony także z innym rekordem wysokości – balonowym, oraz z pionierskimi badaniami nad promieniotwórczością. Właśnie na wczesną jesień ustalono datę startu do stratosfery. Balon nazwano „Gwiazdą Polski”, a cele były jasno wytyczone. Poza badaniami naukowymi aeronauci mieli się wznieść na wysokość ponad 22 066 m, co było równoznaczne z pobiciem rekordu świata. W najbardziej optymistycznym założeniu „Gwiazda Polski” miała zbliżyć się do wysokości 30 km!

Podkreślimy, że nie był to plan nierealny, bo do lotu do stratosfery przygotowywano się nader starannie. Wytwórnia Balonów i Spadochronów z Legionowa podjęła się wykonania ogromnego, prawie 120-metrowego balonu, fabryki w Sanoku, Łodzi i Milanówku dostarczały specjalnego, nieprodukowanego wcześniej materiału, a wytwórnia MOTOLUX z Warszawy konstruowała niezwykle lekką, ważącą zaledwie 140 kg hermetyczną kabinę dla dwóch aeronautów. W kulistej kapsule o średnicy 2 m obok aeronautów mieściły się przyrządy badawcze. W przedsięwzięcie było zaangażowanych jeszcze kilkanaście innych podmiotów, a nad całością patrolnat przejął gen. Kazimierz Sosnkowski.

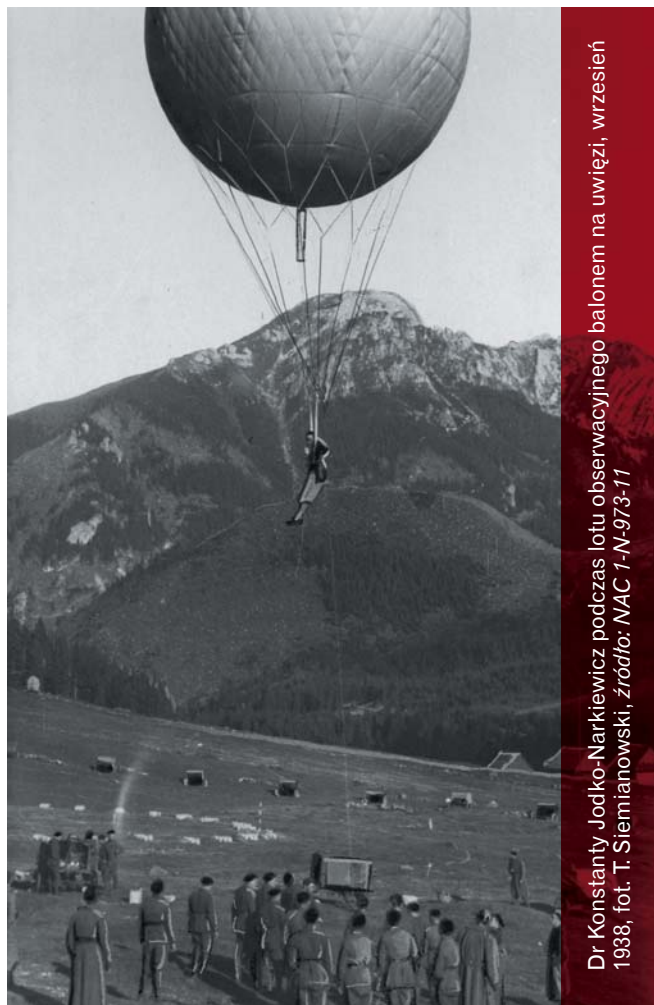
Obliczono, że start powinien odbyć się na przełomie września i października 1938 r. z Doliny Choczołowskiej, na polanie obok istniejącego do dziś schroniska. Ogromny balon, butle z gazem, liny oraz kapsułę przetransportowano na miejsce startu. Zadbano o propagandę, a z wyprodukowanych gadżetów (znaczkę pocztową, pocztówki, pamiątkowe fragmenty tkaniny balonowej) i biletów wstępu na miejsce startu spodziewano się przychodu rzędu 100 tysięcy złotych!

Termin odlotu przekładano kilkakrotnie. Aż wreszcie synoptycy prognozowali idealną pogodę na 13 października. Dzień wcześniej zaczęto napełniać balon. Profesor Ziemecki uruchomił aparaty wewnątrz kabiny i rozpoczęło się odliczanie do startu. Zbigniew Burzyński i Konstanty Jodko-Narkiewicz przebrani w kombinezony już czekali przygotowani do odlotu, który miał nastąpić rankiem. I wtedy, gdzieś około północy, zerwał się halny. Synoptycy tego nie

przewidzieli. Start odwołano i teraz rozpaczliwie zaczęto chronić ogromny balon. Wiatr mógł zniszczyć wielomiesięczną pracę. Przy spuszczeniu gazów nastąpiła eksplozja, na szczęście niegroźna dla zgromadzonych w Dolinie Choczołowskiej ludzi. Nikt nie ucierpiał, tylko „Gwiazda Polski” straciła 10% swej powłoki. Odlot przeniesiono na dalszy termin.

Nieudany start I Polskiego Lotu Stratosferycznego nie zniechęcił naukowców i LOPP-u do kolejnych prób. Straty pokryło wysokie ubezpieczenie, zniszczoną po wybuchu gazów powłokę balonu w ciągu kilku miesięcy naprawiono i ustalono nowe miejsce i termin odlotu „Gwiazdy Polski”. Start miał nastąpić w Dolinie Oporu pod Sławskiem (dziś Ukraina) 10 września 1939 r. Jodko-Narkiewicz i Burzyński znów przygotowywali się do rekordowego lotu, ale i tym razem przeszkodził im... zły wiatr i wybuch. Tym razem był to wiatr historii, a wybuchł nie gaz, a II wojna światowa. Lot do stratosfery na zawsze pozostał w świetle naszych polskich niezrealizowanych marzeń.

Dokładny opis przygotowań do balonowego lotu do stratosfery podaje Andrzej Morgała, w książce „Gwiazda Polski” (Bellona 2006). Wszyscy uniwersyteccy uczeni wymieniani w tekście wojnę przeżyli. Konstanty Jodko-Narkiewicz na UW już nie wrócił. Wojnę spędził na Podhalu, potem pracował naukowo na Uniwersytecie Poznańskim. Zmarł w 1963 r. Kontakt z warszawską uczelnią stracił także Stanisław Ziemecki, który po 1945 r. pracował w Lublinie na tamtejszym UMCS. Zmarł jedenaście lat po wojnie. Kazimierz Bassalik związany był z UW aż do śmierci w 1960 r. Jan Gadomski został kierownikiem Obserwatorium Astronomicznego i zdobył zasłużoną sławę. Jego imię nosi jeden z kraterów na księżycu. Zmarł w 1968 r. ■



Dr Konstanty Jodko-Narkiewicz podczas lotu obserwacyjnego balonem na uwięzi, wrzesień 1938, fot. T. Siemianowski, źródło: NAC 1-N-973-11

WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Szczyty i zaszczyty



Włodzimierz Antoniewicz,
zbiory Muzeum UW

Profesor Antoniewicz, jak wielu rektorów UW, wykształcenie zdobywał na galicyjskich uczelniach. Urodzony w 1893 roku w Samborze (dziś Ukraina) ukończył lwowskie VII gimnazjum i we Lwowie w 1912 roku rozpoczął studia archeologiczno-geograficzne. Wtedy właśnie, w dorastającym młodzieńcu wykrystalizowały się jego zainteresowania pradziejową archeologią. Wtedy także młody Antoniewicz „zaraził” się swoją kolejną pasją – wędrówką po górach. Umiłowanie karpackich szczytów było jego słabością do końca życia. Należał do aktywnych członków Akademickiego Klubu Turystycznego, Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a później Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

W latach studiów uwidoczniła się ogromna ambicja u tego adepta archeologii. Równoległe ze studiami archeologicznymi uczęszczał na wykłady z zakresu: historii sztuki, filozofii, kartografii i literatury. Ten chwalebny pęd na „szczyty wiedzy” przerwał wybuch I wojny światowej. Antoniewicza powołano do wojska austriackiego i już w trzecim miesiącu wojny (w X 1914 roku) został ciężko ranny pod Użohem. Rannym zajęła się pielęgniarka-ochotniczka Jadwiga Lewakowska.troskliwość pielęgniarki musiała być wyjątkowa, bo jej podopieczny nie tylko wyliżał się z ran, ale także został jej umiłowany. Ta miłość Antoniewicza do Lewakowskiej miała swoje plusy i minusy. Panna Jadwiga była bogata (córka nacierza z Krosna), ale o prawie 15 lat starsza od przyszłego naukowca. Oboje byli też spokrewnieni. Najwyraźniej jednak plusy przesłoniły minusy i obydwójce (po dyspensie biskupa) stanęli na ślubnym kobiercu w listopadzie 1920 roku. W następnych latach małżonka stała się „podporą życiową” młodego naukowca, często porządkowała jego notatki, robiła stenogramy z wykładów męża i jeździła z nim na konferencje.

Gdy Antoniewicz brał ślub, był już doktorem archeologii (od 1918 roku). Na Uniwersytecie Poznańskim dorobił się tytułu docenta (1920).

W tymże roku (w najdramatyczniejszym momencie wojny polsko-bolszewickiej) Antoniewicz wyjechał do Szwajcarii, aby sfinalizować interesy rodzinne. Uzyskane finanse pomogły w kupieniu letniej willi „Zacisze” w Milanówku. Antoniewicz żył dostatnio. W Warszawie mieszkali kolejno: na Nowym Zjeździe, Sewerynowie i Brzozowej.

Nasz bohater na Uniwersytecie Warszawskim podjął pracę na początku 1921 roku. Trzy lata później mianowano go profesorem nadzwyczajnym, a w 1928 zwyczajnym. Pracował wówczas niezwykle intensywnie, czego owocem było około 60 artykułów naukowych i niezwykle ceniona „Archeologia Polski”. W 1934 roku został dziekanem Wydziału Humanistycznego, a w maju 1936 wybrano go rektorem UW na trzyletnią kadencję (zgodnie z ustawą z 1933 roku rektora wybierano na 3 lata). Jeszcze zanim rektor-elekt przejął obo-

wiązki (od ustępującego rektora Stefana Pieńkowskiego), na uczelni już odbyła się manifestacja przeciw niemu. Studenci o poglądach radykalnie narodowych spalili kukłę rektora-elekta. Widzieli w Antoniewiczu człowieka sanacji i spodziewali się po nim zdecydowanych wystąpień przeciw coraz częstszym burdom antysemitkim. W pierwszych miesiącach roku akademickiego 1936/37 wydawało się, że mieli rację. W listopadzie bojówki skrajnie narodowe żądały osobnych ławek dla Żydów, a osobnych dla Polaków. Uczelnia pokryła się plakatami „Żądamy getta ławkowego dla Żydów!”, a manifestanci posunęli się do zajęcia Auditorium Maximum i blokady tego wybudowanego rok wcześniej budynku. Wezwana przez rektora policja użyła siły i około 200 bojówkarzy aresztowała. Endecja zawrzała z gniewu, bo przecież od czasów carskich nie zdarzało się, by na uczelni wchodziła policja.

Niepokoje powtarzały się dalej. Manifestowali endecy, a przeciw nim grupy żydowskie, sanacyjne lub socjalistyczne czy komunistyczne. Wszyscy mieli w pogardzie kolejne zarządzenia i zakazy rektorskie. W marcu 1937 roku z powodu następnych wystąpień antysemitkich trzeba było na kilka dni zamknąć uczelnię!

Tymczasem w ekipie rządzącej doszło do przewartościowania i pomału niektóre postulaty endeckie zyskiwały aprobatę. Antoniewicz szybko wyczuł, jakie jest nastawienie rządu i najpewniej latem 1937 roku otrzymał też jasne wytyczne. Nowy rok akademicki zaczął się od incydentu zwiastującego zmianę polityki władz uczelni wobec mniejszości żydowskiej. Na spotkaniu ówczesnego biura rekrutacji uniwersytecki urzędnik na pytanie o możliwość studowania Żydów na Wydziale Lekarskim miał odpowiedzieć: *Owszem Żydzi są tu pożądani, ale jako obiekty do ćwiczeń prosektoryjnych*. Można by było przyjąć to jako bardzo niesmaczny dowcip, gdyby nie to, że rektor w dniu 5 października 1937 roku wydał zarządzenie o segregacji studentów Polaków od studentów Żydów. Getto ławkowe od tego dnia było na UW obowiązujące!

Dziekany rozpoczęły pracować wstemplowywanie do indeksów pieczęć, kto ma zająć miejsce parzyste, a kto nieparzyste. Protestowali przeciw temu: Tadeusz Kotarbiński, Mieczysław Michałowicz, Stefan Czarnowski, Maria Ossowska. Na próżno – pomimo licznych protestów, zasadę getta ławkowego utrzymano.

W sprawozdaniu rektorskim za rok 1937/38 Antoniewicz triumfował, podając (co było niezgodne z prawdą), że getto ławkowe uspokoiło sytuację na uczelni. W tym samym sprawozdaniu z dumą podawał tabelkę, z której wynikało, że stosunek studentów chrześcijan do Żydów „stałe się poprawia” i w roku 1938 wynosił 85:15. Znamienne, że takich tabelkę w wcześniejszych sprawozdaniach rektorskich nigdy nie publikowano.

W pierwszych dniach września 1939 roku Antoniewicz przekazał władzę nowemu rektorowi Jerzemu Modrakowskiemu. Po upadku

Warszawy próbował uwolnić się od okupacyjnych mroków wyjeżdżając do Szwajcarii. Nie udało się i były rektor w zimowych miesiącach 1939/40 roku najął się jako palacz szkolny. Już w czasie wojny wątek ten traktowano jako dowód bezduszości okupantów. Warto jednak zauważyć, że Antoniewicz palaczem był tylko kilka miesięcy i że mniej więcej przez taki sam czas (od maja 1941 r.) współpracował z nazistowskim Instytutem Niemieckiej Pracy Wschodniej. Po wojnie żelaznych dowodów na kolaborację nie znaleziono, ale z drugiej strony pracy palacza też nie można uznać za martyrologię. Od wiosny 1940 roku profesor pracował w magistracie.

Do bojowników walczących na barykadach Antoniewicz nie należał, choć – jak sam podkreślał w ankietach – brał udział w tajnym nauczaniu. Jednakże bliższych szczegółów tej działalności nie znamy. Dobrze za to wiemy, jaki był wkład Antoniewicza w ratowanie skarbów kultury. Urnę z sercem Chopina (za zgodą Niemców) wywieziono z płonącej Warszawy i przez jakiś czas przechowywano w rezydencji Antoniewiczów w Milanówku.

Po wojnie Antoniewicz był jednym z nielicznych profesorów przedwojennego UW, który miał mieszkanie w pobliżu Warszawy. Wobec nieobecności w Polsce Jerzego Modrakowskiego, przez kilka miesięcy pełnił obowiązki włodarza uczelni. W tym też czasie został wiceprezesem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, wicedyrektorem Państwowego Muzeum Archeologicznego, członkiem zarządów kilku instytucji. Zadbął też o przydzielenie sobie służbowego mieszkania w budynku uniwersyteckim przyległym do klasztoru Wizytek.

Mógłby być spokojny o przyszłość, gdyby nie nowa stalinowska polityka. Pamiętano o przeszłości Antoniewicza – getcie ławkowym, dyspozycyjności wobec sanacji i niebezpiecznym zbliże-

niu do hitlerowskiego Instytutu Niemieckiej Pracy Wschodniej.

Na jego szczęście w 1948 roku uczelniana Komisja Dyscyplinarna oczyściła go z zarzutów o kolaborację z Niemcami. Jednak na kolejne zaszczyty trzeba było sobie zasłużyć i dać dowody lojalności. I Antoniewicz je dał. W 1953 roku, miesiąc po śmierci Stalina w artykule w „Nowej Kulturze” nawiązał do swej naukowej wizyty w ZSRR i spotkania z generalisimusem: *Patrzyłem w jego oczy i odczułem ten uśmiech łagodny Wielkiego Budowniczego Państwa Socjalistycznego, którego osiągnięcia mieliśmy możliwość poznać osobiście podczas dokładnej i rozległej podróży naukowej i w czasie dogłębnych studiów*. Ta umiejętność dopasowania się do politycznej koniunktury, ale także i bezdyskusyjny autorytet naukowy, sprawiły, że rektor UW z lat 1936-39 do końca życia utrzymywał się na szczytach naukowej egzystencji. W 1952 r. został członkiem tytularnym PAN, pięć lat później członkiem rzeczywistym. Zasiadał w zarządach kilku towarzystw naukowych. Z pewnością dopomagały mu: ogromny urok osobisty, europejskie obycie, szarmanckość i erudycja.

Prof. Stefan K. Kozłowski autor monografii „Włodzimierz Antoniewicz, profesor z Warszawy” dobrze dostrzega złożoność postaci, którą opisywał. Kozłowski w końcu lat pięćdziesiątych był studentem Antoniewicza i tak wspominał lata studenckie: *Zrobiło nam się przykro, bo pokpiwano z naszego Pryncypała, nazywając go złośliwie Słodzimierzem, co miało obrazować podobno skrajne możliwości przypodobania się temu, komu aktualnie było potrzeba*. Autor monografii uważa, że wciąż nie znamy wielu zdarzeń z życia Antoniewicza i nie można wykluczyć, że odkrycie nowych źródeł spowoduje, że nasze spojrzenie na postać rektora UW z lat 1936-39 ulegnie zmianie.

Włodzimierz Antoniewicz pracował na UW aż do emerytury w 1963 roku. Zmarł dziesięć lat później. ■

Tekst o Włodzimierzu Antoniewiczu jest trzydziestym z serii artykułów prezentujących sylwetki rektorów Uniwersytetu Warszawskiego. W następnym numerze dr ROBERT GAWKOWSKI przybliży postać Jerzego Modrakowskiego.

Rektor Antoniewicz oraz marszałek Edward Śmigły-Rydz podczas inauguracji roku akademickiego 1937/38, połączonej z wręczeniem marszałkowi tytułu doktora *honoris causa* UW, Auditorium Maximum, *zbiory Muzeum UW*



RÉSUMÉ

IT'S FULL OF PLANETS!

A team of astronomers including scientists from the international PLANET project as well as a large-scale sky observation project called Optical Gravitational Lensing Experiment (OGLE) conducted at the Astronomical Observatory of the University of Warsaw under guidance of Prof. Andrzej Udalski, presented results of research aimed at estimating the degree of prevalence of extrasolar planetary systems among stars of the Milky Way. Six-year observations of tens of millions of stars with the use of gravitational microlensing indicate that the presence of planets orbiting other stars is a norm. The work informing about the discovery was published in January, in a prestigious scientific weekly, *Nature* (no. 481, 2012, pp. 167-169: "One or more bound planets per Milky Way star from microlensing observations"). (p.24)

SCIENTIFIC HIT OF THE YEAR ACCORDING TO SCIENCE

Discovery of a new category of extrasolar planets, the so-called rogue planets, by the Warsaw OGLE team in cooperation with the New Zealand-Japanese MOA group, was recognised by *Science* weekly as one of the 10 scientific hits of 2011. The discovery was published in May, in *Nature* weekly (no. 473, 2011, pp. 349-352: "Unbound or distant planetary mass population detected by gravitational microlensing"). Unbound planets are planetary objects detached from their home stars in result of gravitational interactions between planets or neighbouring stars, freely orbiting through the Galaxy. (p.25)



J. Oracz, ph. G. Krzyżewski, FUW

A SUPER-RESOLUTION MICROSCOPE

Optical microscopes are still second to none when it comes to analyzing biological samples. However, their low resolution, improved only in recent years in STED microscopes, continues to be a problem. A prototype device of this type has recently been built at the Faculty of Physics, University of Warsaw (FUW), as part of Joanna Oracz's MA thesis. As of next year, the new microscope will be used not only for research in the field of optics but also to analyze biological samples. The prototype microscope at FUW has a resolution of about 100 nm, over two times higher than that of a standard confocal microscope. Works are still underway to increase the resolution. "The advantage of our microscope is the possibility of controlling all parameters and studying the physics of the optical phenomena occurring," stresses Oracz, currently a PhD student at the Ultrafast Phenomena Lab of the Institute of Experimental Physics FUW. The aim is to reach a resolution of about 60 nm. It would make it possible to observe details as minute as dendritic spines of neurons. (p.36)

ODESZLI

Mateusz Pawlikowski	student Wydziału Prawa i Administracji	18 XI 2011
Tadeusz Majchrzak	emerytowany wykładowca języka niemieckiego w Szkole Języków Obcych UW	12 XII 2011
Václav Havel	bohater Czech, przyjaciel Polski, doktor <i>honoris causa</i> UW	18 XII 2011
prof. dr hab. Jan Błuszkowski	pracownik Instytutu Nauk Politycznych, znawca socjologii ogólnej oraz socjologii polityki	19 XII 2011
Anna Wojewódka	wieloletni pracownik i dyrektor administracyjny Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych	5 I 2012
prof. dr hab. Hanna Świda-Ziemba	pracownik Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji, wybitny socjolog, zajmowała się m.in. problematyką postaw i wartości młodzieży	11 I 2012
prof. dr hab. Elżbieta Artowicz	pracownik Wydziału Neofilologii, były kierownik Katedry Hungarystyki	11 I 2012

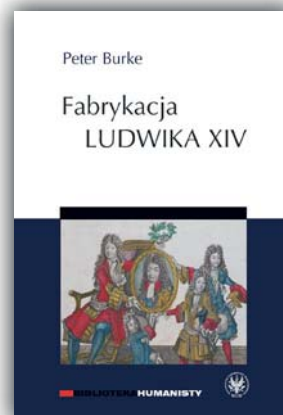
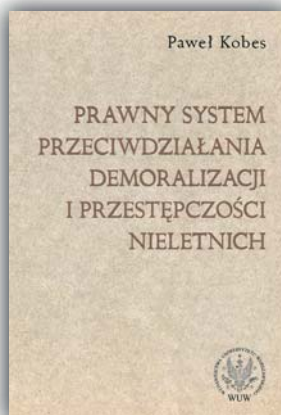
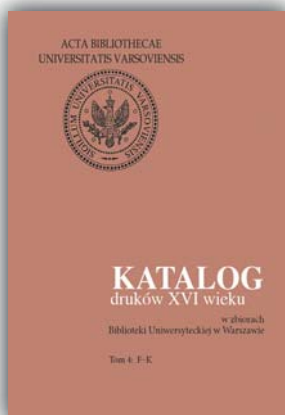
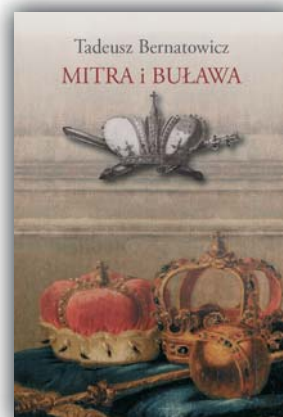
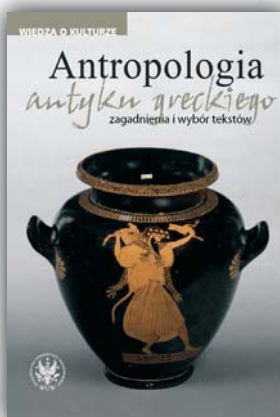
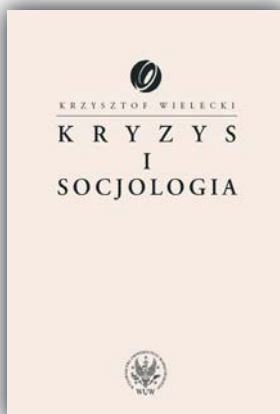
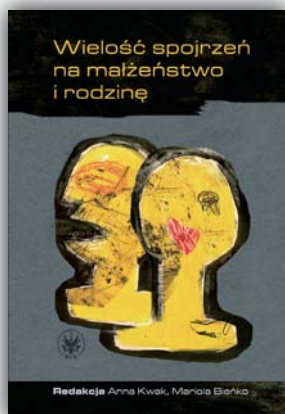
WYJAŚNIENIE

Małgorzata Kot, jedna z bohaterek artykułu „Podróż w kierunku nauki” („UW” nr 5/55, XII 2011), jest uczestniczką Międzyuczelnianego Programu Interdyscyplinarnych Studiów Doktoranckich (MPISD) w Akademii „Artes Liberales”, a nie jak napisaliśmy Międzynarodowego Programu Doktoranckiego (MPD), realizowanego w Instytucie Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”. Za zaistniałą pomyłkę przepraszamy.

Redakcja

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego przepraszają Pana Profesora Andrzeja Mencwela za pominięcie Jego nazwiska na stronie kontrtytułowej *Antropologii antyku greckiego*, wyd. I, Warszawa 2011 jako redaktora ogólnego serii podręczników akademickich „Wiedza o kulturze”.

Spośród najnowszych
publikacji proponujemy:





Fot. M. Kaźmierczak
Sala Kolumnowa Wydziału Historycznego UW